

MARGIT SANDEMO

PODSTĘP

Saga o Królestwie Światła 19

Z norweskiego przełożyła

IWONA ZIMNICKA

POL - NORDICA

Otwock

MARGIT SANDEMO

PODSTĘP

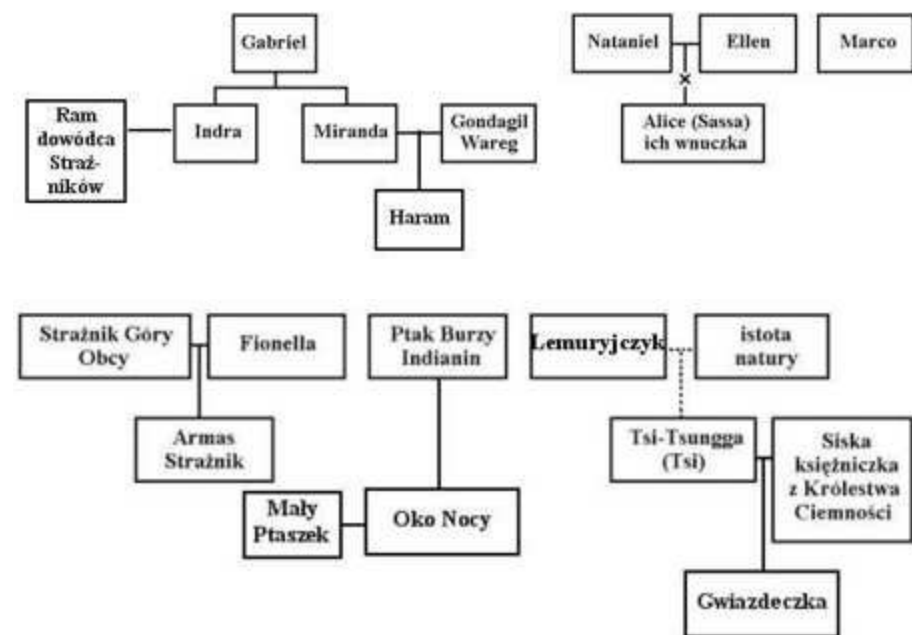
Saga o Królestwie Światła 19

Z norweskiego przełoŜyła

IWONA ZIMNICKA

POL - NORDICA

Otwork



RODZINA CZARNOKSIĘŃNIKA

LUDZIE LODU



Wnętrze Ziemi
(jedna połowa)

STRESZCZENIE

Królestwo Światła leży w centralnym punkcie Ziemi, oświetla je Święte Słońce. Przez wiele lat mieszkający w nim Obcy, Lemuryjczycy, Madragowie i ludzie pracowali nad stworzeniem eliksiru, który usunąłby wszystkie złe i wrogie myśli z ludzkich umysłów.

Grupa przyjaciół zwanych Poszukiwaczami Przygód jest teraz na powierzchni Ziemi, by rozpylić cudowny eliksir nad całym zewnętrznym światem, w którym panuje chaos.

Marco, Ram i Indra przy nieocenionej pomocy duchów zdołali rozbić potęgę mafii. Dolg, Goram i Lilja w północnej Syberii musieli stawić czoło trzem bestiom grasującym w pobliżu źródła zła. Potwory udało się pokonać, Goramowi i Lilji nareszcie pozwolono być razem, lecz, niestety, utracili Dolga, samotnego. Dolg postanowił przeniknąć we wszechświat, połączyć się z wiatrem, morzem i ziemią, i wszystkim tym, co otacza słabych, bezbronnych ludzi.

Ma nadzieję, że w ten sposób będzie mógł tak najlepiej pomóc swemu ojcu, który wraz z Berengarią i Armasem zaginął bez wieści. Szukają ich wszyscy Poszukiwacze Przygód wraz z pomocnikami, duchami, nie natrafili jednak na Saden ślad. Z zaginionymi nie można się - porozumieć nawet za pomocą telepatii.

Bazę na Grenlandii zaatakowały nieznane samoloty, nastąpiła więc konieczność opuszczenia tego terenu i powrotu do Królestwa Światła.

Zemsta.

Myśl o zemście była ich siłą napędową, jedynym, co nadawało Syciu sens. Odwet za zSerające ich upokorzenie. Odwet za wszystko. Rehabilitacja. Triumf, wiktoria, zwycięstwo.

Podporządkowanie sobie tych najpodlejszych łajdaków, którzy niczego się nie domyślali. Te gady jeszcze zobaczą! Poznają smak tego samego poniżenia, którego oni doznali za ich sprawą!

Niestrudzenie, z największą starannością przygotowywali plan, który miał tylko jeden jedyny cel: zemstę.

Trawiła ich Śądza zemsty, owa niepłodna siła, która zSera ludzką duszę od środka, nie pozostawiając po sobie nic, co miałoby jakkolwiek wartość.

Oprócz moŚe zadowolenia, jakie daje zaspokojenie tej Śądzy. Cudzym kosztem. Lecz ileŚ jest wart ten rodzaj radości, nawet dla tego, kto się mści? Na ile trwałe jest zadowolenie i ile czasu musi upłynąć, by się zorientować, Śe w ten sposób niszczy się samego siebie?

Lecz oni aŚ tak głęboko nie myśleli. Wyznaczyli sobie tylko ten jeden jedyny cel: zemścić się. AŚ do czasu, gdy...

- Dotarło do ciebie, co mówili?

- Tak. Teraz mamy przed sobą drugi cel, o który będziemy walczyć.

- No, no! To ja usłyszałem o tym pierwszy.

- Ach, tak? Masz zamiar wyciągnąć z tego jakieś korzyści wyłącznie dla siebie? Nie zapominaj przypadkiem, Śe jest nas dwoje!

Co do groźby kryjącej się w tym głosie nie mogło być Śadnych wątpliwości. Przez moment trwała pełna napięcia próba sił. Nie padło ani jedno słowo więcej. Wreszcie napięcie ustąpiło.

- Wobec tego jest nas dwoje.

Chytre, nie dowierzające oczy. Czy to aby nie kłamstwo? Czy za tymi słowami nie kryje się zdrada? Czy czeka ich teraz wyścig do tego drugiego celu?

I znów odprężenie.

- Cóż, to właściwie obojętne. Pierwszy etap szczęśliwie dobiegł już końca.

- Jesteśmy niezwyciężeni.

- Tak, teraz dopiero im pokażemy!

Faron, który przez ostatnie pięć dni spał w sumie zaledwie kilka godzin, jak zwykle tkwił przy panelu sterowania i utrzymywał łączność ze swymi przyjaciółmi i współpracownikami, przebywającymi w świecie na powierzchni Ziemi.

Twarz poszarzała mu ze zmęczenia i troski. Czarne oczy zapadły się głęboko, a usta zmieniły w wąziutką kreskę. Nigdy jeszcze nie czuł się do tego stopnia bezradny, tak straszliwie słaby.

Powinienem był wybrać się razem z nimi, powtórzył w myślach co najmniej po raz tysięczny, a nie grzać stołek w Królestwie Światła. No i teraz jeszcze ta trójka, którą z taką uwagą obserwowałem, zniknęła. Tym razem już wyruszę!

Doskonale jednak wiedział, że nie może tego zrobić. Przy swym tak bardzo rzucającym się w oczy wyglądzie charakterystycznym dla Obcych, a przede wszystkim niezwykłym wzroście, natychmiast ściągnąłby na siebie niepotrzebną uwagę, być może zostałby wzięty do niewoli lub nawet od razu zastrzelony. Nie miałby nawet cienia szansy, by wszcząć poszukiwania ukochanych przyjaciół.

Ale tak tutaj tkwić...

Na ekranie pojawił się meldunek i Faron czym prędzej wyostrzył wszystkie zmysły.

To zgłosił się jeden ze Strażników:

- Wracamy teraz, wasza wysokość.

Faron twierdził, że nie lubi, gdy tak się go tytułuje, lecz rzadko protestował.

- Wracacie?

- Wracamy. Musieliśmy opuścić bazę na Grenlandii, tam się po prostu zrobiło zbyt niebezpiecznie. Zabraliśmy Gorama i Lilję, są bardzo zmęczeni, jest też z nami dowódca Elity Strażników. Ale straciliśmy Dolga.

- Nie mogliście na niego poczekać?

- Nie chciał.

No tak, Faron wiedział o wszystkim. Słyszał już o tym, że Dolg niezłomnie postanowił

rozstać się ze swym doczesnym Syciem. Gorące serce Farona nie chciało jednak tego zaakceptować i na nic się nie zdało tłumaczenie Gorama, że Dolg znajduje się teraz wszędzie, we wszystkich Śywiołach, we wszystkim, co żyje, i że nigdy ich nie opuści. Faron pragnął, by w Królestwie Światła mieszkał Śwy Dolg. Kiedy otrzymał pierwszą wiadomość o jego odejściu, z oczu popłynęły mu łzy.

Doskonale wiedział, że podobnych reakcji można się spodziewać w całym Królestwie Światła. Dolg był duchowym samotnikiem, nikt nigdy dostatecznie mocno się do niego nie zbliżył. Zwykle zostawiano go w spokoju, lecz teraz nadszedł moment, kiedy wszyscy rozumieją, jak wielką częścią

ich codzienności był Dolg i jak bardzo wiele znaczył dla Królestwa Światła.

A nikomu nie wpadło do głowy powiedzieć mu, jak wysoko powszechnie jest ceniony.

Jak bardzo kochany za swoją skromność, spokojny, łagodny uśmiech, wyrozumiałość i ów trudny do zdefiniowania smutek.

Źle zrobił, tak postępując! Nie dał im nawet sposobności zadośćuczynienia temu zaniedbaniu.

Nieuzasadniony gniew na zmarłego, który jakś często nachodzi tych, którzy pozostali, na moment ogarnął również Faron, lecz zaraz zniknął, rozpląnął się w poczuciu winy.

Teraz wszyscy tak bardzo, tak rozpaczliwie pragnęli, by Dolg powrócił!

Faron, przystojny, wysoko urodzony Obcy, główny odpowiedzialny za całą operację na powierzchni Ziemi, przetarł zmęczone oczy i próbował widzieć wyraźnie, nie tylko fizycznie, lecz również duchowo.

Jego myśli zwróciły się ku innej zagadce:

Cóś to za samolot mógł zaatakować bazę na Grenlandii? Nikt nie potrafił

wytłumaczyć, skąd się wziął. Wszak przeważająca część powierzchni Ziemi została już

skropiona eliksirem Madragów. No tak, wciąż jednak pozostawało sporo do zrobienia. Ale z którego skrawka Ziemi ktoś mógł wysłać tak bardzo zaawansowaną technicznie maszynę?

Faron już od pierwszego niespodziewanego ataku pilnie śledził raporty Strażników.

Wszystko przebiegło tak błyskawicznie, że Strażnicy nie zdążyli nawet podnieść wzroku, a już coś uderzyło w nich z piekielną siłą. Czy było to działanie ciśnienia powietrza? Jakaś nieznana broń? Czy też może wypuszczono jakiś gaz?

Prześladowcy najwidoczniej uznali ich za martwych, gdy bowiem Strażnicy odzyskali przytomność, panowała cisza, lecz wokół rakiety dostrzegli ślady pozostawione przez pociski.

Również wtedy, podczas pierwszego ataku, na ich wielkim pojeździe pojawiła się rysa.

Napastnicy najwidoczniej jednak zrozumieli, że rakiety nie da się zniszczyć, gdy nie podjęli dalszych prób jej uszkodzenia.

Niestety, ów nieznany samolot pojawił się znowu, a gdy jego załoga odkryła, że Strażnicy mimo wszystko przeżyli, nie było już dla nich łaski. Całą bazę ostrzelano z ciężkiej broni i zaraz potem tajemniczy najeźdźcy znów zniknęli. Wracali jednak raz po raz. Ale Strażnicy nie opuszczali już rakiety, w której bezpiecznie czekali na przyjaciół.

Szczęście, że wreszcie cała piątka zmierza do domu, pomyślał Faron.

Piątka. A powinno ich być sześćoro. Dolg juŜ nie istniał.

Faron miał wrażenie, Ŝe zapada się coraz głębiej w czarną otchłań Ŝałoby i smutku.

Wiejską drogą w południowej Arizonie, w pobliżu granicy z Meksykiem, jedną z tych zapomnianych dróg, które sprawiają wrażenie rdzewiejących po obu skrajach, jakby nadgryzał je czerwony piach, szedł samotny wędrowiec. Wyglądał na zmęczonego, kiedy tak włókł się, podtrzymywany jedynie nadzieją, że trafi się ktoś, kto go podwiezie.

Była to jedna z okolic, którymi zająć się miał Móri i dwoje jego przyjaciół. Tak daleko jednak dotrzeć nie zdołali. Wcześniej okazało się, że po prostu zniknęli z powierzchni Ziemi.

Okolica wciąż więc była sucha i jałowa. śyciodajne krople eliksiru Madragów jeszcze nie padły na te zapomniane przez Boga pustkowia.

Męszczyzna na drodze nagle się zatrzymał. Cóż to tam leży kawałek od drogi, wśród rzadko rosnących kaktusów?

Wędrowiec nie był najodważniejszym człowiekiem na świecie, zaliczał się raczej do tych, którzy wiecznie uśalają się nad sobą, a winę za wszelkie swoje małe i duże niepowodzenia zrzucają na innych. Upłynęła więc dobra chwila, zanim wreszcie ośmielił się podejść. Dopiero gdy stwierdził w końcu, że to człowiek, który w dodatku się nie porusza, zebrał w sobie dość odwagi, by postawić ostatnie kroki.

Może ten, który tam leży, ma przy sobie portfel albo jakąś inną rzecz, wartą takiego zachodu?

Znow się zatrzymał. A jeśli ten ktoś umarł na zakaźną chorobę? Po świecie wszak krąży mnóstwo śmiertelnych epidemii, szczególnie ta, która... Nie, nie wolno teraz o tym myśleć! Przecież możliwe, że znajdzie tu pieniądze!

Przybliżył się jeszcze o dwa kroki. Doprawdy, to jakaś niebywale długa osoba! Ciało rozciąga się od jednego kaktusa do drugiego, a więc mierzy dużo więcej niż dwa metry! To chyba najwyższy człowiek, jakiego w Śyciu widział, i jak dziwnie ubrany! Czy w tym jego stroju mogą być jakieś kieszenie?

Teraz mężczyzna dostrzegł czarne, dosyć długie włosy i złocistą skórę leżącego.

Ten człowiek wygląda, jakby mocno się uderzył podczas upadku. Ale to przecież

niemożliwe, nie można się aż tak potłuc od zwykłego potknięcia! To raczej jego ktoś musiał napaść.

Włóczęga nabrał śmiałości. Nieszczęśnik wydawał się martwy, ale musiał zginąć całkiem niedawno, bo zwłoki nie zaczęły się jeszcze rozkładać. A tu, w tym upale, takie rzeczy dzieją się prędko.

Zerknął ukradkiem na lewo i prawo, ale na drodze nie widać było ani śladu Śycia, tylko samotny przewód telefoniczny drżał z gorąca w nieznośnej spiekocie.

Włóczęga obrócił leżące ciało i natychmiast przerażony odskoczył w tył. Na miłość boską, cóś to za stwór!

Czuł, że serce mało nie wyskoczy mu z piersi. Ta odrobina odwagi, jaką był w stanie z siebie wykrzesać, błyskawicznie zniknęła i zaraz puścił się biegiem, chcąc jak najprędzej uciec z tego miejsca. Zupełnie wyjątkowo, po raz pierwszy w Syciu, wpadło mu do głowy, by dobrowolnie zgłosić się na policję. Do niedużej osady, którą dostrzegł na zboczu w pewnej odległości od drogi, nie mogło być daleko. Całkiem niedawno minął tę ścieżkę, która tam prowadziła.

Albo... Być może policja wcale nie jest właściwą instancją, w tej zabitej dechami dziurze pewnie nawet nie mają posterunku. Ale może się przecieś skontaktować z dziennikarzami. Telefon chyba działa, są przecieś kable.

Och, a więc on dostarczy im sensacji! Gazety, radio i telewizja przyjmą niesamowitą wiadomość z otwartymi ramionami.

Może ją drogo sprzedać, i to nie jednemu. Dostanie mnóstwo pieniędzy!

Przyspieszył kroku. Nagle zatęsknił za towarzystwem ludzi. Tu w każdym razie zostać nie mógł, zrobiło się zbyt nieprzyjemnie.

Ze strachu ciarki przebiegły mu po plecach.

Marco, Indra i Ram o niezwykłym wydarzeniu dowiedzieli się z telewizji.

Na terenie przygranicznym między Arizoną a Meksykiem znaleziono ciężko ranną istotę, przypominającą kosmitę, oczywiście o ile tacy istnieją.

Jedno spojrzenie wystarczyło im, by się porozumieć, i natychmiast skierowali w tamtą stronę swoją gondolę, wyciskając z niej największą możliwą prędkość.

Nie mieli wcale tak daleko. Gdy zniknęła grupa Móriego, jej rejon przejęła ta właśnie trójka bezrobotnych. Teraz znajdowała się na obszarze archipelagu karaibskiego, nieprzerwanie prowadząc poszukiwania zaginionych i jednocześnie spryskując teren Syciodajnym eliksirem.

Podczas całej podróży nie odzywali się do siebie ani słowem. Wszyscy troje wszak usłyszeli, że ten, którego znaleziono, był bardzo ciężko ranny.

Jak ciężko? Czy był jeszcze?

I czy był to któryś z ich przyjaciół? Czy może ktoś zupełnie inny, ani trochę z nimi nie związany? Podobno poza ubraniem, które miał na sobie, nie znaleziono przy nim nic, co pomogłoby go zidentyfikować.

To się jakby nie zgadzało, bo przecieś przyjaciele wyposażeni zostali w całe mnóstwo specjalnych urządzeń. Już sam aparacik umożliwiający rozumienie obcych języków stanowił

szczegół, o którym przekaz telewizyjny z pewnością by wspomniał.

Ustalili, że Ram nie powinien się pokazywać, przynajmniej na razie, gdy jego obecność mogła wywołać zbyt wielki szok wśród wzburzonych mieszkańców osady i wymagałaby mnóstwa długich i zupełnie zbędnych w tej jakże trudnej sytuacji wyjaśnień.

Marco i Indra przez pewien czas zmuszeni będą radzić sobie bez niego, Ram zaś zostanie w gondoli, którą postanowili dobrze ukryć.

Trochę czasu zabrało im odnalezienie miejsca, w którym odkryto dziwną istotę, gdy na ten temat media udzieliły naprawdę skąpych informacji. Na dodatek okazało się, że nadzór nad tajemniczym stworzeniem przejęło wojsko.

Jak zwykle.

A to oznaczało niemożność prowadzenia dalszych działań.

- Do diabła! - mruknęła pod nosem Indra. Zaraz jednak zaproponowała oficerom i stojącym na warcie żołnierzom po kieliszku wódki. Doprawionej, rzecz jasna, wywarem Madragów.

Eliksir, pomimo iż rozproszony w alkoholu, odniósł natychmiast fantastyczny skutek. Panowie w mundurach w jednej chwili złagodnieli i wręcz nie mieściło im się w głowach, jak można tym miłym gościom nie pozwolić zerknąć na pozaziemskiego przybysza.

Wpuszczono ich do wielkiego, chłodnego laboratorium.

Cenne znalezisko leżało rozciągnięte w przypominającym trumnę szklanym pojemniku. Indrze przyszło do głowy dość absurdalne porównanie, że wygląda trochę tak jak Śpiąca Królewna, zanim księżę zbudził ją pocałunkiem.

Nie musieli długo się przyglądać rzekomemu gościowi z Kosmosu.

- A więc tak jak przypuszczaliśmy - westchnął Marco. - Ale gdzie jest tamtych dwoje?

Móri długo siedział skulony w ciasnym pomieszczeniu. Czuł, jak od potu włosy i ubranie lepią mu się do ciała. Berengaria na całe szczęście zasnęła, dzięki temu przynajmniej na jakiś czas ma spokój. Biedna dziewczyna! Armas leżał jak przedtem, nieprzytomny, a Móri nie mógł nic dla niego zrobić. Dookoła panowała ciemność jak w grobie.

Gdzie się znaleźli? Co się wokół nich dzieje? I jaki jest powód tej straszliwej ciszy?

Dlaczego nikt nie przybywa im na ratunek?

Móri, czarnoksiężnik, nie był w stanie nawiązać z nikim kontaktu i tego już śadną miarą nie potrafił zrozumieć. Przecież wzywał wszystkich obdarzonych zdolnościami telepatycznymi, a nie doczekał się ani jednej odpowiedzi. Nie odezwały się nawet duchy.

Raz tylko coś wyłapał, ale nie czuł się na siłach orzec, czy to było naprawdę, czy też

tak tylko mu się wydawało. Pospiesznie jednak przesłał wiadomość, że wszyscy śyją, na więcej zabrakło mu czasu, bo zaraz i te prawie niesłyszalne sygnały zamarły.

Od tamtej pory nic się nie wydarzyło.

Usiłował sam siebie wprowadzić w stan letargu, by czas mu szybciej płynął, zaraz jednak uznał, że nie ma do tego prawa. Przecież tych dwoje młodych go potrzebuje.

Gdyby tylko mógł na trochę zasnąć! Starał się zapaść w drzemkę.

I wtedy nagle wszystkie jego zmysły się wyostrzyły.

Dolg?

Dlaczego w takiej chwili pomyślał o synu? Dolg przecież był bezpieczny, przebywał gdzieś na niegroźnych obszarach polarnych.

Móri nie mógł jednak oprzeć się wrażeń, że chłopiec jest blisko. Jakby znajdował się w powietrzu na zewnątrz tego przekłętą pomieszczenia, w którym ich upchnięto, a zarazem tkwił tu przy nich. A to przecież niemożliwe, absolutnie niemożliwe.

Móri skupił się na przesyłaniu Dolgowi myśli.

Lecz telepatia, którą zwykle się posługiwali, zawiodła. Czyżby te masywne ściany uniemożliwiały wszelkie przekazywanie myśli? A tu, wewnątrz, przecież syna nie było, jego obecność to tylko złudzenie, jedynie gorące śyczenie Móriego.

Mimo wszystko jednak czuł, że chłopiec znajduje się w pobliżu.

Móri wystraszył się nie na Śarty. Co teŚ przydarzyło się synowi? Bez względu na to, jak niezwykłym był człowiekiem, nie miał jednak zdolności przemieszczania się z siłą myśli i światła.

Nie, wszystko to muszą być jedynie urojenia.

Móri oparł głowę o ścianę, starając się zapaść w sen.

Ale myśli nie chciały mu dać spokoju. Co się stało z Dolgiem?

I co się działo z nimi?

Wreszcie zapadł w niespokojną drzemkę. W wirujących snach ujrzał blisko jakąś twarz, badawczo spoglądające surowe oczy i usłyszał szept: „Nie moŚna wykorzystać, nic moŚna. Nie przyniesie Śadnego poŚytku”. Echo tego szeptu długo rozbrzmiewało mu w głowie, potem jednak ową twarz zastąpiły jakieś inne, nierzeczywiste obrazy.

Kiedy się zbudził, stwierdził, Śe Armas zniknął.

Odpowiedzialni za nadzór nad pozaziemską istotą oficerowie zrobili się wprost bez umiaru chętni do współpracy.

O, tak, oczywiście, słyszeli o tym, Śe Ziemia rozkwitła i ludzie stali się weselsi i Śyczliwsi wobec siebie, a zwłaszcza wobec zwierząt.

Do takiego skomponowania eliksiru, by po jego zaŚyciu nikt nie miał juŚ ochoty dręczyć zwierząt, przyczynili się wszyscy z grupy Poszukiwaczy Przygód, zasypując Madragów błaganiami. Madragowie zapewnili, Śe przyjazny stosunek do zwierząt to nieodzowna cecha kaŚdego dobrego człowieka, obiecali jednak, Śe nad tym szczegółem popracują jeszcze staranniej. Poszukiwacze Przygód mogli więc być spokojni.

Oficerów zafrapował wygląd Marca. Sądzili, Śe za sprawą takiego właśnie męŚczyzny, w połowie bóstwa, a w połowie człowieka, mogła się dokonać owa cudowna przemiana, której uległy wszystkie Śywe stworzenia na Ziemi.

Popełnili jednak błąd, bo przecieŚ główne zasługi w tej kwestii naleŚało przypisać dość niesamowicie wyglądającym Madragom, lecz istot takich jak ludzie bawoły ci oficerowie nie potrafili sobie chyba nawet wyobrazić.

- Ach, tak, a więc to wasze dzieło! - westchnęli zachwyceni i, niewiele się zastanawiając, pozwolili Indrze i Marcowi zabrać ze sobą Armasa. JuŚ wcześniej stwierdzili, Śe właściwie moŚna go uznać za martwego i instrumenty niezbędne do przeprowadzenia sekcji leŚały juŚ naszykowane. Chętnie by przynajmniej zbadali, z czego jest zrobiony.

- Ale powiedzcie nam chociaż - zaczął jeden z wojskowych - skąd on się tu wziął?

- No, w kaŚdym razie nie jest to na pewno istota pozaziemska - natychmiast odpowiedziała Indra. - MoŚna raczej nazwać go istotą wewnątrzziemską.

- Z czasem poznacie odpowiedzi na wszystkie pytania - czym prędzej zapewnił

Marco, zanim Indra zdążyła jeszcze bardziej skomplikować całą sytuację.

Oficerowie pośycyli im nawet jeepa, którym mogli przewieźć Armasa. Proponowali także dalszą pomoc, ale przybysze z Królestwa Światła serdecznie podziękowali, twierdząc, że mają całkiem niedaleko i że niedługo zwrócą pojazd.

Wojskowi stali się uosobieniem dobrej woli.

Marco i Indra ogromnie cierpieli, widząc, jak strasznie pokaleczony jest Armas. Ram pomógł im go przenieść do gondoli, a Indra złamała chyba wszelkie przepisy dotyczące ograniczenia prędkości, pragnąc jak najszybciej oddać jeepa wojskowym. Potem całą powrotną drogę do gondoli przebyła biegiem.

W tym czasie Marco i Ram zajęli się zbadaniem Armasa.

- Wracamy do bazy w Boliwii - postanowił Ram i siadł przy pulpicie sterowniczym.

- A co z nim? Co mu się stało? - pytała Marca Indra, gdy gondola wzniosła się nad ziemią.

- Przyjrzelśmy się trochę jego obrażeniom. Wygląda na to, że zrzucano go na ziemię z dużej wysokości. Śaden człowiek nie przeżyłby takiego upadku, lecz Armas jest przecież w części Obcym.

- I to w niemałej - mruknęła Indra. - W połowie człowiekiem, w jednej czwartej Obcym i w jednej czwartej Lemuryczykiem.

- Nie powtarzaj tego głośno przy jego ojcu!

- A trzeba też pamiętać, że Święte Słońce również go zahartowało i niemal zapewniło mu nieśmiertelność. Co możemy teraz dla niego zrobić?

Marco zastanowił się.

- Tutaj niewiele. Sam chciałbym się zająć jego leczeniem, ale muszę przebywać albo w moim pałacu, albo też w tym nie mającym sobie równych szpitali w Sadze. Opuszczam was teraz, Indro. Zabiorę Armasa do Królestwa Światła.

Jego słowa wywołały takie wrażenie, jak gdyby ściana, o którą się opierali, rozsypała się w gruzy. Ani Indra jednak, ani Ram nie protestowali. Wiedzieli, że oboje potrzebni są tutaj, na powierzchni Ziemi, by dokończyć spryskiwania jej eliksirem i by dalej szukać zaginionej dwójki, Móriego i Berengarii.

- Strażnicy na Grenlandii mieli rację - powiedział Marco. - Istnieje wyraźny związek między pojawieniem się tego samolotu, który zaatakował naszych przyjaciół, i ich zniknięciem. Wspólnym mianownikiem jest duża wysokość.

Indra bez większej nadziei w głosie poprosiła:

- Daj nam znać, gdy tylko się ocknie! MoŜe będzie mógł nam coś powiedzieć?

- Oczywiście, on przecieŜ moŜe nas zaprowadzić do Móriego - odparł Marco, lecz równieŜ w jego głosie zabrakło otuchy.

- Mimo wszystko nie mogę tego pojąć - wybuchnęła Indra zirytowana. - Gondola!

Dlaczego nikt nie widział nigdzie ich gondoli? To, Ŝe ludzi moŜna gdzieś upchnąć, rozumiem, ale przecieŜ gondola Móriego miała dość znaczne rozmiary, prawda?

- Owszem, była dostatecznie duŜa, by dało się ją zobaczyć z odległości wielu kilometrów. Z powietrza - odparł Ram. - Nie mówiąc juŜ o ekranach naszych radarów.

Milczeli. Patrzyli na Armasa, a Indrze znów przypomniała się, nie wiadomo dlaczego, baśń o Śpiącej Królownie. Biała jak śnieg, czerwona jak krew i czarna jak heban. Patrzyła na białą twarz Armasa, okoloną kruczoczarnymi włosami, i krew sączącą się z niezliczonych ran.

Nie dało się wykluczyć, Ŝe kaŜdą najdrobniejszą kosteczkę w ciele ma popękaną. Za to, Ŝe jeszcze Ŝył, mógł dziękować wyłącznie swemu genetycznemu dziedzictwu i dorastaniu w blasku Świętego Słońca.

Ram przez system komunikacyjny wezwał Faron. Zaraz teŜ w gondoli rozległ się głos potężnego Obcego.

- Cieszę się, Ŝe odnaleźliście Armasa - powiedział z wyczuwalnym zmęczeniem. -

Wasza decyzja jest słuszna. Marco powinien sprowadzić go tutaj i uczynić wszystko, by przywrócić go do normalnego Ŝycia. A wy zintensyfikujcie poszukiwania. Rozlewaniem eliksiru zajmą się teraz inni. Ale ja...

Urwał, jak gdyby mówienie sprawiało mu trudność.

- Tak? - zachęcił go Marco ze zrozumieniem.

Faron westchnął.

- Wierzyliśmy, Ŝe odniesiemy błyskotliwy triumf, prawda? Nikt chyba nic liczył się z tak wieloma przeciwnościami. A wciãŜ jeszcze na powierzchni Ziemi mamy dwa bardzo powaŜne problemy: wszystkie te epidemie, które z taką mocą wybuchnęły w ostatnim stuleciu, no i katastrofalne wprost warunki klimatyczne, w tym groźba przesunięcia się bieguna północnego. A teraz jeszcze to trudne do wytłumaczenia zniknięcie naszych przyjaciół. Nie muszę chyba powtarzać tego, co stale mówię, Ŝe powinienem być z wami, bo juŜ nie raz to słyszeliście.

- Rzeczywiście - cierpko przyznała Indra.

- No właśnie. Cóż, na szczęście uporaliście się z tymi strasznymi rządami gangsterów, a Goram i Lilja takŜe wykonali swoje niezwykle trudne zadanie. Tyle Őe ceną tego sukcesu było zniknięcie Dolga.

- On tego pragnął juŜ od dawna - przerwał mu Marco. - To, Őe nas opuści, pozostawało jedynie kwestią czasu.

- MoŜe i tak, ale trudno znieść taką tęsknotę. I nie zapominajcie, Őe cała odpowiedzialność za wszystko, co się stało, spoczywa na mnie. Jeśli utracimy Armasa i nie znajdziemy tamtych dwojga... Ach, przyjaciele, nie będę juŜ chciał dłuŜej Őyć!

W gondoli zapadła cisza. Wszyscy wyczuwali, Őe Faron oświadczył to z całą powagą.

- AleŜ, drogi Faronie - odezwała się wreszcie Indra. - Nie moŜesz brać na siebie odpowiedzialności za wszystko, co się tutaj dzieje. Nikt przecieŜ nie mógł przewidzieć, Őe zniknie cała grupa!

- Ach, wy niczego nie rozumiecie!

- Owszem - cicho powiedział Ram. - Ja rozumiem doskonale.

Z Królestwa Światła nie nadeszła Őadna odpowiedź.

Faron zamierzał przeciwstawić się wszelkim ostrzeŜeniom. Musi wyjść na powierzchnię Ziemi, Őeby szukać Móriego i Berengarii. Nie był w stanie dłuŜej znosić biernego wyczekiwania.

Nagle jednak okazało się, Őe stanął w obliczu kolejnej zagadki. Tym razem we wnętrzu Ziemi, w Królestwie Światła.

Zagadkę tę nazywano „zagroŜenie wewnętrzne”.

Faron zmuszony więc był zdusić w sobie milczącą rozpacz i pozostać na swoim miejscu.

Zaczął się od krąŜących plotek. Plotek o włamaniu, czy raczej o próbach włamania.

Komuś wydawało się, Ŝe widział nocą jakiś cień, który szybko przemknął i zaraz zniknął z oczu. Pokraczny cień jakiejś nieznaney istoty.

Ale przecieŜ w Królestwie Światła nic istnieje nic podobnego, z rezygnacją wzdychali ludzie. Wszędzie dookoła panuje spokój i dobroć. Wszelkie złe moce zostały juŜ zwalczone albo teŜ przeciągnięte na stronę dobra. Któż wobec tego tutaj krąŜy?

O tym, czego dokonał Marco, zajmując się obraŜeniami Armasa sam w swoim pałacu czy teŜ wspólnie ze zręcznymi lekarzami ze szpitala, tak naprawdę mieszkańcy Królestwa Światła nigdy się nie dowiedzieli. W większości nie mieli teŜ pojęcia, jak straszliwie cięŜkie rany odniósł Armas, w jak krytycznym stanie były jego mięśnie, nerwy i naczynia krwionośne.

Ale Marco i jego zespół jakoś zdołali go wylatać, co samo w sobie było prawdziwym cudem. Teraz lękali się jedynie o to, jak cięŜkich obraŜeń mogła doznać jego głowa i pięć zmysłów.

Faron na jego stanowisku zastąpił ktoś inny; zmuszono go, by wreszcie porządnie się wyspał i zebrał siły do dalszych działań.

Dzień później musiał przyznać, Ŝe mieli rację. Po przespaniu szesnastu godzin czuł się jak nowo narodzony.

Stali teraz wokół Armasa w jego szpitalnym pokoju. Chłopak wciąż był nieprzytomny.

Rodzice, StraŜnik Góry i Fionella, siedzieli przy nim od wielu godzin. Teraz serdecznie podziękowali jego wybawicielowi i poszli choć trochę odpocząć.

- Co się dzieje w Królestwie, Marco? - spytał Faron cicho.

Książę skrzywił się.

- Nie wiem, przyjacielu. Otrzymujemy bardzo nieprzyjemne raporty. Mowa jest o jakiejś dziwnej istocie.

- Ach, nie! - jęknął Goram. Razem z Lilją równieŜ odwiedzili chorego. - Nie zniesiemy juŜ więcej kolejnych potworów!

- To na pewno tylko plotki - próbował uspokajać go Jaskari, który przyjechał ze zwierzyńca ratować Armasa, przyjaciela z dzieciństwa.

- Na pewno - podchwycił jeden z lekarzy. - PrzecieŜ kaŜda istota, kaŜdy najmniejszy nawet Ŝuczek został „zaimpregnowany” eliksirem dobra. Ale ludzie poszeptują o jakichś napaściach! To przecieŜ niemoŜliwe, nie ma nikogo, o kim by się zapomniało. Nic z tego nie pojmujemy.

- Tak, to nie moŜe być nic innego jak tylko głupie pogłoski - stwierdził Faron.

Armas poruszył głową. Zaraz zapomnieli o złych wiadomościach i w skupieniu pochylili się nad chłopakiem.

- Armasie - cicho szepnął Marco. - Słyszysz mnie?

Chory powoli otwierał oczy. ZauwaŜyli, Ŝe ma wielkie trudności ze skupieniem wzroku w jednym punkcie, wreszcie jednak jego spojrzenie zatrzymało się na Marcu i Armas kiwnął głową.

- Armasie, to bardzo waŜne - przemówił do niego Faron. - Inaczej nie mielibyśmy śmiałości dręczyć cię teraz. Ale odpowiedz mi: gdzie jest Móri? I Berengaria? Musimy się tego dowiedzieć, i to jak najprędzej.

Armas znów zamknął oczy, klatka piersiowa unosiła mu się cięŜko, z wysiłkiem.

- Widzę, Ŝe masz trudności z mówieniem - podjął Faron. - Będziemy ci zadawać pytania w taki sposób, Ŝe wystarczy, byś tylko kiwał albo kręcił głową.

- Czy wiesz, gdzie oni są? - spytał Marco.

Przeczenie.

Popatrzyli na siebie z rezygnacją. CóŜ, rozwiąła się ich nadzieja.

- Czy zdarzył się wam wypadek? A moŜe was napadnięto?

- Jedno pytanie na raz - pouczył go Faron. - Napadnięto was?

Tym razem upłynęła chwila, zanim doczekali się odpowiedzi. Jak gdyby Armas nie bardzo wiedział. W końcu jednak z wahaniem potaknął.

- Widziałeś, kto to zrobił?

Nie.

- Od tyłu? - dopytywał się Goram.

Armas kiwał głową, Faron w duchu przeklinał.

- Byliście w gondoli?

Nie.

- Chodziliście po ziemi?

Tak. Armas usiłował pogłębić tę odpowiedź, ale brakło mu siły.

- Byliście w Boliwii?

Nie.

- Dalej na północ?

Potaknięcie.

- Na północ od Zatoki Meksykańskiej?

Tak.

- Na granicy między Arizoną a Meksykiem?

Nie.

- Dalej na wschód?

Tak.

W taki oto sposób rozmawiali, aŜ wreszcie lekarze powiedzieli stop. Lecz wówczas, po wielu nieporozumieniach, zdołano ustalić, Ŝe grupa Móriego znajdowała się na Florydzie.

Wylądowali, Ŝeby przenocować na ziemi. O wczesnym poranku wybrali się popatrzeć na Everglades, rozległe błota, i właśnie wtedy zupełnie nieoczekiwanie nastąpił atak. Otoczył ich jakiś osobliwy zapach, który całkowicie ich zamroczył. Armas widział, jak Móri i Berengaria nieprzytomni osuwają się na ziemię. On sam był bardziej odporny i juŜ miał się odwrócić, gdy zadano mu silny cios w głowę. Następne, co pamięta, to przebudzenie w tym pokoju.

Niczego więcej nie widział.

Był teraz juŜ bardzo zmęczony, pozwolili mu więc odpocząć. Opuścili jego pokój, zostawiając go pod opieką sympatycznych pielęgniarek, które, jak mogły, starały mu się ulŜyć w cierpieniu.

- Tajemniczy napastnicy musieli uderzyć go za mocno - mruknął Jaskari, gdy wszyscy zatrzymali się na korytarzu. - Zrucili go potem z wysokości, bo był umierający.

- Do niczego juŜ nie mógł im się przydać. Rzeczywiście na to wygląda - zgodził się z nim Marco.

- Tamci dwaj StraŜnicy na Grenlandii równieŜ wspominali o jakimś dziwnym zapachu

- przypomniała sobie Lilja. - To było podczas pierwszego ataku na bazę, moŜna by powiedzieć: ataku gazowego.

Faron pokiwał głową, a Goram przyznał:

- To prawda. No, ale teraz Lilja i ja musimy juŜ iść. W Domu Kamieni oczekują nas Shira, Oko Nocy

i Villemann. Uroczyście przekazałyśmy szlachetne kamienie w ich ręce.

Te słowa znów przypomniały im o Dolgu i wszystkim serca ścisnęły się w piersi. Dolg stanowił jedno z kamieniami. Kto zdoła teraz zapanować nad ich migotliwą mocą?

Villemannowi, młodszemu bratu Dolga, już wcześniej powierzano odpowiedzialność za niebieską kulę. Współpraca układała się dobrze, szafir łaskawie na nią zezwalał, natomiast straszliwie niebezpieczny farangil tylko raz w rękach miała Shira, wtedy w Dolinie Róś.

Shira, czysta. Jakie możliwości miał Oko Nocy, gdy chodziło o kamienie, nie wiedzieli, lecz Indianin, tak jak i Shira, dotarł przeciwieście do źródła jasnej wody.

Bez względu na wszystko, właśnie tych troje, Shirę, Villemanna i Oko Nocy, wskazał Dolg. A Dolga słuchał każdy bez wyjątku.

Na parkingu gondoli zmierzał do swojego pojazdu pewien młody człowiek. Mieszkał w Zachodnich Łąkach, ale spędził noc u swej wybranki w Sadze.

Radosny po mile spędzonej nocy i pokrzepiony mocnym snem do południa, rozglądał się za swoją pomalowaną na dość śmiały pomarańczowy kolor gondolą, kiedy do jego uszu dotarły jakieś dźwięki. Właściwie nie był zaskoczony, w tym miejscu przeciwieście zwykle kręciło się tyle ludzi. Zaraz jednak zatrzymał się, pociągając nosem. Cóż to za zapach, jakby gaz czy teście...

Czyścieby któraś z gondoli się zepsuła? Powinno się...

Dalej nie doszedł nawet w myślach, ogarnęła go bowiem gwałtowna słabość. Nie słyszał wcześniej o tajemniczych napaściach, za bardzo zajmowała go ostatnia miłostka.

Nieświadom niebezpieczeństwa, teraz po prostu osunął się na ziemię.

Goram i Lilja, takście zmierzający ku swojej gondoli, która miała zawieźć ich do stolicy, lepiej orientowali się w sytuacji.

Szli gawędząc, doskonale czuli się we własnym towarzystwie teraz, kiedy mieli już świadomość, ście nie łamią śadnego prawa.

- Co sądzisz o tych płótkach, Goramie? - spytała Lilja. - I o tych napaściach? To brzmi tak idiotycznie, tak zupełnie nie na miejscu w naszym pełnym spokoju Królestwie Światła.

- To prawda, bo przeciwieście nawet miasto nieprzystosowanych zmieniło się w istny raj. I wielu z tych, którzy pragnęli powrócić na powierzchnię Ziemi, będzie wreszcie mogło wyjechać teraz, gdy miejsca, w których dawniej mieszkali na Ziemi, zostały oczyszczone.

Ostrzegamy ich jednak, że nie powrócą w swoje własne czasy, w wielu przypadkach przeminęły już pokolenia, odkąd do nas przybyli. Cóż, nie pojmuję, skąd mogą się brać te plotki. Jeśli jest w nich choć trochę prawdy, nasze działania chwilami wydają mi się wręcz beznadziejne, jak gdyby zło nigdy nie miało końca.

- Ja odczuwam podobnie. Wiesz, mówi się, że energia nigdy nie może zniknąć. A może zło to jakaś forma energii? Niezniszczalna?

- Jeśli to prawda, byłoby rzeczywiście niedobrze. Ale najbardziej niepokojące jest to, że jeden ze Strażników został oszołomiony i pobity prawie na śmierć. Nie wiem, co to za jeden. Przeżyje, ale podobno cały czas jest w śpiączce. Podobno, podobno, nikt nie wie nic pewnego. Krążą tylko paskudne niesprawdzone plotki. Jestem taki...

Nagle gwałtownie się zatrzymał.

- Co to takiego? Widziałaś, Liljo? Tam, między gondolami! Jakiś młody chłopak osunął się na ziemię i nikt mu nie pomaga, zresztą nikogo nie ma w pobliżu. Musimy się nim zająć, Liljo. Tylko zasłoń czymś usta, bo to może być ta dziwna słabość.

Dziewczyna zrozumiała, ale czym może zasłonić twarz, kiedy jest się ubranym jedynie w bluzkę, długie spodnie i sandały?

Goram błyskawicznie ściągnął koszulkę. Zorientował się w dylemacie dziewczyny i powiedział prędko:

- Zaczekaj tutaj, sam sobie z tym poradzę.

Już kluczył między ciasno zaparkowanymi gondolami z ustami przesłoniętymi koszulką.

A niech tam, pomyślała Lilja, przecież on nie może iść sam!

Prędko podwinęła bluzkę i przykryła jej dolnym skrajem usta i nos. Pobieгла za Goramem. Nie przejmowała się już teraz, czy nie odsłoniła zbyt wiele ciała.

Goram zniknął gdzieś między gondolami, niektóre z nich były bardzo wysokie.

Wcześniej widzieli tylko głowę i ramiona tego chłopaka, który najwyraźniej stracił przytomność i zniknął im z oczu. Lilja wiedziała jednak mniej więcej, gdzie powinna się kierować.

A Goram zdołał wreszcie odnaleźć młodego człowieka, który leżał tam, gdzie upadł.

Strażnik z Elity ujął go za ręce, by odciągnąć dalej, gdy nagle padł na nich jakiś ogromny cień. Goram uniósł głowę i zdążył kątem oka dostrzec potworną istotę o ciele człowieka, która zamiast dłoni miała kopyta i łeb kozła z długimi wygiętymi rogami.

Goram instynktownie zrozumiał, że leżący na ziemi człowiek nie liczy się dla tej bestii, on sam

jednak, będąc doskonale wyćwiczonym StraŹnikiem z Elity, stanowił

zagroŜenie.

Istota uniosła kopyto, szykując się do zadania ciosu.

Wtedy niedaleko rozległ się głoŹ Lilji:

- Goramie, gdzie jesteŹ?

- Uciekaj, Liljo, uciekaj! - zawołał ogarnięty panicznym strachem. - Sam sobie z tym poradzę!

Odparowując pierwszy cios, jeszcze nie wiedział, jak tego dokona. Jednak najwaŹniejsze, Źeby Lilja znalazła się w bezpiecznym miejscu.

Ona jednak nie bardzo wiedziała, co się dzieje, nie przejmowała się więc jego ostrzeŹeniami. Przemykała się między gondolami wprost ku niebezpieczeństwu.

Usłyszała przeraŹające odgłoŹy bijatyki i aŹ pisnęła z lęku o Gorama.

Wtedy ktoś złapał ją za rękę.

Lilja juŹ była gotowa do zadania ciosu, spostrzegła jednak, Źe to tylko młodziutka, Źliczna eteryczna dziewczyna z twarzą przesłoniętą cieniutką chustką.

- Chodź - szepnęła dziewczyna. - Tu jest Źmiertelnie niebezpiecznie!

- Ale Goram...

- Tylko mu utrudnisz całą sprawę, on na pewno da sobie radę. Musimy stąd natychmiast odejŹ!

Lilja, choć bardzo, ale to bardzo niechętnie, usłuchała. Dziewczyna pociągnęła ją za sobą przez parking gondoli między drzewa w lesie przylegającym do Sagi.

Lilja chciała się tam zatrzymać i poczekać na ukochanego, ale dziewczyna nie ustępowała.

- Chodźmy dalej, to naprawdę straszne monstrum!

- AleŹ wobec tego Goram nie moŹe...

- Cicho - szepnęła nieznajoma. - Mam na imię Vicky. A jak ty się nazywasz?

- Teraz szkoda czasu na rozmowę - jęknęła zrozpaczona Lilja.

- Liljo! - rozległo się wołanie Gorama.

Obca dziewczyna nic przestawiała jej ciągnąć za sobą, ale Lilja dostrzegła juŹ Gorama, który wy dostał się z parkingu dla gondoli i rozglądał się dookoła, szukając jej wzrokiem.

Jednym szarpnięciem uwolniła się z uścisku nieznamym i biegiem ruszyła w jego stronę. Delikatna dziewczyna, wystraszona, próbowała znów ją złapać, lecz teraz nie było już

takiej siły, która zdołałaby zatrzymać Lilję. Rzuciła się Goramowi prosto w ramiona i cięsko dysząc, wyjąkała:

- Co - to - było - jesteś - ocalony - ach - Goramie!

W końcu wybuchnęła płaczem. Łzy przyniosły jej ulgę.

- On zrezygnował - powiedział Goram, nie kryjąc zdziwienia. - Wyglądało na to, że miał zamiar mnie zabić, ale potem po prostu zniknął.

- Rozpłynął się w powietrzu?

- Nie, po prostu zwyczajnie uciekł. Zniknął gdzieś między gondolami. A o jakiej dziewczynie mówiłaś?

- Ona mnie uratowała, odciągnęła mnie. Taka wzruszająco śliczna i miła, ale niczego nie rozumiała! Przecież ja chciałam być przy tobie!

Lilja odwróciła się i popatrzyła na las, ale dziewczyny już tam nie było.

- Nie zdążyłam jej podziękować, ona przecież chciała dobrze, Goramie. Ale opowiadaj, co się tobie przydarzyło!

Zdał jej relację, kiedy szli do swojej gondoli. Cały czas zachowywali zdwojoną czujność na wypadek, gdyby tajemniczy potwór znów miał się pojawić.

- Jakie to straszne! - westchnęła Lilja, gdy siedli już bezpiecznie w gondoli Gorama i pojazd uniósł się w powietrze. - Co to mogło być, jak sądzisz?

Popatrzyli w dół między gondolami, ale niczego nie dostrzegli.

- Nie wiem, Liljo.

- Czy mógł to być jeden z baśniowych potworów uratowanych z Gór Czarnych? Jak ci się wydaje? Przecież ani ty, ani ja nie braliśmy udziału w tej wyprawie.

- Mnie również przyszło to do głowy, dowiem się, czy jest wśród nich podobny stwór.

Nie zwlekając, nawiązał łączność z Faronem i powiadomił go o brutalnej napaści na parking gondoli, poprosił także, by ktoś zajął się młodym człowiekiem, który wprawdzie zdołał jakoś stanąć na nogi i uciec stamtąd, lecz najpewniej potrzebował jeszcze pomocy.

Spytał potem o baśniowe postaci.

- W każdym razie z całą pewnością nie był to Minotaur. Ten tutaj wyglądał na kozła - wyjaśnił.

Nie zdobył się na śaden dowcip o Szatanie, to byłoby zbyt niemądre.

Ale nie, Faron zapewniał, że śadna podobna istota nie przybyła wraz z nimi z Gór Czarnych. Bestii, którą Goram i Lilja spotkali tego dnia, nikt wcześniej nie widział. Oboje jednak dostrzegli w jej wyglądzie szczegóły, o jakich wspominały krąjące plotki.

- Może to jakiś faun? - podsunął Faron.

- Ale skąd, to była naprawdę budząca grozę istota! Mignęły mi przekrwione koźle oczy, wielkie rozdęte nozdrza i podciągnięta górna warga. Wyglądał jak kozioł z potwornie wielkimi zakręconymi rogami.

- Ale skąd on mógł się tu wziąć?

- No właśnie! Może z jakiegoś zakątka dawnej Ciemności?

- To niemożliwe! Tam nie został nawet milimetr kwadratowy, którego byśmy nie przeszukali i nie potraktowali eliksirem. Ale postaram się czegoś dowiedzieć.

Gdy rozmowa z Faronem dobiegła końca, w gondoli zapanowała cisza. Lilji nie opuszczało głębokie poczucie wdzięczności wobec tej młodej dziewczyny, która odciągnęła ją z niebezpiecznego miejsca. Zrozumiała, że nie mogłaby pomóc Goramowi, co więcej - cios potężnego kopyta natychmiast by ją powalił na ziemię.

- Ale ty się ostro broniłeś.

Goram uśmiechnął się z ponurą miną.

- Owszem. Przydał mi się mój trening. Ale nie miałem możliwości, żeby dokładnie mu się przyjrzeć. Po pierwsze, on starał się trzymać najciemniejszych miejsc między gondolami, i to tymi olbrzymimi, tymi, których używa się najrzadziej. A po drugie, przez cały czas starał

się znajdować poza zasięgiem mojego wzroku. I poruszał się tak niebywale szybko. Nawet przez sekundę nie stał w miejscu.

- Ale zdołałeś wymierzyć mu celny cios?

- Tak mi się wydaje - odparł zadowolony Goram.

- Kto, do licha, tak mi wysmarował dom? - wrzasnęła Sol, wracając do domu z wizyty u dawnych przyjaciółek: księżnej Theresy, Tiril, jej synowej Mariatty i córki Taran.

Kiro zjawił się natychmiast, ubrany do wyjścia na służbę.

- Co ty opowiadasz? Wysmarował?

Powiódł wzrokiem we wskazanym przez Sol kierunku i zaraz zobaczył paskudztwo szpecące białą ścianę. Słowa były widoczne już z daleka: *PRZEKŁĘTA DZIWKO, WYDAJE CI SIĘ, ŚE JESTEŚ KIMŚ? POCZEKAJ TYLKO, TO DOPIERO POCZĄTEK!*

- Koniec takśe - mruknął Kiro, kiedy zabrali się do usuwania obrzydliwego napisu.

A w wielkim laboratorium Madragów tego ranka panował nastrój bliski paniki.

Okazało się mianowicie, że ktoś próbował uniemożliwić wytwarzanie eliksiru. Jedna z rur została odłączona w taki sposób, że w połowie gotowy wywar wypływał na podłogę.

Przypadkowo jeden z pracowników przyszedł znacznie wcześniej niż zwykle i odkrywając wyciek, powstrzymał go, zanim stała się naprawdę poważna szkoda. Aktu sabotażu musiano dokonać tuż przedtem.

Ale kto mógł to zrobić? Cały teren był pilnie strzeżony i po to, by wejść do środka, należało uścisnąć kodu.

Madragowie wpadli w rozpacz. W pełni ufali całemu wielkiemu sztabowi Lemuryjczyków, Obcych i ludzi. Wszyscy pracownicy byli supermózgami, całkowicie wiernymi i oddanymi zadaniu.

Jedynym śladem, jaki znaleziono, był odcisk wielkiego kopyta w pobliskim lesie.

Dom Kamieni nawet na zewnątrz przystrojono wielkimi girlandami kwiatów.

Goram z Lilją przybyli zaledwie trochę spóźnieni. Oczywiście koszulka Gorama nie była już tak świeża, jak kiedy szykował się rano, lecz to nic miało żadnego znaczenia, gdyż

jego odświętny strój Strażnika z Elity czekał już w hallu, wyprany chemicznie i nieskazitelnie czysty. Podobnie zresztą jak długa do samej ziemi suknia, którą włożyć miała Lilja, w morskim kolorze, takim jak jej oczy. I tak samo jak indiański strój ceremonialny Oka Nocy, nieniecka sukienka Shiry z pozszywanych barwnych kawałeczków skóry, a takśe najlepszy garnitur Villemanna. Wszystko musiało być idealnie czyste.

Przyjął ich Marco, w stroju Księcia Czarnych Sal, którym przecieś był. Wyglądał w nim tak wspaniale, że Lilji dech zaparło w piersiach. Słyszał już od Farona o ich niebezpiecznej przygodzie i był tym dość wstrząśnięty.

- A więc w końcu udało nam się zweryfikować plotki - rzekł z powagą. - Tej nocy zdarzyło się coś jeszcze, lecz nie rozmawiamy o tym tutaj. To święte miejsce i bardzo uroczysta chwila.

Przybyli równieŜ inni i wszystkich z wyjątkiem Marca, który był juŜ gotów, odesłano do garderób, by się przebrali.

Wystrojona Lilja zdąŜyła jedynie przyjąć od Gorama pełne zachwyty spojrzenie, a juŜ

StraŜnicy w olśniewająco białych szatach, specjali StraŜnicy Kamieni, wprowadzili ich do środka.

W sali zebrało się więcej gości. Ceremonię prowadził Erion, a sekundowało mu dwóch StraŜników z Elity, zawsze obecnych w tym pięknym domu. Ich zadaniem było nawet za cenę Őycia bronić świętych kamieni. Do tej pory szafir i farangil opuszczały budynek jedynie wtedy, gdy Dolg wypoŐyczał je, by wykonały jakieś zadanie.

Erion powiedział z powagą:

- Mamy powody przypuszczać, Őe ów obcy element, który grasuje po Królestwie Őwiatła w ostatnich dniach, poszukuje świętych kamieni. MoŜe wskazywać na to napać na Gorama i Lilję, wszak to oni przywieźli do domu skarby Dolga.

Lilja poprosiła, Őeby udzielono jej głosu.

- Owszem, ale my oddaliśmy je tutaj, to była pierwsza rzecz, jaką zrobiliśmy po powrocie.

- Wiem, i było to bardzo słuszne posunięcie, ale być moŜe agresor o tym nie wiedział.

Dlatego teŜ wzmocniono straŜe i postanowiono, Őe przekazanie odpowiedzialności za kamienie musi nastąpić jak najszybciej.

Lilja po zastanowieniu przyznała Erionowi rację. PrzecieŜ ten potwór rzeczywiście zaatakował w pobliŜu gondoli! MoŜe myślał, Őe kamienie wciãŜ tam są? Jeśli tak, to jest głupi!

Nie, całe zajście na parkingu gondoli to zapewne po prostu jakiś przypadek.

Dla Lilji i Gorama nie przewidziano Őadnej szczególnej roli podczas przekazania kamieni. Zaproszono ich, poniewaŜ właśnie im Dolg powierzył na powierzchni Ziemi skórzane woreczki z klejnotami. Wypełnili swoje zadanie i byli jedynie obserwatorami.

Erion, wspomagany przez dwóch StraŜników, wezwał troje wybranych: Shirę, Oko Nocy i Villemanna. Potem otworzyły się wrota w głównej ścianie, dwie antaby rozsunęły się na boki i ukazały się klejnoty oświetlone Świętym Słońcem. LeŜały na poduszeczkach z aksamitu i lekko pulsowały, nieco przyciemnione.

- Wyglądają tak, odkąd tu wróciły - powiedział jeden ze StraŜników. - Jak gdyby nosiły Őałobę.

Marco pokiwał głową.

- Bo tak teŜ na pewno jest. Podobnie rzecz ma siê i z nami.

Wszyscy siê z nim zgodzili.

- Jak my zdołamy zastąpić Dolga? - powiedziała z niedowierzaniem Shira.

Lecz nagle wszyscy coŝ wyczuli, jak gdyby w sali znalazł siê ktoŝ, kogo nie mogli zobaczyć.

Stali całkiem nieruchomo, próbowali stwierdzić, co siê stało, i nagle kamienie siê rozjarzyły. Błękitnoczerwony ogień zalał całą salê radosną feerią kolorów mieszających siê ze sobą i rzucających odbicia na wszystkie ściany.

Marco szeptem wypowiedział to, o czym pomyśleli wszyscy:

- Dolg jest z nami.

Lilja wybuchnęła płaczem, tego było juŜ dla niej za wiele. Goram mocno ją objął.

- A więc nikogo nie brakuje - obwieścił Erion. - MoŜemy rozpocząć ceremonię.

Nawet przez chwilę nie zobaczyli Dolga, lecz on był tak bez wątpienia obecny w samej atmosferze, Œe uśmiechali siê z radości sami do siebie. A jego obecność ogromnie ułatwiła ceremonię, wszystkie poczynania wydawały siê dzięki temu bardziej na miejscu.

Święte kamienie same pokazały, co myślą o swych nowych opiekunach. To Dolg ich przedstawił, choć bez słowa i nie ukazując siê, ale po grze światel rzucanych przez kamienie poznawali, Œe on tu jest. StraŒników kamienie znały juŜ wcześniej, im jednak nie wolno było zabierać klejnotów poza świątynię. To uczynić mógł jedynie Dolg.

Ile w tym, co wydarzyło siê później, było woli Dolga, ile zaś własnej woli kamieni, tego nie wiedział nikt, lecz znaki nietrudno było odczytać.

Villemann nie miał Œadnych kłopotów z szafirem, który spokojnie ułoŜył siê w jego dłoniach i pięknie zaświecił błękitnym światłem. Nie mógł siê jednak zbliŒyć do farangila -

posypały siê z niego ostrzegawcze iskry. Shirę, jak siê tego spodziewano, zaakceptowały oba kamienie, natomiast Indianina, Oko Nocy, ku wielkiemu zdziwieniu zebranych zaakceptował

farangil, odrzucił natomiast szafir.

CóŜ, to sprawiedliwy podział, pomyśleli. I kiedy głębiej siê zastanowili, to myśl o Oku Nocy jako opiekunie farangila przestawała juŜ tak dziwić. Zarówno przecieŜ Indianin, jak i czerwony kamień byli wojownikami, obrońcami swoich bliskich, sprzysięŒonych i najbliŒszego otoczenia.

Zdaniem Lilji ceremonia była naprawdę piękna. Dostojna, przesycona spokojem, a zarazem pełna napięcia. Gdy zaproszono ich na poczęstunek i cała uroczystość dobiegła końca, była zdumiona, Œe upłynęło tak wiele godzin.

Cieszyła się bardzo, że święte kamienie są już bezpieczne. Teoria o tym, że ów przypominający kozła stwór właśnie za nimi węszył wśród gondoli, była naprawdę nieprzyjemna.

Nagle zdziwiona rozejrzała się wkoło.

Nie zgasło ani jedno światło, a mimo to stało się jakby ciemniej. Gdy popatrzyła na kamienie, z powrotem odłóżone na poduszki w pancernej niszy, zauważyła, że nie jaśnieją już

tak mocno. Leżały spokojnie, ich kolory jakby przyblakły, przestały pulsować.

Było coś nowego w tej pięknej sali, a raczej jakby czegoś zaczęło brakować. Ogarnął

ją smutek, zapagnęła, by powrócił tamten cudowny nastrój, obecny tu jeszcze przed chwilą.

- Wiem, o czym myślisz, Liljo - powiedział Marco, który siedział tuż obok. - I masz rację, to Dolg nas opuścił.

- Tak mi się wydawało. Jakie to smutne!

- Owszem, dla nas, ale on musi znów wyruszyć w świat, i to jak najszybciej, żeby dalej szukać swego ojca i Berengarii.

- A więc nie ma żadnego postępu? - zawołała do niego Lilja, starając się przekrzyczeć szum głosów w sali.

- O, nie, tak nie mów, Dolg eliminuje kolejne obszary powierzchni Ziemi i w końcu do nich dotrze. Sądzi, że w pewnym momencie był już gdzieś blisko, i chce tam wrócić.

Najgorsze, że nie jest w stanie nawiązać kontaktu z ojcem. Coś mu w tym przeszkadza, zasłania.

- Och, a oni mieli taką doskonałą łączność telepatyczną! Jakie to okropne! Zobacz, Faron wygląda na bardzo niespokojnego - zauważyła dziewczyna.

- Tak, tak, widzę. Już niedługo nie zdołamy go zatrzymać w Królestwie Światła. Ale obiecał, że najpierw rozwiąże te zagadki, które mamy tutaj.

- Zagrożenie od wewnątrz - mruknęła Lilja.

- Tak, tak właśnie można by to nazwać. No, ale teraz muszę się już śegnać. Wybieram się do Srebrzystego Lasu porozmawiać z Madragami. Dzisiejszej nocy mieli tam włamanie.

- Już o tym słyszałam. I podobno zniszczono dom Sol i Kira. Sol wstąpiła z tego powodu na wojenną ścieżkę. Uf, tyle złego się dzieje naraz! Uważaj na siebie!

Marco uśmiechnął się. Nieczęsto stykał się z taką troskliwością. Zwykle przeciwko to do niego przychodzili po pomoc i pociechę.

Dobra dziewczyna z tej Lilji. Goram ma szczęście.

Marco znów poczuł w duszy zimne tchnienie samotności.

Gdy odlatywał stamtąd swoją gondolą, w lesie elfów rozciągającym się w dole dostrzegł dziwną scenę. Jakaś młoda dziewczyna ciągnęła krowę, która za nic nie chciała się przesunąć z kwiatowej rabatki przed jednym z czarujących okrągłych domków, w których niekiedy mieszkały elfy. Niekiedy, elfy bowiem niezbyt dbały o domy, ich domem była wszak cała natura. Ale w czasie deszczu i niepogody dobrze było mieć dom, elfy lubiły te

bardzo opiekować się kwiatami.

Marco widział, że dziewczyna, krzycząc i płacząc, pogania krowę, ale bez skutku.

Zawrócił więc i zaczął schodzić w dół. Kiedy wysiadł z gondoli, zaraz spytał, czy może pomóc.

Dziewczyna była czarująca, pełna wdzięku, miała delikatny zadarty nosek i zielone elfie oczy w rozbawionej twarzy, otoczonej burzą miedzianozłotych włosów. Mogła mieć osiemnaście, dwadzieścia lat, lecz z elfami nigdy nic w tej kwestii nie wiadomo. Lekko ubrana, jak zwykle one, w coś bardzo cieniutkiego i przezroczystego o barwie jasnej zieleni.

Na widok Marca jej buzia się rozjaśniła.

- Och, jak wspaniale, że jesteś! - oświadczyła bezpośrednio, bez odrobiny zażenowania. - Nie mogę wyciągnąć tego uparciucha z ogródka babci, a kiedy ona wróci do domu i to zobaczy...

- Zaraz się tym zajmiemy - uspokoił ją Marco i zaprowadził oporną krowę na łąki, gdzie było jej miejsce. Zwierzę trochę obrażone pobiegło, kołyszając się na boki, do innych krow.

Dziewczyna przez cały czas nie odstępowała Marca na krok i z troską nie przestawała mówić o prześlicznych kwiatkach babci, zdeptanych albo zjedzonych.

- Możesz być spokojna - uśmiechnął się Marco. - Malutka kropelka eliksiru Madragów załatwi tę sprawę.

- Masz go przy sobie? - szepnęła dziewczyna ucieszona i aż podskoczyła z radości. -

Czy mogę zobaczyć, jak będziesz je podlewał?

- Oczywiście.

Była tak pełna życia, taka szczerą, że Marco wprost nie mógł się napatrzeć na tę delikatną istotkę. Oczywiście miał już wcześniej do czynienia z dziewczętami z rodu elfów i znał ich wcale niemało, ale tę uznał za naprawdę wyjątkową.

Była bowiem nie tylko młodą dziewczyną, lecz zarazem taką kobietą o kuszącym kształtnym ciele, promieniejącym zmysłowością. Może być niebezpieczna dla młodych elfich chłopców, pomyślał

Marco z uśmiechem.

Dziewczyna podobna była do kogoś, kogo już widział. Ale nie był w stanie sobie przypomnieć, do kogo. Na próżno wyęsał mózg.

- Jak miło, że wróciłeś, Marco! W Królestwie Światła ogromnie za tobą tęskniliśmy.

- Dziękuję. Znasz więc moje imię?

- Jak mogłabym go nie znać? Przecież cię znają wszyscy, dobrze wiesz.

Popatrzyła na niego z śartobliwym uśmiechem. Marco poczuł się nim niemal oślepiiony.

- A ty jak masz na imię?

- Ty możesz mnie nazywać Victoria, ale nie wszystkim wolno tak do mnie mówić.

Marco zerknął na nią z ukosa, kiedy odchodzili od kwiatowej rabaty. On, który nigdy nie traktował kobiet jak kobiety, poczuł nagłe zaufanie do tej panny z rodu elfów. Oczywiście ona była kobietą, czuł jednak, że coś ich łączy. Jakieś niewymuszone koleśństwo, nic wzajemnego zrozumienia. Mogli się sobie nawzajem zwierzyć bez lęku, że druga strona zdradzi.

Dziewczyna nie mogła być elfem czystej krwi, była na to zbyt wysoka, chociaż

właściwie elfy mogą mieć przeróżne rozmiary, od maleńkiej Fivrelde poczynając, a kończąc na olbrzymich elfach górskich. Nie, to raczej kolor jej włosów i karnacja, ciemniejsze niż

zwykle u elfów, wskazywały na obcą domieszkę. Poza tym miała wszelkie cechy charakterystyczne dla elfów.

Rozbawiła go jej promienna radość, gdy stali nachyleni nad rabatą. Wylał kropelkę eliksiru i przyglądali się, jak roślinki się prostują, jak goją się ich rany, a kwiaty robią jeszcze wspanialsze.

Wiedzę dziewczyna miała niewielką, lecz widać było, że chętnie się uczy. Zasypała go pytaniami o najprzeróżniejsze rzeczy, takie jak na przykład dlaczego kijanki nie potrafią fruwać i jak można zostać członkiem Wielkiej Rady. Marco lubił odpowiadać i nauczać, miał

tylko nadzieję, że nie przemawia jak stary mędrak.

Bardzo niechętnie rozstał się z Victorią, a kiedy gondola uniosła się w powietrze, dziewczyna długo machała mu ręką i uśmiechała się szelmowsko.

On tak że jej pomachał, lecz ten uśmieszek zasiał w jego sercu niepewność.

Armas leżał nafaszerowany różnymi lekami, usmierzającymi ból i działającymi usypiająco. Zapadłszy w śpiączkę, powrócił pamięcią do jakiegoś dziwnego ciasnego pomieszczenia. Wydawało mu się, że przez cały czas był całkowicie nieprzytomny, tak jednak być nie mogło, teraz bowiem powróciły wspomnienia duchoty, zimnego potu i bólu, pełnych złości narzekania Berengarii i Móriego, który wśród iskrzy grobowych ciemności starał się ją uspokoić.

Mogło to być wspomnienie zaledwie jakiegoś przelotnego momentu, więcej bowiem nie pamiętał, tylko taki obrazek i nic poza tym.

Muszę ratować Berengarię, pomyślał zamroczony, kręcąc się w szpitalnym łóżku.

Muszę ją ratować, Móriego także, lecz on lepiej sobie poradzi. Czarnoksiężnik jest silny, da sobie radę.

No ale Berengaria, ta nieszczęsna dziewczyna... Czy ktoś o tak niezwyklej urodzie ma zginąć? Czy jej złośliwe, cięte odpowiedzi muszą zamilknąć na zawsze? Naprawdę miałyby już więcej nie istnieć?

Muszę spieszyć jej na ratunek, nie mogę tak tu leżeć!

Oczywiście dziewczyna była też prawdziwym utrapieniem, lazała za mną, przekonana, że ulegnę jej niezwyklej urokowi. Jak można być tak głupim? Przecież ona ani trochę nie jest w moim typie! Te jej zmienne nastroje... Okropna z niej gaduła, kokietka i...

Móri twierdził, że tak było dawno temu, że ona się już teraz zmieniła. Phi, ani trochę w to nie wierzę!

Nagle pojawiło się nieprzyjemne wspomnienie. Móri czy też ktoś inny, nie pamiętał

kto, powiedział, że Berengaria ani trochę się już nie interesuje Armasem, że tamten czas dawno przeminął i dziewczyna zwróciła teraz oczy w zupełnie inną stronę.

E tam, powiedzieli tak tylko po to, żeby się z nim droczyć. Przecież on doskonale wie, kim się interesuje Berengaria. Niestety, aż za dobrze.

Głupia dziewczyna! Jest jak kamień u szyi, którego nigdy nie zdoła się pozbyć!

Czy on nie zazna już spokoju?

Armas ze szpitalnego łóżka patrzył na górującego nad nim surowego ojca. Strażnik Góry przemawiał do niego powagą tonem:

- Ogromnie się cieszymy, Armasie, z tego, że cię odzyskaliśmy, właściwie byłeś już

po drugiej stronie. Matka przesyła ci pozdrowienia, ona nie chciała... nie mogła przyjść teraz ze mną.

Bardzo zmartwiło to Armasa. Matka, miła, prosta Fionella, zawsze pełniła funkcję resora, łagodzącego twarde wymagania stawiane przez ojca. A skoro matka nie chciała teraz przyjść...

Straśnik Góry, potężny władczy męszczyzna, wyprostował się. Nie był prawdziwym Obcym, tak jak Faron czy Erion, gdyż jego krew przemieszana była z krwią Lemuryjczyków.

Mimo to jednak uważano go za Obcego, w dodatku na tyle wysoko urodzonego, by otrzymał pozwolenie na zamieszkanie na ich zewnętrznych obszarach, tam gdzie również znalazły miejsce dla siebie zwierzęta z powierzchni Ziemi, którym groziło wyginięcie. Krew Lemuryjczyków przedostała się w jego geny już dawno temu i od tamtej pory w jego drzewie genealogicznym znajdowali się wyłącznie Obcy.

Armas doskonale znał własne pochodzenie. Ojciec, podobnie jak inni pół - Obcy, otrzymał zlecenie, by wymieszać swoją krew z ludzką na Ziemi i dzięki temu zapewnić ludzkości wyższą inteligencję oraz inne wartościowe cechy.

W pewną czarodziejską noc Straśnik Góry rzucił urok na pokojówkę księżnej Teresy, Fionellę, i spłodził z nią dziecko. Ku własnemu zdziwieniu jednak zakochał się na zabój w tej prostej młodej dziewczynie i zabrał ją ze sobą do Królestwa Światła. Nie takie wprawdzie miał plany, lecz małżeństwo okazało się ze wszech miar szczęśliwe. Armas podejrzewał, że to w dużym stopniu zasługa jego matki. Ona zawsze potrafiła wszystko wygładzić, była łagodna i śyczliwa, ojciec zaś naprawdę ją kochał. Niestety, niekiedy przeżywała też ciężkie chwile, zwłaszcza w kwestii wychowania Armasa wychodziły na jaw surowe zasady męsa i jego ogromne ambicje w stosunku do syna.

Armas więc zastanawiał się teraz, o czym to pragnie rozmawiać z nim ojciec. Z

jakiegoś powodu czuł się niespokojny.

Straśnik Góry wydawał się potężniejszy niż kiedykolwiek, gdy patrzyło się na niego z perspektywy szpitalnego łóżka.

- Synu, znalazłem dla ciebie naprawdę godną sionę.

Armas zdrętwiał. Co też teraz będzie?

- Jesteś obdarzony wieloma wyjątkowymi zdolnościami, Armasie. Jesteś dobrym reprezentantem nas, Obcych, starszyzna dawno temu już zezwoliła ci na małżeństwo z prawdziwą kobietą z rodu Obcych.

Armas nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa.

- Zawarłem więc już umowę z jej ojcem, jednym z tych, którzy byli nieobecni, gdy Marco przeprowadzi! zabieg na skórze prawdziwych Obcych tak, by mogli wszędzie się swobodnie poruszać. Dlatego też wciąż nosi maskę, taką w jakiej po raz pierwszy ujrzałeś Farena...

Armas pokiwał głową. Dalej, do rzeczy, pomyślał.

- Obiecał ci swoją córkę, to naprawdę fantastyczna dziewczyna, zapewniam.

- Czy nie możesz teraz poprosić Marca, żeby zajął się jego skórą? - spytał syn, próbując się ratować podjęciem jakiegoś mało istotnego tematu. Nie bardzo mu się podobało, że rozmowa przybrała taki obrót.

- No, oczywiście, ale Marco przecieŜ aŜ do tej pory przebywał na powierzchni Ziemi -

odparł lekko poirytowany StraŜnik Góry. - Lekarze mówią, że możesz juŜ dzisiaj zostać wypisany, zabiorę cię stąd po południu i wtedy będziesz mógł poznać swoją narzeczoną. Nie rozczarujesz się, zapewniam.

Armas nareszcie zrozumiał, na co się zanoszą.

- Ale przecieŜ ja kocham inną i właśnie z nią chcę się oŜenić!

StraŜnik Góry ściągnął brwi. O, to zły znak, szkoda, że nie ma matki!

- Czy wolno mi zapytać, kto to taki? Owszem, doszły mnie słuchy o tym twoim zauroczeniu jakąś pogańską postacią z baśni, tą Kari...

- Ojczy, nie mówimy teraz o boskich istotach!

- Tak właśnie można określić nas, Obcych.

Armasowi od tych słów zrobiło się słabo. Tym razem ojciec posunął się za daleko.

- Nie Ŝyczę sobie, żeby ktokolwiek nazywał Kari poganką - oświadczył, czując, jak serce ściska mu się w piersi. - PrzecieŜ pogodzenie się z jej stratą zabrało mi miesiące, ba, niemal cały rok! Ona była moją pierwszą wielką miłością.

Ojciec prychnął.

- Jeśli ona była pierwszą, to kim jest teraz ta obecna?

- To Berengaria.

- Berengaria??? - StraŜnik Góry wręcz wypluł imię dziewczyny. - Ta niemądra strojnisia? PrzecieŜ zawsze jej unikałeś!

- Myliłem się - mruknął Armas, którego ogarnęła wielka ochota, żeby schować się pod kołdrę. - Doszedłem do wniosku, że ona jest właściwą dla mnie dziewczyną. Jest teŜ we mnie zakochana.

- Zwyczajny człowiek? Czyś ty zupełnie stracił rozum, chłopcze?

- Berengaria nie jest wcale Ŝadnym zwyczajnym człowiekiem. Jej ojciec, Rafael, urodził się w rodzinie von Virneburg, jest adoptowanym synem księżnej Theresy. Matka Berengarii równieŜ

pochodzi z najznamienitszej szlachty.

Ojciec z rezygnacją opadł na krzesło.

- Ale czy ty nie pojmujesz, że szlachetna krew Obcych, jaka płynie w twoich żyłach, w iście katastrofalny sposób się rozrzedzi, jeśli poślubisz ludzką istotę?

- Tobie to nie przeszkadzało - przypominał mu Armas nie bez złośliwości. Snobizm ojca ogromnie go rozgniewał.

- Nie mówimy teraz o twojej matce - usadził go ostro Strażnik Góry. - Mówimy o tobie.

Armas usiadł na łóżku, oparł się na łokciu. Po raz pierwszy tak naprawdę ośmielił się sprzeciwić ojcu i wprost parsknął z gniewu.

- Jestem równie jej synem, a ona jest w stu procentach człowiekiem. Ty zaś sam, ojcze, jesteś po części Lemuryjczykiem. To nie czyni ze mnie Obcego pełnej krwi.

Strażnik Góry był teraz purpurowy na twarzy.

- Zgoda, ale odziedziczyłeś cechy, dzięki którym przewyższasz bardzo wielu pół -

Obcych, dlatego właśnie zostałeś zaakceptowany jako przyszły mąż drogiej Vinnie.

- Ach, tak, a więc ona tak ma na imię? Ojcze, zaaranżowane małżeństwa już się przeżyły, są niecywilizowane, to barbarzyństwo. Ja pragnę Berengarii i jestem tego pewien bardziej niż kiedykolwiek.

Ojciec wstał.

- Zaczekaj tylko, a zobaczysz Vinnie - oświadczył i z triumfalnym uśmiechem opuścił pokój. Na koniec rzucił jeszcze: - Przyjdę po ciebie o czwartej.

Armas został sam. Nigdy w Syciu, pomyślał, nigdy w Syciu nie zdradzę Berengarii, przecież ona tak bardzo mnie kocha. A ja ją!

że te nie odkryłem tego wcześniej! Naprawdę byłem ślepy!

Armas był chyba tym z grupy Poszukiwaczy Przygód, którego wychowano w najmniej właściwy sposób. Jeżeli ktoś od wczesnych lat dzieciennych słucha jedynie o tym, jaki jest wyjątkowy i jak bardzo przewyższa wszystkich kolegów, nigdy nie wychodzi mu to na dobre.

Również stawianie młodemu człowiekowi niezwykle wysokich, wręcz niemożliwych do realizacji wymagań nie jest najlepsze. Armas naprawdę ciężko nad sobą pracował, by być takim jak inni Poszukiwacze Przygód, lecz oczekiwania ojca wielokrotnie stanowiły dla niego wielkie obciążenie.

Tego popołudnia, wróciwszy do domu na wciąż niepewnie stąpających nogach, zastał

w nim wyraźnie zmartwioną matkę. Mieli gości i Fionella zaraz zaprowadziła syna, Œeby się przywitał. Nic przy tym nie mówiła. Armas wyczuwał jednak, Œe ani trochę nie jest uszczęśliwiona tym, co przygotował jej mąż.

Gdy jednak Armas zobaczył owo cudowne stworzenie, które wdzięcznie uśmiechało się do niego z głębi salonu, mógł tylko błogo westchnąć w duchu.

Piękniejszej dziewczyny nigdy nie widział. Ach, skocz do morza, Berengario, albo idź do domu, bo tu nie masz się z kim mierzyć!

Twarz dziewczyny o idealnych rysach otaczały lśniące złocistoblond loki. Armas wiedział, Œe wśród Obcych są równieŒ blondynki, chociaŒ stanowiły mniejszość. Często je widywał w zewnętrznej części Królestwa Obcych. Nie przypuszczał jednak, Œe równieŒ wśród tych czystej rasy moŒna spotkać jasnowłose. A moŒe się mylił? Nie pamiętał. Poza tym teraz Œadne granice juŒ nie istniały, Marco wszak umoŒliwił im swobodne poruszanie się.

Ale Vinnie była doprawdy wyjątkowa w całej tej swojej jasności. Włosy o barwie zboŒa sięgały jej aŒ do pasa i pięknie kontrastowały z krótką czerwoną sukienką, odsłaniającą znaczną część zgrabnych rasowych nóg. Na stopach nosiła lekkie buty w tym samym kolorze co sukienka. Figurę teŒ miała świetną, w głębokim wycięciu sukni widać było piersi krągłe jak dojrzałe jabłko. Nie była przy tym ani trochę wyzywająca, przeciwnie, nieśmiały uśmiech, zdaniem Armasa, przydawał jej wyglądu niedoświadczonej pensjonarki. Nie była teŒ tak wysoka, jak zwykle Obcy. O wiele niŒsza od ojca. Przypominała raczej niezwykle udaną mieszanekę Lemuryjczyka, człowieka i Obcego, a ojciec jej przyznał później, Œe w Œyłach matki Vinnie znalazła się niewielka domieszka innej krwi, lecz do tego przemieszania doszło bardzo dawno temu. On sam był Obcym czystej rasy. Armas ocknął się z zauroczenia i jękając się przypominał, Œe poniewaŒ Marco powrócił do Królestwa Œwiatła, to ojciec Vinnie moŒe iść na zabieg do szlachetnego księcia, by móc wreszcie zrzucić tę maskę, zakrywającą niezwykle wraŒliwą skórę.

Obcy z uśmiechem podziękował mu za miłe słowa.

- Niebawem odwiedzę księcia Marca, nie mogę się juŒ tego doczekać.

Fionella wreszcie się odezwała:

- Nasz syn właśnie wrócił ze szpitala, czy pozwolicie, Œeby usiadł?

- Armasowi nic nie dolega - uśmiechnął się StraŒnik Góry do gości, Œonie zaś posłał

pełne wyrzutu spojrzenie. - Ale chyba wszyscy moŒemy usiąść?

Armas ze smutnym uśmiechem patrzył na ojca Vinnie. Gdy ten siadał, chłopak bez trudu dostrzegł jego szczególne sztywne ruchy, takie same jak ruchy Farona podczas wyprawy w Góry Czarne. Nic dziwnego, Obcy całe ciało miał przecieŒ spowite w miękką materię, chroniącą skórę niczym pancerz przed powietrzem zarówno we wnętrzu, jak i na powierzchni Ziemi.

Dobrze, Œe Marco potrafił temu zaradziŒ!

Rozmowa toczyła siŒ doŒ niemiŒ. Armas w niej nie uczestniczył, wystarczyło mu juŒ to, Œe intensywnie wyczuwał bliskoŒ Vinnie siedzĄcej obok na kanapie. Bał siŒ na niĄ spojrzeŒ, Œeby przypadkiem siŒ nie zdradziŒ ze swym bezgranicznym podziwem. Ku wÅasnemu przeraŒeniu zorientował siŒ jednak, Œe obaj ojcowie zaczli omawiaŒ coŒ w rodzaju kontraktu Œlubnego miŒdzy nim a Vinnie. Jego matka Fionella czym prŒdziej opuŒciÅa pokój, jak gdyby chciaÅa przez to zaprotestowaŒ, on sam równieŒ miaÅ ohoŒę postĄpiŒ podobnie.

Ojciec jednak przytrzymaÅ go wzrokiem.

Armas nie ŒyczyÅ sobie, by w taki oto sposoŒ wytyczano mu przyszÅoŒ, pragnÅ

najpierw poznaŒ Vinnie, tak jak sam tego chciaÅ, delikatnie, ostroŒnie i romantycznie.

PrzecieŒ oni odzierajĄ caÅy ten zwiĄzek z wszelkiej czuÅoŒci, wzajemnego oddania i okradajĄ z tej radoŒci, jakĄ daje zbliŒanie siŒ do siebie!

Wizyta trwaÅa doŒ krótko, obiecano mu jednak spotkanie z przyszÅĄ ŒonĄ juŒ

nastŒpnego dnia. MusiaÅ siŒ wiŒc uzbroiŒ siŒ w cierpliwoŒŒ.

Gdy jednak tej nocy leŒÅ w swoim łoŒku, jego mózg zacząÅ pracowaŒ.

Co ja wÅasciwie robiŒ? PrzecieŒ miaÅem nigdy nie zdradziŒ Berengarii. PrzecieŒ to wÅasnie jĄ kocham! A ona naprawdŒ siŒ zaÅamie, jeŒli poŒlubię innĄ!

SÅyszaÅem przecieŒ, jak byÅo z Jaskarim, któremu wydawaÅo siŒ, Œe siŒ w niej zakochaÅ

i oŒmieniÅ siŒ jĄ pocaÅowaŒ. PrychnęÅa tylko jak rozzÅoszczona kotka i oŒwiadczyÅa mu prosto z mostu, Œe ani trochŒ nie jest nim zainteresowana.

No tak, to jasne, nie miaÅem odwagi powiedzieŒ Jaskariemu, Œe ona kocha wÅasnie mnie, ale to juŒ niepotrzebne, on znalazÅ innĄ, Alteę. No cÓŒ, jeŒli siŒ nie ma, co siŒ lubi, to siŒ lubi, co siŒ ma. Ach, nie, to zbyt banalne rozumowanie, niegodne mnie. W dodatku oni podobno sĄ bardzo ŒczęŒliwi.

To dobrze.

Vinnie...

JuŒ sam dŒwiŒk jej imienia jest jak pieszczota. Ta wspaniaÅa osóbkA rzuca wyzwanie mojej rycerskoŒci. Jest zupełnie inna niŒ ta tyczka od fasoli, Berengaria, która groziÅ, Œe przeroŒnie mnie o gÅowŒ. Na ŒczęŒcie tak siŒ nie staÅo, ale brakowaÅo niewiele.

Ach, jakŒe mi trudno, walczĄ o mnie dwie naprawdŒ cudowne kobiety, a ja nie wiem, na którĄ mam siŒ zdecydowaŒ!

RównieŜ Marco leŜał nie śpiąc o tym wczesnym poranku. W jego duszê przeniknęło tchnienie czegoś cudownego, pełnego słodyczy, wypełniając jego myśli napięciem, jakiego nigdy dotychczas nie zaznał. W jednej chwili Śycie stało się takie cudowne.

Na jego wargach ukazał się niezwykle uśmiech. Właściwie powinien przejmować się wszelkimi problemami, które dotknęły świat, na przykład atakami w Królestwie Światła i tajemniczym zniknięciem Móriego i Berengarii, lecz wyjątkowo, zupełnie wyjątkowo potrafił

myśleć jedynie o sobie samym i o tym, jak piękne jest Śycie.

Która mogła być godzina? Ach, nie, nie może dzwonić do Lilji o tej porze, ale koniecznie musi ją o coś spytać. O coś, co w jednej chwili nabrało dla niego niezwykłego znaczenia.

Tej nocy miało miejsce wiele zdarzeń, o których ani Armas, ani Marco, zatopieni w myślach i marzeniach, nie mieli pojęcia.

MoŜna było odnieść wrażenie, Ŝe na Królestwo Światła prawdziwą inwazję przypuściło piekło. Przez całą noc bowiem działo się wiele niewyjaśnionych rzeczy, i to w róŜnych miejscach.

Zniszczenie ściany domu Sol i sabotaŜ w laboratorium stanowiły jedynie nieśmiały początek. Były ostrzeŜeniem i nieudaną próbą.

Pierwsza rzecz, jaka się zdarzyła, przedstawiała się dość niewinnie. Faron przyszedł do Gorama i Lilji z prośbą, by poŜyczili mu swoją gondolę, gdyŜ jego własna nie nadawała się do wykonania zadania.

Goram, nieco zdziwiony, oczywiście się zgodził, nie mógł jednak powstrzymać się od pytania, dlaczego.

No cóŜ, Faron nie miał siły dłuŜej czekać, pragnął wyprawić się na powierzchnię Ziemi i wyruszyć na poszukiwanie Móriego i Berengarii. Dowodzenie w Królestwie Światła przejął Erion, a ponieważ Ŝe jeszcze tego wieczoru na Ziemię wyruszała rakieta, Faron postanowił wykorzystać tę okazję.

Goram, który doskonale rozumiał jego niepokój, zapewnił, Ŝe przez jakiś czas nie będą potrzebowali gondoli. Dodał jednak, Ŝe później równieŜ oni zechcą wyprawić się na poszukiwania.

- Oczywiście w tym czasie będziecie mogli korzystać z mojej gondoli - powiedział

Faron, a Goram cały aŜ się rozjaśnił. Gondola Farona była doprawdy wyjątkowa, prawdziwie wymarzona zabawka dla duŜych i małych chłopców. Goram jednak zgadzał się z Faronem, Ŝe nie naleŜy jej uŜywać w świecie na powierzchni Ziemi.

Tak więc Faron wreszcie wyruszył, niecierpliwiać się aŜ po koniuszki palców. W

końcu przestanie juŜ beczynn timer siedzieć, mając za towarzystwo jedynie swój lęk o Ŝycie zaginionych.

Potem zaś rozpętało się piekło. Niemal Ŝe dosłownie.

Wczesnym wieczorem wyjechać musiała straŜ poŜarna. W Królestwie Światła rzadko zdarzały się poŜary, domy były doskonale zabezpieczone przed ogniem. Tym razem jednak poŜar wybuchł naprawdę, w domu Rama i Indry.

Właściciele przebywali na powierzchni Ziemi, nie mogli więc go strzec. Na szczęście zaczął wyc pies sąsiadów, budząc swego pana. MęŜczyzna wybiegł czym prędzej na zewnątrz i zobaczył, Ŝe z

pięknej willi Rama bucha dym. Natychmiast zawiadomił strażaków i służby weterynaryjne, bo pies leżał nieruchomo na trawniku.

Jaskari przybył niebawem i zaraz zajął się zwierzęciem, strażacy zaś szybko i skutecznie ugasili pożar. Spłonęła jedynie część wyposażenia, ściany domu były ogniotrwałe.

- Z psem wszystko będzie w porządku - uspokajał Jaskari zadowolonego właściciela. -

Ale nie bardzo wiem, co mu się stało, wygląda na to, jakby ktoś poczęstował go solidnym kopniakiem, jakby został uderzony kopytem czy czymś podobnym? Ale od góry? Kopniaki zwykle wymierza się z boku, no, ewentualnie od dołu...

Jeden z gapiów otaczających Jaskariego już wcześniej słyszał plotki, które coraz bardziej okazywały się prawdziwe.

- Czy to mogło być kopyto?

Jaskari podniósł głowę.

- Bardzo możliwe - odparł.

Goram obudził się w środku nocy. Usiadł na łóżku.

- Liljo, ktoś jest w domu! Masz tu swój obezwładniający pistolet i nie ruszaj się stąd!

Dziewczyna zaspana uniosła się na łokciu. Dzień wcześniej otrzymali błogosławieństwo w blasku Świętego Słońca i byli już parą oficjalnie, oddano im też do dyspozycji jeden z domów. Matka Lilji nie bardzo wiedziała, jak ma się ustosunkować do tego małżeństwa, czy powinna czuć się urażona faktem, że córka poślubiła Lemuryczyka, czy też może raczej odczuwać dumę? Goram wszak jako Strażnik z Elity stał wysoko w hierarchii Królestwa Światła, ale przecież zrezygnował z tej szczytnej służby. Kobieta naprawdę nie była w stanie niczego pojąć.

Goram na palcach zszedł na dół po szerokich schodach prowadzących z sypialni. Lilja czekała, rozdarta pomiędzy pragnieniem, by być razem z nim, a chęcią schowania się pod kołdrę i zatkania sobie uszu. Zdecydowała, że będzie siedzieć i nasłuchiwać.

Usłyszała jakiś słaby dźwięk, a potem odgłos biegnących kroków. Później trzasnęły wejściowe drzwi i zaraz potem Goram wrócił na górę.

- Co to było?

Pokręcił głową.

- Nie zdążyłem zauważyć, co się stało. Jakaś postać wymknęła się przez drzwi, kiedy jeszcze byłem na schodach. Wybiegłem w samych gatkach, nie ubierałem się, lecz i tak nic nie zdołałem zobaczyć. Obszedłem dom, ale bez rezultatów. Bez względu na to, kim był ten człowiek, to nic nie zdążył zrobić. Usłyszałem, jak skrzypnął zamek w drzwiach, kiedy wchodził, a to znaczy, że nic przedostał

się dalej niż do hallu, zanim ja zbiegłem na dół.

- Ale jak udało mu się wejść do środka?

- No właśnie! Kto zna kod do naszego domu? Musimy to sprawdzić.

Wrócili do Łódzka i podjęli na nowo przyjemności, jakie już zdążyli poznać, wynikające z relacji między mężczyzną a kobietą. Oboje zaliczali się do początkujących i wiele pozostawało im do nadrobienia, ale oboje byli bardzo chętni do nauki.

W wielkiej bazie raketowej panowała cisza, odkąd rakietę, która miała przewieźć Farona i wielu innych na powierzchnię Ziemi, została wystrzelona. Większość rakiet znajdowała się teraz w zewnętrznym świecie, w Królestwie Światła pozostała tylko jedna: ta, która wróciła jako ostatnia z Grenlandii, przywożąc na pokładzie Gorama i Lilję. Należało dokonać bardzo gruntownego jej przeglądu, zanim będzie mogła wyruszyć na nowo.

Baza, podobnie jak laboratorium Madragów, była bardzo pilnie strzeżona. Tylko nieliczni znali kody, nie zapominano też włączyć alarmu. W nocnej ciszy nikt nie przeczuwał niebezpieczeństwa.

W pewnym momencie jednak jakiś słaby zapach chemikaliów dotarł do Strażników pilnujących wejścia. Więcej nie zdążyli zarejestrować, zaraz bowiem osunęli się na ziemię.

Zablokowane kodem drzwi otwierały się jedne po drugich...

To samo powtórzyło się nieco później w laboratoriach w Srebrzystym Lesie. Tam, rzecz jasna, po włamaniu, które miało miejsce poprzedniej nocy, strażę dodatkowo wzmocniono.

Mimo to jednak wszystko potoczyło się źle.

Strażnicy powinni byli być przygotowani na to, że mogą zostać oszołomieni.

Ale przecież zarówno bazę raketową, jak i laboratoria w Srebrzystym Lesie ze wszystkich stron otaczała otwarta przestrzeń, nikt więc nie mógł się podkraść nie zauważony.

Może zresztą na razie nie traktowano ukrytego zagrożenia z należytą powagą? Jakaś istota przypominająca kozła? Czyżby nie potrafili się bronić przed czymś takim?

Najwyraźniej nie.

Kiedy wstał świt, katastrofa stała się widoczna dla wszystkich.

- Liljo! - zawołał Goram. Jego głos poniósł się echem w ich nowym, jasnym i przyjemnie chłodnym domu, nie zdołali bowiem jeszcze w pełni się umeblować. - Marco chce z tobą rozmawiać.

- Marco? - powtórzyła Lilja z szacunkiem, wychodząc z łazienki w białym frotowymi szlafroku i wycierając włosy ręcznikiem. - A czego on może ode mnie chcieć?

Wzięła od Gorama poręczny mały aparacik.

- Cześć, Marco, witaj!

- Wiem, że dzwonię wcześnie, ale potrzebuję od ciebie pewnych informacji.

- Ode mnie?

Ach, musi przestać powtarzać jak echo, wystrzegać się takich niemądrych powtórzeń.

Ojej, woda kapie na telefon! Owinęła włosy ręcznikiem.

- Tak, chodzi mi o tę dziewczynę, która ciebie uratowała. Jak ona wyglądała?

Lilja całym wysiłkiem woli wstrzymała się, żeby nie powiedzieć: „Jak wyglądała?”, i spróbowała skupić się na wrażeniu, jakie pozostawiła w jej pamięci dziewczyna.

- Hm... Co by tu powiedzieć? Hyla pełna wdzięku...

- Jak elf?

- Może i tak, tylko większa niż elfy.

- Elfy potrafią mieć bardzo różne wymiary. Opisz ją!

- No cóż, twarz miała przesłoniętą jakby szalem albo chustką czy czymś podobnym, cieniutkim jak jedwab, widziałam jednak, że jest bardzo piękna.

- I włosy o barwie miedzi?

- Hm... nazwałabym ten kolor raczej kolorem mosiądzu, ale to oczywiście kwestia światła. Właściwie tak, w innym oświetleniu to mogło wyglądać jak miedź.

- I zielone oczy?

- Tego nie wiem.

- A w co była ubrana? W coś cienkiego, jasnozielonego?

- Raczej jasnoniebieskiego. Och, Marco, zaczynam mówić, jakbym była daltonistką, ale zielony i niebieski niekiedy trudno od siebie odróżnić. Często tak bywa z samochodami, niektórzy świadkowie twierdzą, że samochód był zielony, a inni że niebieski. No, ale samochody są przecież tylko w mieście nieprzystosowanych...

Ach, cóż ona za głupstwa wygaduje, Marco pewnie zaczyna się już niecierpliwić.

Wcale jednak tak nie było.

- I mówisz, że ona ma na imię Vicky? - Tak.

- Czy mogłabyś opisać jej charakter?

Och, czy on naprawdę musi zadawać aż tak trudne pytania?

- Była bardzo żywiołowa, pełna zapału...

- Pełna zapału? Hm. Cóż, dziękuję, to mi wystarczy.

- A o co chodzi, Marco?

Usłyszała, że Marco głęboko oddycha.

- Widzisz, Liljo, spotkałem wczoraj młodą dziewczynę w lesie elfów, w pobliżu parkingu dla gondoli. Miała na imię Victoria i była doprawdy czarująca. Mam wrażenie, że może chodzić o tę samą osobę.

- Ach, to wspaniale, bardzo chciałabym jej podziękować. Czy wiesz, gdzie ona mieszka?

- Nie, za to wiem, gdzie mieszka jej babcia.

- To niezły początek.

Marco powiedział, że również tego dnia musi wybrać się do laboratorium Madragów i porozmawiać z nimi na temat środków, które mogłyby zapobiec epidemiom, niszczącym świat na powierzchni Ziemi. Wprawdzie większą część ludzkości udało się oczyścić ze złych myśli, nie chciano jednak dopuścić, by dobre teraz istoty miały cierpieć na zupełnie niepotrzebne choroby.

- Czyżby wybuchły jakieś niebezpieczne epidemie? - dopytywała się Lilja.

- Ostatnio nie jest tak źle. Jeśli uda nam się zaradzić coś na te kilka istniejących zagrożeń, to naprawdę zajdziemy daleko. Zaczekaj chwilę, Liljo, Erion mnie wzywa.

Od tej chwili wybuchło piekło. Marco dowiedział się, co zaszło minionej nocy, i przekazał tę informację Lilji i Goramowi. Uzgodnili, że wszyscy spotkają się na placu ratuszowym, tam bowiem, jak obwieścił grobowym głosem Erion, również jest co oglądać.

Lilja stała na środku placu i odczytywała napisy na fasadzie ratusza. Groźby wymalowano sprayem jasną, błyszczącą czerwoną farbą.

Tu mieszkają same tylko rozochoczone babska, które nie mają szans na to, żeby posmakować...

Och, ale to wstrętne!

Lilja umilkła, czerwona na twarzy.

Męszczyzn tak bardzo nie wzruszyły obsceniczne wulgaryzmy, znacznie bardziej zainteresowały ich zdania z rodzaju tych: *Nie myślcie sobie, że jesteście najsilniejsi! My mamy atuty w ręku!*

Dalej następowały mroczne groźby.

- A więc ich jest więcej - powiedział Erion.

- Musi ich być więcej - stwierdziła Sol, ogarnięta śądzą walki. - Jakiś durny kozioł w pojedynkę nie zdołałby narobić całego tego ambarasu. Bo, zdaje się, dzisiejszej nocy stało się coś jeszcze poza włamaniem do bazy raketowej, laboratorium i nabazgraniem tych kretyńskich wymysłów?

- Owszem - cierpko przyznał Goram. - Nasz dom nawiedził jakiś tajemniczy cień.

Dom Rama i Indry o mały włos nie spłonął. Zniszczono tę ścianę domu Theresy w sposób mniej więcej podobny jak u ciebie, Sol.

- A co tam napisano? - jedna przez drugą pytały Eriona zaciekawione Sol i Lilja.

- Ach, tego nie pamiętam! Coś w rodzaju: Ty cholerna, nadęta i napuszczona babo, twój mąż to kompletne zero, czy coś równie inteligentnego.

- Muszę przyznać, że standardy mają skandalicznie niskie - stwierdziła Sol tonem oburzonej nauczycielki z podstawówki.

- Może taki właśnie mają zamiar. Chcą, żebyśmy nie traktowali ich zbyt poważnie - zastanawiał się Marco.

Przyjrzał się uważniej fasadzie ratusza.

- Napis wykonano w oficjalnym języku Królestwa Światła, tym, którego wszyscy się uczą. Mówiąc, możemy używać swoich własnych języków dzięki aparacikom ułatwiającym rozumienie mowy, ale tu widać dwa różne charaktery pisma, widzicie? Groźby napisane są dużymi mocnymi literami, nieprzyzwoite wyzwiska bardziej dziewczęcymi, panięskimi literkami.

- Czyżbyśmy mieli do czynienia z męszczyzną i kobietą?

- Tego nie wiemy. Są przeciwko kobiety, które piszą bardzo mocne litery, i męszczyźni ledwie

skrobiący po papierze.

Kiro, który zawsze był tam, gdzie Sol, powiedział w zamyśleniu:

- Panuje powszechna opinia, że my, w Królestwie Światła, umiemy się bronić przed tego rodzaju nocnym wandalizmem.

- Najwyraźniej tak nie jest - odparł Marco. - Poza tym w tych zniszczeniach nie można się przecież dopatrzeć żadnego sensu, jakiegokolwiek konsekwencji!

Zatopili się w myślach. Usiłowali znaleźć jakiś punkt zaczepienia, niczego takiego jednak najwyraźniej nie było.

- Czego oni szukali w bazie raketowej? - zachodziła w głowę Sol. Ostatnio zaczęła ubierać się bardziej nowocześnie i było jej w tym tak samo do twarzy jak w staromodnym stroju, który nosiła, będąc najlepszą z czarownic Ludzi Lodu.

- Nie słyszałaś, co się stało w bazie? - zdziwił się Marco. - Rakietą, która tam stoi, tą, którą Lilja i Goram wrócili z Grenlandii, ma zniszczone całe wyposażenie, dosłownie rozebrano je na najdrobniejsze kawałeczki.

- Ojej! A to dlaczego?

- Mnie o to pytasz?

- Czy możemy zgadywać, że chodziło im o szlachetne kamienie? - podsunął Erion. -

Przecież przywieziono je tutaj rakietą. Może złoczyńcy właśnie je chcieli wykraść?

- To mało prawdopodobne, ale... kto wie?

- No a laboratorium Madragów? Czego tam szukali?

Odpowiedział Erion:

- Tego na razie jeszcze nie stwierdzono, ale sprawdzamy, czy niczego nie brakuje i czy nic nie zniszczono. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że nie, bo niczego nie rozbito, nie ma żadnej złamanej rurki, tak jak poprzedniej nocy.

- Dobrze i to!

Robotnicy podlegli sztabowi Strażników przyszli zmyć „dzieło sztuki” ze ściany ratusza. Marco wraz z przyjaciółmi stali jeszcze chwilę, przyglądając się ich pracy.

Wyglądało na to, że napisy łatwo się ścierają, stwierdzono, że łobuzy użyły farby na bazie wody.

Wandale musieli posłużyć się czymś w rodzaju strzelającej na dużą odległość strzykawki, gdyż

kropelki farby długimi liniami pokrywały równieŝ rynek. W kaŝdym razie złooczyńcy potrafili dobrze celować.

Wreszcie grupa rozeszła się do swoich zadań.

Sol, obejrząwszy zniszczenia dokonane przez wandalów w różnych miejscach, podreptała do domu. Nie miała daleko, zresztą czuła potrzebę rozruszania kości. Oczywiście wystarczyłoby, żeby znalazła się u siebie, i byłaby tam już w mgnieniu oka, lecz nowe dostojenie, jakiego nabrała, gdy została siostrą i panią domu, na ogół

powstrzymywało ją od tego rodzaju ekscesów. Jej ukochany Kiro niekiedy miewał kłopoty z nadaniem za jej kolejnymi sztuczkami. Teraz poszedł do pracy, był przecież Strażnikiem.

Ale Sol przestała już być czarownicą, przyrzekła to Marcowi. Miło jednak z jego strony, że pozwolił jej zachować zdolności, które miała jako duch. Byle tylko nie przesadzała!

Od dawna już trzymała się w ryzach.

Wędrowała sobie spokojnie w stronę domu, a z wolna narastało w niej wrażenie, że jest śledzona.

Co za nonsens! Rozejrzała się wkoło, na ulicy pełno było ludzi spieszących w różne strony. Nie dojrzała wśród nich żadnego podejrzanego typu.

Na ostatnim odcinku musiała przejść przez gęsto zarośnięty park.

Jakie to dziwne! Gotowa była przysiąc, że ktoś za nią idzie. Podpowiadała jej to niezwykła intuicja.

No cóż, każdemu przecież wolno tędy chodzić. Ścieżki wijące się przez park są dostępne dla wszystkich!

Czuła jednak, jak od tego paskudnego uczucia, że ktoś ją śledzi, włosy powoli jeść jej się na głowie.

Odwróciła się gwałtownie.

Jakaś kobieta z dziecięcym wózkiem i obok niej mały chłopiec. No, ale za nimi... Czy tam, wśród ciemnych cyprysów, nie dostrzegła jakiegoś pospiesznego ruchu? Czy ktoś nie ukrył się w cieniu?

Nie mogła krzyknąć „stara świnię!”, bo przecież od podejrzanego osobnika oddzielała ją Boga ducha winna matka.

Park się skończył, zaczynała się już dzielnica willowa. Sol dotarła do domu.

Starannie zamknęła za sobą drzwi na klucz, wciąż czując w ciele nieprzyjemny niepokój, ale w pobliżu nikogo nie zauważyła.

Poprzedniego dnia położyła się bardzo późno, a poranek pełen był poruszających wieści o potworach krążących po mieście i straszących niewinnych ludzi. Sol stanowczo za mało spała.

Sen? To również jedno z obciążeń, jakie musiała tolerować, kiedy na powrót stała się człowiekiem. Od dłuższej chwili już tęskniła za powrotem do domu, by choć przez chwilę wypocząć.

Przeszła do sypialni i nacisnęła guzik zamykający wszystkie okna i okienka. Pokój pogrążył się w całkowitych ciemnościach, dało się słyszeć jedynie słaby szum wentylatorów.

Sol zrzuciła buty i w sukience wsunęła się pod lekkie okrycie, nie miała siły, żeby się rozebrać, pragnęła jedynie przyjemnie się rozluźnić.

Zmęczona, nie rozmyślała zbyt dużo nad ostatnimi wydarzeniami, stwierdziła jedynie, że to wszystko jest nieprawdopodobnie dziwne. Skąd wzięła się przypominająca kozła istota?

I to teraz, kiedy w całym Królestwie Światła powinien już panować spokój! To trochę tak, jak gdyby Nemezis ingerowała w bieg wydarzeń. Gdy tylko zdołano poradzić sobie ze złem w jakimś jednym miejscu, ono zaraz ze zdwojoną mocą wybuchało w innym.

Zasnęła.

Obudziła ją czyjaś obecność w pokoju. Nie słyszała żadnego dźwięku, przynajmniej tak jej się zdawało, bo przecież mogła coś słyszeć przez sen. To wyostrzone zmysły powiedziały jej, że nie jest już sama.

- Kiro? Wróciłeś do domu?

Żadnej odpowiedzi, wciąż tylko rozlegał się słaby szum wentylatorów.

Usiadła na łóżku i wyciągnęła rękę w stronę panelu z przyciskami, żeby otworzyć wszystkie okna i wpuścić trochę światła.

Nie działał.

No a sztuczne światło?

Ono również nie dawało się włączyć. W pokoju nadal było ciemno jak w grobie.

Nie mogła tego pojąć, przecież nikt nie mógł wejść do zamkniętego na klucz domu, a Kiro nie zwykł żartować w ten sposób. Takie dowcipy to nie jego specjalność, zwykle wolał

cierpki słowny humor.

To jakiś sen, pomyślała Sol, po prostu sen. Muszę coś zrobić, żeby wreszcie się obudzić.

Ale przecież ona wcale nie spała.

Sekundę później zaatakowała ją jakaś furia.

Sol, nieprzygotowana, w pierwszej chwili pozwoliła się zaskoczyć, ale nie trwało to długo.

Wyczuła, że ma do czynienia z delikatną, lecz zarazem bardzo silną istotą płci żeńskiej o długich włosach, które już zdążyła serdecznie zniechęcić właśnie z powodu ich zmysłowej miękkości.

Wyczuła nienawiść bijącą od tej kobiety, a na własnej skórze poznała jej siłę. Trwało milczenie, ale Sol wydawało się, że napadł ją wielki, prychający kot.

Furia chwyciła Sol za włosy i ciągnęła za nie, uderzając jej głową o poduszkę. Nie było to szczególnie groźne, choć bardzo nieprzyjemne i bolesne. Na dodatek Sol miała wielkie problemy z uwolnieniem się spod kołdry. Wiedziała, że jest silniejsza, ale wściekłość przydała napastnicze nieoczekiwanych sił. Wreszcie jednak czarownicy z Ludzi Lodu udało się na tyle mocno szarpnąć ciałem, że obie osunęły się na podłogę, oplątane kołdrą.

Teraz Sol sięgnęła po poduszkę i zaczęła nią uderzać nieznajomą. Nie na wiele się to zdało, zresztą zaraz otrzymała potężny cios. To wazon rozbił jej się na głowie, a kwiaty, woda i odłamki szkła rozprysnęły się wokół.

- Och, do diabła! - wrzasnęła Sol, zbierając wszystkie siły. - Dość już tego!

To jest mój dom, powtarzała w myślach. Nie masz tu nic do roboty, a atakować w taki sposób... Doprawdy, trudno o gorsze maniery!

Poderwała się na nogi, przewracając furię, i zaraz obie zaczęły przetaczać się po podłodze we wścieklej walce. Ciągnęły się za włosy, kopały i gryzły, od czasu do czasu zadając sobie nawzajem cios prosto w nos.

Wreszcie Sol zdołała oplątać napastniczkę kołdrą i usiąść na niej.

Istota nie przestawała wierzgać nogami, wiała się nieustannie, usiłując chwycić Sol za gardło.

Wreszcie przyszedł kres anielskiej cierpliwości, jaką w ostatnich miesiącach wykazywała wiedźma z rodu Ludzi Lodu.

Wykonała nieznaczny ruch dłonią i furia przeleciała przez cały pokój, uderzając w ścianę, a huknęło. Spadł nawet jeden z obrazów.

Napastniczka osunęła się na podłogę jak wyśięta ścierka, ale przerażona faktem, że oto obudziła do życia dawną czarnoksięską moc, usiłowała jak najprędzej dotrzeć do drzwi i uciec.

Sol jednak nie miała zamiaru jej na to pozwolić. Doskonale wiedziała, co najmocniej może wstrząsnąć kobietą, wykonała więc jeszcze jeden ruch i wyrzuciła z siebie kilka słów.

Nieznajoma poczuła, że ubranie, które miała na sobie, zwisa w łachmanach, a jej ciało puchnie, staje się niekształtne i paskudne. Wcale nie pełne, gdyś to może być piękne. O, nie, wszystko na niej obrzydliwie wisiało: piersi, brzuch, uda, pośladki, podwójny podbródek...

Z krzykiem - pierwszym odgłosem, jaki wydała - przygarnęła do siebie strzępy ubrania i wybiegła.

Sol cofnęła iluzję i nieznajoma wyglądała teraz całkiem normalnie. Tylko ubranie zniszczyło się już na trwałe, nie mogła się więc nim okryć... Ale to Sol nie obchodziło ani trochę.

Ruszyła w pogoń za napastniczką, lecz potknęła się o własną poduszkę i o tę przeklętą kołdrę. Zdążyła jeszcze tylko zobaczyć przez moment włosy nieznajomej, które w blasku słońca wpadającego przez okna poza sypialnią lśniły niczym metal. Czy miały odcień złota, mosiądzu czy miedzi, tego nie zdążyła stwierdzić.

Sol zbiegła na dół i otworzyła wyjściowe drzwi. Za późno jednak. Droga przed domem była pusta.

Trzykrotnie odetchnęła głęboko, przede wszystkim po to, by uspokoić skołatane nerwy. Oczywiście mogła obrócić tę kobietę w kamień, lecz przyszło jej to do głowy dopiero teraz.

Potem zadzwoniła do Kira, swego pocieszyciela.

Armas przechadzał się po idyllicznym zwierzyńcu i trochę się nad sobą uśalał. Od czasu do czasu trzeba sobie na to pozwolić, to bardzo ludzkie. Jeśli taki stan nie trwa zbyt długo i nie przychodzi w nieodpowiednim momencie, bywa nawet korzystny dla zdrowia psychicznego, byle tylko narzekanie nie weszło w nawyk.

Ciało miał sztywne i lekko utykał. Musiało minąć trochę czasu, zanim nerwy i mięśnie odzyskają pełną władzę po tym niesamowitym upadku nie wiadomo skąd, później zaś po dość brutalnych zabiegach Marca, podjętych w celu wyleczenia i połatania tego, co w nim popękało.

Myśli Armasa szybowały daleko. Ledwie zauważył, że zwierząt jest jakby mniej. To Jaskari z kolegami wysłali tuziny gatunków na powierzchnię Ziemi, gdy tylko okolice, w których wcześniej żyły, stały się gotowe do ich przyjęcia. Powinno to przebiegać najzupełniej bezboleśnie, jako że zwierzęta również zostały uwolnione od skłonności do agresji, w dodatku wszystkie stały się roślinościami. Konsekwencjami tej przemiany dla równowagi ekologicznej na Ziemi Marco obiecał zająć się później.

Wszyscy mieli nadzieję, że książe wie, co robi.

Doskonale zdawali sobie sprawę, że wymagają od niego bardzo wiele, Marco przecież nie był bogiem.

Oczywiście mieszkańcy Królestwa Światła chcieli zachować przynajmniej po kilku przedstawicieli rozmaitych gatunków tutaj, we wnętrzu Ziemi, to się rozumiało samo przez się.

Zwierzętom wysłanym na powierzchnię towarzyszyło wielu opiekunów. Zadanie to powierzono tylko ludziom, tak by nie wystraszyć za bardzo mieszkańców Ziemi.

Opiekunowie mieli zadbać o zapewnienie zwierzętom odpowiednich warunków i dopilnować, by dobrze się czuły w nowym otoczeniu. Na razie wszystko układało się jak najlepiej.

Mieszkańcy Królestwa Światła nie byli naiwni. Wiedzieli, że raju na Ziemi nie zdołają stworzyć. Nawet jeśli uda się zwalczyć w ludzkich duszach zło i wrogość, pozostaną jeszcze inne źródła cierpienia, takie jak choroby czy rany odniesione w wypadkach. Dlatego Marco zamierzał wybrać się do zewnętrznego świata, by je zlikwidować.

Na razie jednak żadna rakieta nie wyruszała na powierzchnię Ziemi, wszystkie wyjścia zostały zamknięte. Tu, we wnętrzu Ziemi, grasowały potwory, które należało pojmać i unieszkodliwić.

Wszyscy starali się zachować czujność nawet tutaj, na dobrze chronionych terenach Obcych. Zamknięto połączenie z pozostałą częścią Królestwa Światła i przechodzić wolno było jedynie tym, którzy mieli tu domy. Jednak ostatnio ruch na przejściu panował niewielki, każdy wołał pozostać tam, gdzie najbezpieczniej.

Wszyscy byli teŹ uzbrojeni. Zwykli cywile mieli pistolety obezwładniające, StraŹnicy znacznie niebezpieczniejsz broń. Nie ulegało juŹ bowiem wtpliwoŹci, Źe bestia, z jak maj do czynienia, jest zła.

RównieŹ wŹród zwierzt krŹyły straŹe. Niekiedy wartownicy mijali teŹ dom StraŹnika Góry.

Tego jednak Armas nie zauwaŹał.

PrzeŹywał prawdziw burz uczuć. Z ogromn niechci podchodził do rady czy teŹ raczej rozkazu ojca, by poŹlubić Vinnie. Cała ta sytuacja przypominała mu staromodne sielskoromantyczne powieŹci dla młodych panien, w których pikna crka nie chce słuŹać surowego ojca i poŹlubić syna najzamoŹniejszego gospodarza we wsi, tylko zakochuje si w urodziwym Cyganie. Ach, jakieŹ to banalne!

A najgorsze w tym wszystkim, Źe Vinnie jest taka pociągajca. Armasa wprost ogarniała słaboŹć na sam myŹl o tej dziewczynie. Kochał Berengarię, to oczywiste, nieustannie to sobie powtarzał i za nic jej nie zdradzi, zwłszcza teraz, gdy znalazła si w takich opalch. Jego, Armasa, nikt nie zdoła nigdy do niczego zmusić. Nikt!

Ale sama myŹl o Vinnie działała niczym balsam na jego poranione ciało i dusz.

Gdyby tylko mógł odwrócić plany ojca i sprzeciwić si jego woli, włśnie poŹlubiajc Vinnie!

To byłoby cudowne!

Och, nie, nie, nie wolno mu zapominać o Berengarii. O małej biednej Berengarii!

Małej? Berengaria wcale nie była mała, raczej strzelista niczym sosna, i odznaczała si niezmiernie siln wol. Odwagi teŹ jej nie brakowało, gotowa była na wszystko. Na to Armas miał aŹ doŹć dowodów w czasie, jaki we trjkę z Mrim spędzili w zewnrznym Źwiecie. Nie bała si niczego, doŹwiadczył tego w okolicach Everglades. W grzskich kanałch aligatory tkwiły jeden przy drugim tuŹ pod powierzchni wody i Armas sprbował j wtedy opiekuńczo otoczyć ramieniem. Dziewczyna wwczas po prostu go odepchnęła.

Bardzo go to uraziło, teraz jednak rozumiał j lepiej. W obecnoŹci Mriego nie chciała okazywać swoich uczuć. Tak włśnie musiało być.

Tęsknota za tym, by znw ujrzeć Vinnie, wprost go paliła. JakaŹ ona kobieca! Jaka łagodna! Jak niepodobna do upartej Berengarii!

W jaki sposób zdoła rozpltać ten dylemat, nie ranic Berengarii ani teŹ nie naraŹajc si na triumfalne słowa ojca: „A nie mówiłem!”

Armas koniecznie chciał sam zdecydować, z kim si oŹeni. I po co taki poŹpiech?

OczywiŹcie znw chodzi o prestiŹ ojca. Och, do diabła, włśnie ojciec nadchodzi, i to takim szybkim

krokiem! Co teŚ on teraz znowu wymyŚli?

Okazało się, Śe Armasowi, owszem, wolno zabrać Vinnie do restauracji.

Chłopakiem aŚ zatrzęŚło, w mózgu znów zapanował chaos. Sprzeciw i gniew pomieszany z gorączką i niecierpliwością, ogarniająca całe ciało. Vinnie... cały wieczór razem, w dodatku poza domem...

Och, nie, nie, sam powinien był na to wpaść! Dlaczego tego nie wymyŚlił? A teraz jako grzeczny syn musiał słuĸać rozkazu ojca. Spróbował uratować chociaŚ resztki honoru.

- WłaŚnie o tym samym myŚlałem - powiedział wolno. - Akurat chciałem spytać.

Byłem chyba trochę nieuprzejmy, kiedy się poznaliŚmy. Doszedłem do wniosku, Śe powinienem to naprawić. Czy jednak moŚemy pójść gdzieś razem? PrzecieŚ nie wolno stąd wychodzić! Podobno grasują jakieś potwory.

- Nie miałem na myŚli restauracji w stolicy ani w Sadze - odparł nieco zniecierpliwiony ojciec. - Pójdziecie gdzieś tutaj, w naleŚącej do Obcych części Królestwa.

Do pół - Obcych, ojcze, do pół - Obcych, pomyślał oburzony Armas, ale o takich rzeczach StraŚnikowi Góry nie naleŚało mówić.

- Vinnie zjawi się za godzinę - dodał ojciec.

Armas jednak nie zamierzał tak całkiem się poddać.

- A czy nie naleŚy do etykiety, Śe to ja powinienem po nią iść? - spytał.

- Dzwonił jej ojciec - odparł krótko StraŚnik Góry. - To on stawiał warunki.

- Jakie warunki? - spytał Armas, czując, jak ogarniają go niemiłe przeczucia.

StraŚnik Góry popatrzył na swego przystojnego syna, z którego był tak bardzo dumny, lecz którego tak trudno było naprowadzić na właŚciwy tok rozumowania. Czy ten chłopak naprawdę nie pojmuje, co dla niego dobre?

- Vinnie przyjedzie tutaj. Zabierzesz ją do naszej najlepszej restauracji, a później odprowadzisz pod naszą furtkę o wpół do dwunastej.

Ojej! Odwaga opuŚciła Armasa. Czy nie wystarczy jeden dominujący ojciec? CzyŚby miał przypaść mu w udziale jeszcze podobny teŚć?

Ojciec ciągnął:

- Musisz teraz dobrze rozegrać karty, które dostałeś do ręki, chłopcze. Taka szansa drugi raz juŚ ci się nie trafi. Ojciec Vinnie to naprawdę bardzo wysoko postawiony Obcy, nosi imię Iskrion, jest jednym z najbliŚszych zaufanych ludzi króla.

- A dlaczego nie był na tym spotkaniu, kiedy Marco uzdrowił ich skórę?

- Ponieważ akurat w tym czasie został wysłany, aby wykonać tajemne zadanie zlecone mu przez króla.

- A dokąd?

- Tajemnica jest tajemnicą, Armasie. Nie pytałem i ty takŜe nie powinieneś w to wnikać. I staraj się nie wyciągać z Vinnie tajemnic dotyczących świata Obcych.

- Vinnie nie jest Obcą czystej krwi.

- Owszem, wiem o tym. Jak słyszałeś, wielki Iskrion powiedział mi o domieszce lemuryjskiej krwi, która pojawiła się w ich rodzinie wiele pokoleń wstecz. A teraz ubierz się przyzwoicie, dałem juŜ znać twojej matce, w jakim ubraniu chcę cię zobaczyć.

A więc jeszcze i to!

- Ojciec... chciałbym ci przypomnieć, Őe jestem juŜ dorosły.

- Wiem o tym, synu, ale ta sprawa ma nadzwyczajne znaczenie, czekałem na to przez całe twoje Őycie.

W przeciwieństwie do mnie, pomyślał Armas ze złością, lecz po raz pierwszy na myśl o śmierci Kari poczuł nie tylko Őal. Ojciec nigdy by jej nie zaakceptował. Przenigdy.

Pojawiłyby się prawdziwe konflikty, był tego teraz pewien bardziej niŜ kiedykolwiek, ale...

Kari to juŜ zamknięty rozdział, teraz znalazł się w potrzasku między Berengarią a Vinnie.

Ach, pomyślał, jakŜe trudno jest być tak mocno kochanym!

Obiad z Vinnie przebiegał w naprawdę nieoczekiwany sposób. Armas, którego uwaŜano za rekonwalescenta, miał teraz wiele wolnego czasu i chętnie z tego korzystał.

Dumny był, Őe moŜe uczestniczyć w konwersacji, w dodatku na tak wysokim poziomie.

Niemal nie nabierając powietrza, rozprawił z zapałem o fizyce kwantowej i zaawansowanych technologiach, które stale pojawiały się w tym jakŜe eksplozywnym stuleciu. Doprawdy, świetnie się złoŜyło, Őe ojciec tak gonił go do nauki. Teraz mógł się radować widokiem szeroko rozwartych, pełnych podziwu oczu Vinnie i słuchać jej wypowiedzianych z zachwytem słów. „Naprawdę? Ach, ile ty wiesz!” Jeszcze bardziej dumny z siebie, pytał wówczas, czy dziewczyna nie ma ochoty na kolejny kieliszek wina.

Poruszali takŜe mniej powaŜne tematy, mówili o innych, a takŜe o własnych uczuciach i przeŜyciach. Wtedy i Vinnie mogła w większym stopniu włączyć się do rozmowy.

Armas przyglądał jej się przez cały czas, obserwował ruchy jej warg i w myślach zastanawiał się, jak by to było zbliżyć się do tych ust. Przyglądał się jej lemuryjskim długim, gęstym rzęsom i tym niezwykle jasnym włosom. Nie dość że jasnym, to również niezwykle bujnym i lśniącym. Nosila grzywkę, poza tym burza kędziorów spływała swobodnie, włosy były też gęściejsze, niż widział u jakiegokolwiek innej dziewczyny.

Patrzył na jej ruchy towarzyszące słowom, pełne zapału, niemal gorączkowe.

Przypominały mu trochę kogoś, kogo widział już wcześniej, tylko nie mógł sobie przypomnieć, co to za osoba.

Na pewno nie mogła być to ta sama dziewczyna, gdy ją z całą pewnością by zapamiętał, ale może miała siostrę?

W miarę jednak jak wieczór płynął, zaczął wyczuwać, że nie wszystko jest tak idylliczne, jak mu się w pierwszej chwili wydawało. W zachowaniu ich obojga było coś nienaturalnego, jakby wymuszonego.

A ponieważ wino dodało Armasowi odwagi, wypalił prosto z mostu:

- Vinnie, muszę wyznać ci całą prawdę. Byłem bardzo sceptycznie nastawiony do pomysłu mego ojca, do tego zaaranżowanego małżeństwa. Mam nadzieję, że nie wezmiesz tego do siebie.

Dziewczyna szeroko otworzyła piękne oczy.

- Aleś mój drogi, ja czułam tak samo!

Armas nie był w stanie zapobiec leciutkiemu ukłuciu urażonej próżności. Było ono jednak bardzo nieznaczne i prędko minęło.

Zaraz poczuł łączącą ich więź i oboje wybuchnęli śmiechem.

- Ja nie chcę teraz wychodzić za mąż - wyznała Vinnie. - Bardzo mi to nie pasuje.

- Mnie także. Mam...

Nie, nie, nie wolno być niedyskretnym. Nie można powiedzieć: „Mam inną dziewczynę”. Nie należy przerywać nici porozumienia.

- A może oszukamy tych naszych ojców despotów? - zaproponowała dziewczyna wesoło.

- O, tak! - Armas rozentuzjasmowany pochwycił jej rękę ponad stolikiem. - Będziemy mówić, że wcale tego nie chcemy!

- Sprzeciwimy się takiemu handlowi końmi!

- Bezwzględnie!

Od tej chwili rozmowa między nimi toczyła się już swobodniej. Teraz oboje byli po tej samej stronie, przeciwko władzy.

Vinnie mówiła o swoim nieciekawym Śyciu pod kuratelą surowego ojca i wzdychała tylko, słuchając opowieści o Poszukiwaczach Przygód.

- Ach, gdybym tylko mogła się do was przyłączyć!

- Niezbyt wielu już nas zostało - przyznał Armas nieco zakłopotany w imieniu grupy. -

Głównie dlatego, że chłopcy się poświęcili albo dziewczęta powychodziły za mąż.

- Opowiedz o tych, którzy jeszcze zostali w grupie!

- Dobrze. Tak więc jestem ja. No i Marco.

- Księżę Czarnych Sal? Ach, on jest potężny, słyszałam o tym!

- Był także czarnoksiężnik Móri i jego syn Dolg, ale Dolg nas niestety opuścił - rzekł

Armas, nie kryjąc bólu. - A Móri zniknął. Szukają go teraz. Dalej są Ram i Indra, wprowadzicie się pobrali, ale nadal uczestniczą w pracach całej grupy.

- Ram? Czy to nie jest imię lemuryjskie?

- Owszem, ale Indra jest człowiekiem. Oboje przebywają teraz na powierzchni Ziemi.

Faron to nasz dowódca, a pomaga mu Erion.

- Faron i Erion? - powtórzyła zdumiona. - Ale przecież to są Obcy? I to prawdziwi, najprawdziwsi Obcy! Tacy jak ojciec!

- Tak. Faron bardzo nam pomagał. No i oczywiście mamy też Berengarię. Ona także zniknęła. Razem z Mórim.

Armas umilkł.

Vinnie spytała ostro:

- Czy ona ma dla ciebie jakieś szczególne znaczenie?

- Ale skąd! Nie, absolutnie nie! - odparł stanowczo za prędko. - Nie możemy też

zapominać o Goramie i Lilji. Są z nami także Kiro i Sol.

- Brzmi to tak, jakby Lemuryjczycy i ludzie łączyli się w pary. O Sol już słyszałam, to czarownica, prawda?

- Była! Ale raczej odłóŜyła czary na półkę, odkąd spotkała Kira.

- Wydaje mi się, Őe imię Gorama kiedyś juŜ przy mnie padło. To StraŜnik z Elity, czyŜ

nie tak? Ale o Lilji nie słyŜałam. Czy oni takŜe sã na powierzchni Ziemi i uczestniczã w poszukiwaniach?

- Nie, juŜ wrócili, ostatniã rakieta.

Wyznaczony młodym czas się kończył, musieli wracać do domu. Przeszli razem przez rynek w miasteczku połoŜonym na zewnêtrznych terenach Obcych. Armas nie posiadał się z dumy, Őe oto moŜe się pokazać z takã wspaniałą kobieta.

Po drugiej stronie rynku znajdował się nieduŜy parking gondoli.

- Masz przeŐlicznã gondolę, Armasie. - Vinnie powiodła dloniã po gładkim jak jedwab boku pojazdu w kolorze gołębiego błękitu.

Armas musiał ze wstydem przyznać, Őe to najlepsza gondola ojca.

- Mam teŜ swojã wlasnã, wszyscy mamy wlasne gondole. I wszystkie gondole Poszukiwaczy Przygód oznaczone sã czarnym pasem. Moja jest jasnoŜlõtã.

- Macie wiêc róŜne kolory? - spytała, nie kryjąc podziwu.

- Oczywiście. Rama jest srebrzysta, a Tsi - Tsunggi Őlõtzielona, ale on nie bierze juŜ

tak czêsto udziału w naszych poczynaniach. Ani on, ani Siska, majã juŜ dziecko. Jori i Jaskari teŜ nie. Oni majã czerwonã i niebieskã gondolę. Gondola Gorama jest szmaragdowozielona, a Kira biała. Miranda i Gondagil równieŜ naleŜã do Poszukiwaczy Przygód, ale kiedy urodził

im się synek, wycofali się z działań. Elena teŜ wyszła za mãŜ, i Sassa. Sassa poślubiła Joriego.

- Tworzycie bardzo licznã grupę.

- O, to jeszcze nie koniec! Jest nas o wiele, wiele wiêcej. Mamy teŜ na przykãd samuraja. I StraŜników, Roka i Telia, i całe mnóstwo duchów, nie uwierzyłabyś w to. No i oczywiście sã Madragowie.

Vinnie odruchowo zmarszczyła nos.

- No, teraz jesteś niesprawiedliwa - uniósł się Armas. - To naprawdę bardzo miłe istoty.

- Przepraszam. Tylko raz miałam okazję ich widzieć, i to z daleka. Naprawdę Őyję w bardzo odizolowanym Őwiecie.

Armas znów ujął Vinnie za rękę, stali juŜ gotowi, Őeby wsiãść do ekskluzywnej gondoli StraŜnika

Góry.

- Tak dłuŜej być nie musi - powiedział Armas ciepło. - To się skończy, jeśli zostaniesz jedną z naszej grupy.

- Ach, tak bardzo bym tego chciała!

Armas poczuł wyrzuty sumienia. Nie obiecał jej chyba zbyt wiele?

Ogarnął go lekki strach. Co rodzice powiedzą o tym spotkaniu? Jak przyjmą ten spisek skierowany przeciwko planom starszych?

Z mieszanymi uczuciami odstawił Vinnie przed furtkę, gdzie czekał juŜ jej ojciec w swojej gondoli.

Dziewczyna na poŜegnanie mocno uściśnęła Armasowi rękę, jak gdyby chciała powiedzieć:
„Jesteśmy sprzysięŜonymi”.

Bardzo mu to pomogło.

Ta noc upłynęła stosunkowo spokojnie. Widać i przypominające kozła potwory muszą się od czasu do czasu wyspać.

Jedyne, co się stało, to to, że jakieś pani zniszczono całe pranie. Rozwiesiła je w ogrodzie na tyłach domu, było tam też kilka pięknych sukien i wszystko zostało pocięte na cieniutkie pasy. Kobieta pracowała w ratuszu i nigdy nic nie łączyło jej z Poszukiwaczami Przygód. A dotychczas wszystkie napaści skierowane były na tę grupę.

Jakiś mężczyzna twierdził, że dostrzegł wielkie zakręcone rogi sterczące po drugiej stronie Śywopłotu, nie bardzo było jednak wiadomo, na ile można zaufać jego słowom.

Marco wybrał się do Eriona. Chciał się dowiedzieć, jak się mają sprawy. Czy dotarli może jakieś nowiny z zewnątrz? Nie było żadnych, przyszła za to prośba z laboratorium. Czy Marco, odznaczający się specjalnymi talentami, nie mógłby im pomóc?

Postanowił zatem wybrać się do Srebrzystego Lasu, ale wcześniej musiał wstąpić do swego pałacu. Gdy zbliżał się do wspaniałego budynku, dojrzał jakąś delikatną postać, siedzącą na jego schodach.

Serce podskoczyło mu do gardła jak nigdy wcześniej. Niemal zapało mu dech w piersiach. Nie mógł tego pojąć, przecież on zwykle tak nie reagował.

Młodziutka Victoria podniosła się miękko i lekkim krokiem zbiegła ze stopni.

- Marco! Przynoszę ci pozdrowienia od babci i podziękowania za to, że ocaliłeś jej kwiatki. Są teraz o wiele piękniejsze.

Nie musiałaś przebywać tak dalekiej drogi, żeby mi o tym powiedzieć, pomyślał, lecz tak naprawdę bardzo się ucieszył na jej widok.

- Czy zechcesz... wejść?

- O, nie, dziękuję, idę właśnie do mojej najlepszej przyjaciółki i zajrzałam tylko, bo akurat było mi po drodze.

No tak, oczywiście. Marco nic nie mógł poradzić na to, że odczuł pewne rozczarowanie.

- Trzymaj się, Marco, może się jeszcze zobaczymy! I z tymi słowami odeszła, podskakując trochę po dziecinnemu.

Ona nie może być dorosła, pomyślał znów. Czy to naprawdę osiemnasto-, może dwudziestoletnia pannica, jak mi się w pierwszej chwili wydawało?

Owszem, wyglądała na dojrzałą, przynajmniej fizycznie, pod względem psychicznym trudno było ocenić jej wiek. Była jednocześnie zalotna i dziecinna. Z uśmiechem pokręcił

głową i wszedł do środka.

Jakiś wielki i pusty wydał mu się pałac!

Zatęsknił za obecnością Dolga, miał wielką ochotę porozmawiać ze starym, dobrym przyjacielem. Ale Dolga nie było.

Zresztą co Dolg mógłby powiedzieć o Victorii?

Może wcale nie ma. Przecież nikt tak dobrze nie znał elfów jak on. Jak Lanjelin, ulubieniec elfów.

Ale przecież i tak Marco nie mógłby zwracać Dolgowi głowy takimi błahostkami.

Dziewczyna jednak nie schodziła mu z myśli. Może pomówić z Tsi - Tsunggą? On przecież znalazł kaśdą najmniejszą nawet istotę natury żyjącą w lasach Królestwa Światła. Czy nie byłby więc odpowiednią osobą?

Z prawdziwym wysiłkiem woli Marco skupił się na wielkim problemie tego dnia, na złu, które zakłóciło idyllę Królestwa Światła. Przygotował się do drogi do Srebrzystego Lasu.

Jak to dobrze, że wandy nie zdążyli wyrządzić tam większych szkód, pomyślał.

Trochę za wcześnie...

Wejściu na obszary Madragów towarzyszyło zawsze dość dziwne uczucie. Położone one były głęboko pod ziemią na terenie Srebrzystego Lasu, trzeba było wędrować długimi jasno oświetlonymi tunelami i przechodzić przez potajemne drzwi. Panował tu naprawdę osobliwy nastrój. Atmosfera dobroci.

Madragowie bowiem reprezentowali wszystko, co stoi po stronie dobra.

Marco dotarł już niemal do pomieszczenia, w którym w wyjątkowych mózgach Madragów wykluwały się najniezwyklejsze pomysły, gdy wyszedł mu na spotkanie Tam.

Tam zbliżał się niczym wielkie, rozkolebane zwierzę i jak zwykle Marcowi nasunęło się pytanie, czy Madragów należałoby uważać za ludzi czy za zwierzęta. Księżę powiedziałaby, że nie są ani jednym, ani drugim. Ze swymi cięskimi byczymi głowami o niemal ludzkich rysach i gęstymi grzywkami nad pięknymi, dobrodusznymi oczyma, byli doprawdy specyficznym gatunkiem. Przeztykiem dawno minionych czasów. Obdarzeni jednak zostali inteligencją daleko przewyższającą ludzką. Byli po prostu Madragami.

- Księżę Marco! Zawsze jesteś tu mile widziany!

- Witaj, Tam, stary przyjacielu, jak się miewasz?

- Nie znaleźliśmy niczego złego, Erion pomaga nam szukać, Kiro i Sol także.

Absolutnie wszyscy, którzy tu są, próbowali coś znaleźć. Nie pojmuję, co te łotry tu robiły!

- Oczywiście przeszukaliście całe laboratorium, koncentrując się na tym, czy nie podłóŜono Őadnej bomby?

- Jasne, nic takiego nie ma. A teraz wejdź!

Tam otworzył drzwi i weszli do Őrodka. Zastali tu pozostałych dwóch Madragów, Chora i Ticha, a takŜe Eriona, Kira, Sol i dwóch inŜynierów, zgrupowanych wokół stołu, na którym leŜała rozłóŜona mapa całego tego podziemnego obszaru.

- To prawdziwa próba nerwów - westchnął Erion. - Wszyscy mieszkańcy Królestwa Őwiatła są Őmiertelnie przeraŜeni, zabarykadowali się w swoich domach i nie mają odwagi z nich wyglądać. Po ulicach chodzą jedynie StraŜnicy i Poszukiwacze Przygód.

I mała Victoria, dodał w duchu Marco, czując, jak serce przesuwam mu się do gardła.

Muszę...

Ale Erion juŜ mówił dalej, nie mając pojęcia o dławiającym go lęku.

- Czy potrafisz znaleźć w tym wszystkim jakiś wspólny mianownik, Marco? My nie umiemy.

- Ja takŜe nie. Te agresywne, nienawistne napisy szpecące Őcianę domu Sol, Theresy i fasadę ratusza. Walka Gorama z kozłem na parkingu dla gondoli, a potem odwiedziny nocą w domu jego i Lilji. Kompletnie zniszczona rakietam w bazie. I sabotaŜ w laboratorium wczorajszej nocy, a dzisiejszej - niewyjaŐnione włamanie. Nic z tego nie rozumiem.

- Zastanawiam się, ile to juŜ razy kaŜdy z nas wypowiadał te słowa - mruknął Erion. -

Nic nie rozumiem. Zanim to wszystko się wydarzyło, krąŜyły plotki o jakiejŐ przypominającej kozła istocie, lecz równieŜ tylko w ostatnich dniach. Zjawisko musi więc być stosunkowo ŐwieŜe. JakieŜ to siły mogły się w ten sposób przebudzić?

ZadzwoŐł telefon do Eriona. To jeden ze StraŜników. Okazało się, Őe zło ponownie odwiedziło parking gondoli. Ci, którzy zaparkowali swoje gondole najbliŜej lasu, rano odkryli, Őe ktoś przeszukał pojazdy. Pierwsze delikatnie i doŐć grzecznie, im dalej jednak, tym wiêksza chyba wŐciekłość ogarniała złoczyńców i kompletnie zrujnowali wnętrza kilku gondoli.

Wyglądało na to, Őe poszukiwania zostały nagle przerwane, prawdopodobnie przez zbliŜającego się któregoŐ z właścicieli, gdyŜ jeden z pojazdów był zaledwie w połowie zdemolowany, a drzwi do niego stały otworem, jak gdyby ktoś wyskoczył ze Őrodka, bardzo się spiesząc.

- Znow gondole - mruknął Kiro. - Gondole i jedyna rakietam, jaką tu mamy.

- Oni czegoŐ szukają - podsumował Marco. - Ale czego? Szafiru i farangila -

odpowiedział sam sobie.

Nikt się nie odezwał, bo co mieli mówić?

- Myślę o tej dziewczynie - powiedział wreszcie Erion. - O tej Vicky... Ta dziwna napaść na Gorama... przecieŜ on sam przyznał, Ŝe tamten koźli potwór walczył z nim jakby bez przekonania.

- Co masz na myśli? - spytała Sol.

- „Kozioł” był o wiele wyŜszy od Gorama. Bez trudu mógł go powalić swymi twardymi jak Ŝelazo kopytami, chociaŜ nie przeczę, Ŝe Goram dzielnie się bronił. I nagle ta bestia porzuciła ofiarę i po prostu zniknęła. PomyŜcie, a jeŜli to wcale nie Gorama chciał

dopaść, moŜe chodziło im o Lilję?

- Czegoś tu nie rozumiem - przerwał mu Kiro. - Mam na myśli tę młodą dziewczynę, tę Vicky, przecieŜ ona pociągnęła Lilję za sobą do lasu i ze wszystkich sił starała się ją tam zatrzymać. I to nawet po tym, jak Goram był juŜ wolny, a kozioł zniknął. Na szczęście Lilja jej się wyrwała.

Marco patrzył na niego coraz bardziej wzburzony.

- Nie! - wykrzyknął gwałtownie. - Nie, tak na pewno nie było! Ja poznałem Vicky, która tak naprawdę ma na imię Victoria. To najbardziej niewinna dziewczyna, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Przyjaciele ze zdumieniem patrzyli na jego rozgniewaną twarz.

Erion się poddał.

- Przyznaję, Ŝe ta teoria była słaba, cóŜ, po prostu nic lepszego nie wpadło mi do głowy.

Marco rozluźnił się. Erion przez telefon polecił większej grupie StraŜników stawić się na parkingu gondoli.

Nagle do środka wpadł zdyszany jeden z członków sztabu.

- Wydaje nam się, Ŝe coś mamy - zawołał, jednocześnie blady i wstrząśnięty. Jego strój wskazywał na to, Ŝe jest pracownikiem laboratorium. - Czy moŜecie przyjść? - spytał.

Wszyscy pobiegli za męŜczyzną, który prędko prowadził ich korytarzami do wielkiego atrium, gdzie światło wpadało przez szklany dach. Było to cudowne miejsce na odpoczynek dla wszystkich pracujących pod ziemią, pełne zielonych roślin, pięknych mozaikowych podłóg i wygodnych kanap.

MęŜczyzna wskazał im drogę do innego tunelu, lecz Marco gwałtownie się zatrzymał.

Przed nimi szły dwie kobiety, odwrócone do nich plecami, zajęte rozmową, roześmiane.

Kierowały się w inną stronę, nie do atrium, miejsca relaksu.

Marco natychmiast rozpoznał Madraŝkê Misê, nie było to wcale takie trudne, ale ta druga...

To Victoria! Jak to moŝliwe, by łączyły ją zaŝylê stosunki z Misą? To doprawdy niezwykła konstelacja. Skoro jednak były naprawdê tak dobrymi przyjaciółkami, jak na to wyglądało, to Misa pewnie mogła powiedziec mu coŝ wiêcej o tej tajemniczej dziewczynie z rodu elfów.

Zrozumiał teraz, ŝe Victoria sobie z niego zadrwiła.

Pojął teŝ coŝ jeszcze. Te jego kłębiące siê myŝli, bezsennoŝc, ta nagła radoŝc bez ŝadnej wyraŝnej przyczyny... Marco, samotny, ten, który nigdy nie poznał, czym jest miłość miêdzy męŝczyznà a kobietà...

Tak, tak, ostrzegano go. Powiedziano mu, ŝe po wypiciu nie rozcieńczonej jasnej wody będzie umiał pokochać kobietê. Raz juŝ przecieŝ poczuł poŝadanie, stało siê to za sprawà Ducha Ciemnoŝci.

Tym razem uczucie było łagodniejsze, jakby czystsze i silniejsze zarazem. Teraz czuł miłość do młodej Victorii.

- Misa! - zawołał. Nie chciał bowiem wołać Victorii, gdyŝ za bardzo by siê zdradził.

Obie siê odwróciły, a Marco drgnął.

Owszem, to rzeczywiŝcie Victoria, ale ta druga to wcale nie Misa. Kim, na miłość boskà...

Kobieta z rodu Madragów była o wiele młodsza od Misy, to zaledwie młodziutka dziewczynka. Czyŝby przybyło tu jeszcze wiêcej Madragów? Nie, to niemoŝliwe, przecieŝ

oni wymarli co najmniej przed dziesięcioma tysiącami lat!

- Ach, nie! - jęknął półgłosem. - Nie, nie, tylko nie to!

Teraz juŝ wiedział, gdzie wczesniej widział Victoriê. Nareszcie to zrozumiał.

- Cześć, Maku! - zaczęła się z nim drażnić z promiennym uśmiechem. - Nareszcie więc doznałeś olśnienia. Doprawdy, zajęło ci to sporo czasu!

- Gwiazdeczka! - wykrzyknął Marco z nutą rozpaczony w głosie. - To nie możesz być ty!

No a Kata? Przecież powinnyście być małe, i to jeszcze przez kilka lat!

Obie się roześmiały.

- Bardzo nam przykro - powiedziała Kata. - Prędko rośniemy, powinieneś być o tym wiedzieć.

A Gwiazdeczka uzupełniła:

- Ale chociaż jesteśmy już dorosłe, to nie miałyśmy zbyt dużo czasu, żeby się czegoś nauczyć. Na razie chodzimy do szkoły dla dzieci i właśnie dlatego Victoria była taka głupiotka.

Marco wziął się w garść.

- A jak ty właściwie masz na imię? Jak mam się do ciebie zwracać?

- Wiazecka - zaproponowała wesoło. - Tak Kata wymawiała słowo „Gwiazdeczka”, ale, jak być może pamiętasz, mój kochany tatuś Tsi - Tsungga wyszukał dla mnie całe mnóstwo bardzo dostojnych imion. „Victoria” wydało mi się z nich najrozsądniejsze. Ale ty, Maku, możesz mnie nazywać, jak ci się tylko podoba.

Maku? Czy ona nie mogła przestać? Po kilku chwilach myślowego chaosu Marco miał wrażenie, jakby zawalił mu się cały świat.

Był to całkiem nowy świat, pełen słodyczy, tęsknoty i nie kończących się perspektyw, jak gdyby przez uchylone wrota pozwolono mu zajrzeć do cudownej baśniowej krainy, w której wśród niskich wzgórz wiała się dróżka zmierzająca ku... ku czemu? Ku marzeniu o czymś, czego nigdy nie zaznał?

Ach, zaczyna już fantazjować! Uczucia zaczynają nim władać w naprawdę przerażającym stopniu.

Mimo to poczuł, jakby coś w nim umarło.

Całą tę radość, jaką odczuwał na myśl o istnieniu Victorii, trzeba było teraz zabić.

Wspomnienia jej przejrzystych zielonych oczu, które uśmiechały się do niego tak drwiąco, a zarazem ufnie, należało zniszczyć. I cała ta burza uczuć, jaką wywołały w nim te oczy...

Wszystkie te pełne euforii myśli w nocy... Teraz trzeba o tym zapomnieć.

Nieumiejętne, by zaangażował się w związek z dziewczyną, której osobiście pomógł mniej

więcej przed rokiem przyjść na świat. To by było jakieś spaczne, niewybaczalne. Nawet jeśli jej wiek liczyłoby się na ziemskie lata, a nie według rachuby czasu obowiązującej w Królestwie Światła. Tak, tak, tu nawet ziemskie lata nie wystarczały.

Gwiazdeczka i Kata były innym gatunkiem aniżeli ludzie. Elfy i Madragowie. Dojrzewały w iście oszałamiającym tempie i myśl o miłości, jaka mogłaby ich połączyć, uznał jeśli nie za niesmaczną, to w każdym razie za szaloną.

Co powiedzieliby jej rodzice, gdyby o tym wiedzieli? Leśna księżniczka Siska i faun Tsi - Tsungga? Pewnie wpadliby we wściekłość, gdyby on, liczący sobie kilkaset lat pół człowiek, pół Czarny Anioł, bodaj wspomniał o swej słabości do ich córki.

Słabość do niej zawsze miał, ale to dotyczyło dziecka, a teraz miał do czynienia z dorosłą kobietą.

Przyjaciele już na nich wołali.

Ujął obie młode panny za ręce.

- Chodźmy już, Tato i Wiazecko. Nie chcę, żebyście kręciły się tutaj tak bez celu - powiedział surowo, prawie ze złością.

Dołączyli do grupy, która przechodziła przez kolejne drzwi. Wreszcie laborant zatrzymał się przed stalowymi wrotami. Czekają tam już na nich dwóch mężczyzn.

- Tutaj? - spytał bardzo wzburzony Chor.

Mężczyźni pokiwali głowami. Jeden z nich powiedział:

- Nawet nam się nie śniło, że ktokolwiek mógł się tu przedostać, i tu nie szukaliśmy.

Później jednak, całkiem niedawno, dla wszelkiej pewności otworzyliśmy drzwi i zajrzeliśmy do środka. I wtedy coś zobaczyliśmy.

Przy uścieniu kodu, który wydawał się niezwykle zawiły - trwało to dobrych kilka minut - ciężkie drzwi się otworzyły i weszli do niedużego przechodniego pomieszczenia, przypominającego schowek na statku. Do otwarcia pozostały jeszcze jedne drzwi z jeszcze trudniejszym kodem, lecz w końcu i one rozsunęły się na boki.

- Podłogę tutaj zawsze wysypujemy delikatnym białym piaskiem - wyjaśnił jeden z mężczyzn. - żeby mieć pewność, że nikt nie wchodził. A teraz sami zobaczcie.

Na białym piasku widniały niewyraźne ślady stóp.

Niektóre ze śladów przypominały raczej odcisk kopyta.

Wyglądało na to, że czegoś tu szukano. Deptano i szukano.

- Czy wchodziliście teraz do środka? - spytał Erion.

- Nie, czekaliśmy na was.

- Bardzo dobrze. Co się tu przechowuje?

Wyjaśnił Chor:

- Najbardziej niebezpieczne chemikalia, są tu trucizny takie jak... Ach, nie chcę nawet o tym myśleć. Przepatrzymy wszystko, systematycznie i dokładnie. A tobie, Kato, i tobie, Gwiazdeczko, nie wolno tu przebywać, to zbyt niebezpieczne.

- Wyjdziemy wszyscy, którzy nie mamy do czynienia z tym podziemnym światem - oświadczył Erion, patrząc na starannie pozamykane na klucz schowki.

- Czy moglibyśmy zatrzymać Sol? - spytał Tich, otwierając jedną z szafek. Wewnątrz ujrzeli całe rzędy buteleczek i pudełek, starannie opatrzonych ostrzeżeniami. - I księcia Marca. Oboje mają doskonałą intuicję, to nam się może bardzo przydać.

Marco poprosił, by inni dopilnowali, żeby dziewczęta nie wybierały się nigdzie na własną rękę, a potem przyglądał się, jak Madragowie i laboranci przeszukują szafy, podczas gdy on i Sol trzymali się z tyłu.

- Czy wyczuwasz to samo co ja? - cicho spytała czarownica.

- Owszem, wiem, że do środka nie wszedł zwyczajny kozioł.

- Nie to wcale miałam na myśli. Wyczuwam coś niedobrego w tej szafce na prawo od Chora.

Marco natychmiast poprosił Madragów, by przeszukali to miejsce.

- A jak wygląda sprawa z odciskami palców? - zastanawiała się Sol.

- Tu się nie wchodzi bez cienkich rękawiczek - odparł jeden z laborantów, pokazując im swoje dłonie.

Biegli prędko sprawdzili wszystkie pojemniki we wszystkich szafkach, ale nic się tu nie zmieniło, wszystko stało na swoim miejscu. Również w szafce wskazanej przez Sol.

Ale czarownica się nie poddawała.

- Szukajcie jeszcze raz, sprawdźcie na tej najniższej półce!

Stało na niej zaledwie kilka butelek, które sprawdzili już dwukrotnie. Niczego nie brakowało,

wszystko było jak...

- Stop! - zawołał Tich. - Spójrzcie na tę butelkę! Czy tu nie widać delikatnego rantu tuŜ ponad powierzchnią cieczy, jak gdyby odrobinę jej ubyło?

- No, owszem, ułamek milimetra - przyznał któryś z laborantów.

- Czy rant nie mógł powstać w wyniku parowania? - spytał Marco.

- To niemoŜliwe. Erionie i wy inni, chodźcie zobaczyć!

- Jest zapieczętowana? - dopytywała się Sol.

Tich nie chciał dotykać butelki, szpatułką tylko zbadał zamknięcie.

- Wygląda na nietkniętą, ale ktoś rzeczywiście mógł ją ruszać, chociaŜ nie byłbym gotowy przysięgać.

- Czy mogę zobaczyć, co w niej jest? - spytał Erion.

Tich z twarzą bez wyrazu delikatnie obrócił butelkę tak, by Erion mógł przeczytać.

Cofnął się trochę.

- Ach, nie - szepnął. - Ach, nie, to nie moŜe być prawda!

- A co tam jest napisane? - chciał wiedzieć Marco.

- Butelkę oznaczono „Laurentius 2055”.

Zapadła cisza, słyhać było tylko lekkie westchnienie Marca.

- Przepraszam bardzo, ale co oznacza ta etykieta? - dopytywała się Sol.

Erion wyjaśnił:

- Przed dwudziestoma pięcioma laty, w roku dwa tysiące pięćdziesiątym piątym, została całkowicie zniszczona ludność dwóch małych wysepek Laurentius położonych u wybrzeŜy Afryki. Stało się to podczas jednej z tych straszliwych epidemii chorób wirusowych, które od czasu do czasu wybuchają na Ziemi. Zdołano ją powstrzymać, zanim dotarła do stałego lądu, wyłącznie dzięki zachowaniu środków najwyższej ostroŜności. To, co mamy tutaj, to bacznie strzeŜona kultura, przechowujemy ją wyłącznie z tego powodu, Ŝe nie wiemy, co poza tym moglibyśmy z nią zrobić. Wirusa nie da się uśmiercić przez najbliższe pięćdziesiąt lat, a zakopanie tej kultury w ziemi albo wypuszczenie jej do morza czy nawet w przestrzeń kosmiczną byłoby czynem wysoce ryzykownym, nie mówiąc juŜ o tym, Ŝe kryminalnym. Na tych dwóch wyspach nikomu nie wolno lądować.

- A co się stanie z kroplami, które zniknęły?

- Nie przypuszczam, Œeby niebezpieczeństwo było duŒe - odparł Tich. - Wirus znaleziono w pewnej roŒlinie, organizmie, który powstał poprzez mutację, wywołaną zanieczyszczeniem, powstałym w wyniku ludzkiej Œądzy zysku. Jak zwykle. Rosła przy brzegu. Tak wiêc wirus, który znajdował siê w roŒlinie, zapewne pochodził z zanieczyszczenia morza. JakiŒ człowiek musiał Œuć listki tej roŒliny i w ten sposób siê zaraził.

Od niego zakazili siê kolejni ludzie, choroba roznosiła siê z prêdkoŒcià eksplozji poprzez wydzieliny ciała. A nikt chyba nie pozwoli dobrowolnie zrobiç sobie zastrzyku czy teŒ

posmakowaç tego wirusa.

Zarówno Erion, jak i Marco spojrzeli na Ticha zamyŒleni. Oni potrafili patrzeç dalej aniŒeli dobroduszny Madrag.

Moment pŒniej ich złe przeczucia siê potwierdziły. Z głoŒników wielkiego systemu ostrzegawczego, znajdujących siê w kaŒdym pomieszczeniu, rozległ siê cichy, złoŒliwy Œmiech. Potem jakiŒ głoŒ odezwał siê w oficjalnym jêzyku KrŒlestwa Œwiatła:

- A wiêc dotarliŒcie wreszcie tutaj. Dobra robota, imbecylne gnomy!

Chor szepnął przez mikrofon do swojej załogi:

- Do centrali, prêdko. I zamknàç wszystkie wyjŒcia!

PrzeraŒajàcy głoŒ dał siê słyŒzeç od nowa:

- SłyŒałem ciê, niezdaro! Nie wyobraŒajcie sobie, Œe nas złapiecie. Mamy przewagê!

- Jakà przewagê? - chłодно spytał Erion.

Znów dał siê słyŒzeç cichy straszny Œmiech.

- To powiedział jeden z Obcych, słyŒałem. No, owszem, mamy przewagê. Mamy waszych przyjaciŒł.

Marco przez moment pomyŒlał o dziewczynkach, jak wciàŒ je nazywał, ale to nie o nie chodziło.

- Mamy waszego, czarnoksiêŒnika i piêknà Berengariê. Au, a to dlaczego?

Wstrzykniemy im odrobinê tej kultury wirusa i dopiero potem wypuŒcimy ich na Ziemiê. Do czego innego mogà przydaç siê ludzie?

W małym ukrytym pomieszczeniu zapadła pełna napiêcia cisza. Wszyscy myŒleli goràczkowo. Wiedzieli, Œe nie wolno im poddaç siê panice, ale teraz była ona juŒ blisko.

Pierwsze myŒli powêdrowały, rzecz jasna, do Móriego i Berengarii. Potwierdzało siê to najgorsze, co od dawna juŒ przeczuwano, a mianowicie Œe zostali uwiêzieni w jakimŒ pojeździe powietrznym.

Usiłowano teŹ znaleźć sposób zapobieżenia katastrofie groŹącej Ziemi.

Ale Sol uchwyciła się czegoŹ zupełnie innego.

- Dlaczego on nagle jęknął: „Au, a to dlaczego?”

- Co takiego? - zdziwił się Marco roztargniony. - Nie wiem.

A Sol ciągnęła:

- Powiedział... „i piękną Berengarię. Au, a to dlaczego?” To się nie trzyma kupy, chyba Źe...

Teraz jej słowami zainteresowali się i inni. Popatrzyli na nią z uwagą.

Sol zastanawiała się głoŹno.

- MoŹe on wcale nie był sam? MoŹe była z nim jakaŹ piękna kobieta... która rozgniewała się, bo nazwał Berengarię piękną, i szturchnęła go, uszczypnęła, ugryzła albo kopnęła w łydkę?

Erion mimo niezwykle powaŹnej sytuacji nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Rzeczywiście tylko kobieta potrafi w ten sposób rozumować. Ale bezwzględnie moŹesz mieć rację, Sol. Teraz zamkniemy tutaj i pójdziemy do pomieszczenia kontrolnego z mikrofonami.

- Gdzie dziewczynki? - spytał Marco.

JakiŹ męŹczyzna odparł:

- Wchodziły tu razem z nami, później juŹ ich nie widziałem.

- A jeśli tu wcale nie weszły? - spytał Marco białymi ze strachu wargami.

Dziewczynek nikt nie widział juŹ od dobrych paru chwil, wszyscy przecieŹ byli zajęci kulturą wirusa.

Marco puścił się biegiem wzdłuŹ korytarza, Tich i Chor deptali mu po piętach.

- Gwiazdeczko! Kata! - wołał, bo teraz chodziło przecieŹ o jego małe ulubienice, wcale nie o dorosłą Victorię.

Kata siedziała na kwiciastym fotelu w atrium. Obaj Madragowie mocno ją uściskali.

- A gdzie Gwiazdeczka? - spytali jeden przez drugiego, a Marco im wtórował.

Dorosła juŹ teraz Kata aŹ otworzyła oczy, zdumiona taką troskliwością.

- CoŹ chciała zrobić - odparła.

- A dokąd poszła?

Kata wzruszyła ramionami.

- Tamtędy - pokazała na jeden z wykładanych mozaiką korytarzy wśród wysokich roślin.

- W stronę pokoju kontrolnego - mruknął Chor.

- Słyszałaś głos przez głośnik? - spytał Marco ostro.

- Tak, był straszny. I co ten ktoś miał na myśli, kiedy powiedział, Œe...

Marco jej przerwał:

- Czy Gwiazdeczka odeszła przed czy po tym, jak usłyszałaś głos?

- O, na długo przedtem.

Marco jęknął, a potem rzucił się biegiem w stronę pomieszczenia, z którego kontrolowano głośniki. Zawołał do Chora, by ten zabrał Katę do domu i poprosił Misę o jak najstaranniejsze zamknięcie wszystkich drzwi. Chor obiecał, Œe się tym zajmie.

Zatrzymali się. Nad ich głowami znów zacharczał głos.

- Nie powiedziałem nawet jeszcze połowy - zarechotał złośliwie. - Wczorajszej nocy zabraliśmy trochę wywaru przyrządzonego przez te ocięŒałe poczwary. A gdybyśmy tak domieszali do niego wirusa? I przejęli to wasze ukochane dzieło na powierzchni Ziemi?

Przyjemnie by było, prawda?

Chor patrzył na Marca.

- Oni mogą to zrobić. A jeśli tak się stanie, to roślinność na Ziemi stanie się równie olśniewająco piękna jak teraz, ale... śmiertelnie trująca!

Marco rozeźlony zawołał:

- Ale przecieŒ wtedy sami sobie zniszczycie Ziemię?

Znów rozległ się śmiech.

- Zawsze przecieŒ zostaje nam Królestwo Światła, nieprawdaŒ?

Marco roztrzęsiony wypuścił powietrze z płuc. Razem z Chorem złapali Katę za ręce i pobiegli do centrum nadawczego.

Marco dotarł do centrum nadawczego, nie widząc nigdzie po drodze ani cienia Gwiazdeczki. Ze zdenerwowania ręce aŜ mu się trzęsły.

W centrali było juŜ pełno: Tam i Tich, StraŜnicy i pracownicy laboratorium.

śadnego potwora jednak nie udało im się złapać.

Tam wyjaśnił:

- Cały system komunikacyjny został połączony z prowizorycznym nadajnikiem znajdującym się poza terenem laboratorium. Tu nie ma sensu niczego dłuŜej szukać, ten ptaszek dawno juŜ wyfrunął.

- To musiał być bardzo cięŜki ptaszek - mruknął Marco. - Ale skąd mógł wiedzieć, Őe dotarliśmy do pomieszczenia z wirusem?

- On doskonale się zna na technice. System nadajników działa w obie strony. Słyszał, jak rozmawiamy.

- To znaczy, Őe i teraz nas słyszy?

- Nie, nasi inŜynierowie juŜ go odłączyli. Próbowali najpierw go namierzyć, lecz okazał się na to zbyt sprytny.

Marco pojął, Őe nie pozostało mu tu nic więcej do roboty, podjął więc poszukiwania Gwiazdeczki. Ogarniał go coraz większy lęk.

Kiedy wreszcie ją dostrzegł w jakimś korytarzu, idącą beztrosko niedbałym krokiem, radość przeszła go niczym błyskawica.

- Gdzieś ty była? - wyrwało mu się w gniewie, który w naturalny sposób następuje jako reakcja po strachu.

Dziewczyna nie posiadała się ze zdumienia.

- Nigdzie - odparła lekko.

Marcowi zaszumiało w głowie. Ta nowa Gwiazdeczka była jakby zupełnie obcą osobą, trudno mu się było do niej przyzwyczaić.

- Powiedziałaś Kacie, Őe masz jakąś sprawę do załatwienia.

- No, owszem. Byłam w toalecie, jeśli juŜ musisz być tak bezwzględnie niedyskretny.

Marco się zawstydził.

- Nie przypuszczałem, że elfy...

Do diaska, nie mógł dokończyć tego zdania, nie narażając na szwank swego autorytetu.

A Gwiazdeczka się rozłościła.

- Ja wcale nie jestem elfem! Jestem w połowie człowiekiem, w czwartej części Lemuryjką, w jednej ósmej istotą ziemi i zaledwie w jednej ósmej elfem!

- Tak, tak, wiem, że tak właśnie jest, lecz właściwie domieszka krwi elfów jest u ciebie najbardziej widoczna. Ale teraz musisz wracać do rodziców. Odprowadzę cię, bo chcę mieć pewność, że bezpiecznie tam dotrzesz, i pozostaniesz w domu, dopóki nie schwytały potwora. Do niczego się nie przydam, jeśli jednocześnie będę się martwił o ciebie.

Zrozumiałaś, Gwiazdeczko?

Dziewczyna pokiwała głową i górnolotnym tonem poprawiła go:

- Victorio. Jestem już teraz dorosła.

Marco potarł ręką czoło.

- Nie mogę nazywać cię Victorią, to imię do ciebie nie pasuje.

- Możesz mi mówić Vicky, jeśli tak wolisz.

Marco aż drgnął.

- Nie, nie - powiedział prędko. - Tylko nie Vicky!

Ogarnęło go bardzo nieprzyjemne uczucie, gdy pomyślał o przypuszczeniach, że Vicky może być partnerką tej dziwnej koźlej istoty. Poczul się przy tym tak nieswojo, że nie śmiał nawet wracać do swojej pierwotnej teorii, że to Gwiazdeczka pomogła Lilji na parkingu gondoli.

- No cóż, na razie będę cię dalej nazywał Gwiazdeczką, to mi przychodzi odruchowo.

Nie było to jednak takie proste. Miał do czynienia z dorosłą kobietą, której nie potrafił

skojarzyć z malutkim dzieckiem, tak często siadającym mu na kolanach i starającym się prawidłowo wymówić „r”.

- Mam wiele innych pięknych imion - oświadczyło kuszące stworzenie o zielonych elfich oczach.

- Na pewno jakieś wybierzemy - obiecał Marco. - A teraz chodź, nic tu po nas.

W gondoli Marco oddał się rozmyślaniom.

Szczęście, że nasze drogi się teraz rozchodzą, jej obecność w straszny sposób zakłóca moją duchową

równowagę. Coś się ze mną dzieje, gdy ona tak siedzi tuś przy mnie i szczebiocze, a od czasu do czasu zarzuca mi naga, opaloną rękę na szyję i chichocze prosto do ucha. Doprawdy, będą musieli się teraz zatroszczyć o to, by zatrzymać ją w domu. I pozamykać starannie wszystkie drzwi na siedem spustów!

Rozległ się sygnał z telefonu, który nosił w kieszonce na piersiach. To dzwonił Erion.

Zdaśył juś wrócić do głównej bazy Straśników.

- Marco, przyjeśdśaj tu bezzwłocznie! Musisz coś zobaczyć!

Marco obiecał, że zjawi się natychmiast, gdy tylko odstawi Gwiazdeczkę do domu.

Ale na to Erion nie chciał się zgodzić, Marco więc z westchnieniem wykonał zwrot o czterdzieści pięć stopni i wyruszył w stronę głównej kwatery.

Gwiazdeczka natomiast była zachwycona.

W bazie czekał juś takśe szef Straśników z Elity. Obaj mężczyźni mieli bardzo poważne miny.

Dowódca powiedział, że wprawdzie jego gondola nie została naruszona, zabrał ją bowiem do swego przydomowego ogrodu, ale coś w niej znalazł.

Podniósł do góry kawałek taśmy klejącej. Przylepiło się do niej kilka sztywnych ciemnych włosów.

- To sierść - stwierdził Marco.

- Właśnie. Kozia sierść.

Marco popatrzył na nich.

- I wyciągacie z tego faktu taki sam wniosek jak ja? A mianowicie, że ten kozioł

przybył do Królestwa Światła twoją gondolą?

- Nie tylko - odezwał się Erion. - Taśma jest z rodzaju tych, jakich używają aktorzy, gdy wkładają maski.

- Chcesz więc powiedzieć, że kozioł nie jest prawdziwy? No, ale czy nie tak właśnie podejrzewaliśmy od samego początku?

- Mniej lub bardziej.

Marco długo się zastanawiał.

- To wiele wyjaśnia - stwierdził w końcu. - Ale muszę się najpierw dowiedzieć, czy byłeś w okolicach bazy na Grenlandii, kiedy miał miejsce pierwszy atak?

- O, tak - odparł szef. - I zostałem uśpiony tak samo jak Strażnicy.

- No właśnie, „uśpiony” to właściwe słowo. Ten gaz, o którym oni mówili, to był

środek usypiający, i musiał zostać rozpylony z dużej odległości. Przypomnijcie sobie Strażników pełniących wartę przed laboratorium i przy bazie raketowej. Oni niczego nie zauważyli, nikt się nie zbliżył do tych miejsc, tam przecież nie ma się gdzie schować.

Podobnie sprawa się miała z ładunkiem farby wodnej, który został wystrzelony z przeciwległej strony rynku.

Marco powiedział zamyślony:

- Dzisiaj Goramowi przypomniało się, że usłyszał coś jakby lekki huk tuż przed atakiem kozła.

- No proszę - ucieszył się Erion. - Jeden ze Strażników przy bazie raketowej wspominał o czymś podobnym. Wobec tego moja teoria o wystrzeleniu jakiegoś ładunku z gazem jest słuszna.

- A kiedy nabój dotknął ziemi albo ściany, gaz się wydostał - pokiwał głową Marco. -

Ale mieliśmy do czynienia także z innymi naprawdę tajemniczymi zdarzeniami. Na przykład to, że te nieznanne i skrajnie wrogo nastawione do nas stworzenia potrafią wszędzie się przedostać. Otworzyły się przed nimi wszystkie drzwi laboratorium, podobnie zresztą jak było w przypadku doskonale strzeżonej bazy raketowej. No, a do pozamykanego na cztery spusty domu Sol weszli w ogóle bez najmniejszego kłopotu. Kiro wszystko sprawdził, wyłączony został cały system oświetlenia i elektryczności.

- Masz rację. Wciąż jednak nie ustaliliśmy, w jaki sposób tu przybyli. Ta istota czy te

istoty musiały się ukryć w gondoli przywódcy Elity Strażników, która wleciała do pomieszczenia dla gondoli znajdującego się w rakiecie, prawda?

Dowódca odparł:

- Tak, umieściłem gondolę w rakiecie, gdy tylko dotarłem do bazy na Grenlandii.

- Czy do pomieszczenia dla gondoli łatwo się dostać?

- O, tak, nie ma z tym najmniejszego kłopotu, zwłaszcza że było otwarte, bo przecież

czekaliśmy także na gondolę Gorama. Zdaje mi się, że rzeczywiście masz rację. Samolot, czy co to było, musiał wysłać wśród innych naboju również taki, który zawierał gaz usypiający.

I kiedy my, wszyscy trzej Lemuryjczycy, leżeliśmy nieprzytomni na ziemi, to stworzenie czy te stworzenia wyskoczyły z latającego pojazdu i schowały się w mojej gondoli. Nikt nie mógł ich tam zobaczyć. I tak samo niezauważenie wymknęły się po przyjeździe tutaj. Na ogół

mija trochę czasu, zanim zabierze się gondolę z bazy.

- No dobrze, ale dlaczego właściwie od razu was nie zabili?
- Pewnie potrzebny był im ktoś, kto poprowadzi gondolę - uśmiechnął się krzywo przywódca.
- Podjęli spore ryzyko - stwierdził Erion. - Ale zdołali się przedostać do Królestwa Światła. Chciałbym wiedzieć, ilu ich tak naprawdę jest.
- Nie może to być bardzo liczna grupa. Poszlaki wskazują na kozła i na istotę płci Śeńskiej. Nie wydaje mi się, Śeby to była jedna i ta sama istota.
- Stale słyszymy o włosach, które lśnią jak metal.

Marco poczuł się nieswojo i właściwie odetchnął z ulgą, kiedy sygnał dźwiękowy i świetlny przerwał tę rozmowę.

- To Faron - oznajmił Erion z przejęciem.

Znajomy głos Farona szumiał i zgrzytał w aparacie odbiorczym. Faron nawiązał

kontakt z Dolgiem, w jaki sposób, nie powiedział. Dolg twierdził, Śe dowiedział się, gdzie są Móri i Berengaria.

- Całe szczęście - westchnęli męŚczyźni.
- Marco? - mówił Faron. - Oni potrzebują twojej pomocy. I to natychmiast!
- Oczywiście, zaraz się stawię. I tak wybierałem się teraz na powierzchnię Ziemi, Śeby spróbować wyeliminować te olbrzymie zagrożenia, jakie czyhają na ludzi. Oczywiście, czy mi się uda, to zupełnie inna sprawa. Bardzo nam tu ciebie brakuje, Faronie.
- Dziękuję ci za te miłe słowa, ale muszę dokończyć to, co zacząłem. Czy to znaczy, Śe zaraz przyjedziesz?
- Tak szybko, jak tylko będę mógł.

Rozmowa została zakończona.

- Ale jak ja się stąd wydostanę? - pytał Marco towarzyszy. - Przecież nie ma Śadnej rakiety.
- Wróciły właśnie dwie, które wywoziły zwierzęta - odparł Erion. - Ale trzeba je sprawdzić. Natomiast ta, którą przylecieli Goram z Lilją i obecny tu nasz przyjaciel, będzie gotowa już jutro.
- Ale czy jej wyposażenie nie zostało zniszczone?
- Nie część techniczna. Tylko całe pozostałe wewnętrzne wyposażenie. Jeśli więc pogodzisz się z

brakiem poduszek...

- AleŜ oczywiście! To znaczy, Őe oni oszczędzili urzãdzenia? NajwyraŹniej chcieli siê ubezpieczyć - syknãł Marco przez zęby. - Zapewnić sobie moŹliwość opuszczenia Królestwa Őwiatła. Dokãd mam siê kierować?

- Polecisz do Kalifornii, gdzie na pewno znajdziesz Dolga. Nasze gondole z eliksirem jeszcze tam nie dotarły. To Móri miał siê zająć tã okolicã.

- Wyruszam natychmiast. Odstawię tylko Gwiazdeczkę do rodziców i zaraz zacznę siê szykować do wyjazdu.

Gwiazdeczka czekała na zewnãtrz ze źle skrywanã niecierpliwoŹciã. Marco z ponurã minã kazał jej zająć miejsce w gondoli. Teraz juŜ wreszcie musiała wracać do domu.

Ale reakcja Tsi i Siski okazała siê zupełnie nieoczekiwana.

OŹwiãdzyli, Őe boją siê zatrzymywać Gwiazdeczkę w Królestwie Őwiatła, dopóki grasuje po nim to odraŹajãce monstrum. Dziewczyna jest zbyt naiwna i beztroska, a w domu z całą pewnoŹciã zamknãć jej nie zdołają. Pociãga jã niebezpieczeŹstwo.

No cóŜ, rzeczywiŹcie nie moŹna było odmówić im słuŹnoŹci.

Siska próbowała przekonywać Marca:

- Faron jest na powierzchni Ziemi. Ram jest na powierzchni Ziemi. Dolga juŜ nie ma.

Móri zniknãł. A teraz jeszcze ty wyjedziesz. Komu wiêc moŹemy zaufać?

- Zostaje przecieŜ Erion, no i wszyscy StraŹnicy.

- Oni nie sã w stanie uczynić tyle co wy, którzy nas opuszczacie. Marco, zabierz ze sobã nasze ukochane dziecko!

- PrzecieŜ ona, doprawdy, przestała juŜ być dzieckiem!

- Duszã wciãŜ nim jest. Naprawdã bardzo mało wie o Őyciu, a przy tobie bẽdzie bezpieczna.

Marco nie mógł zaprotestować, słyŹãc taki argument, zresztã sprzeciw mógł zostać źle zrozumiany.

Tsi i Siska nie przestawali błaగాć, by zabrał Gwiazdeczkę na powierzchnię Ziemi.

Marco czuł, Őe sãbnie.

- Ale przecieŜ ja nie wiem, co siê tam dzieje! A jeŹli tam jest równie niebezpiecznie jak tutaj, a ja nie bẽdę miał czasu, by nad niã nieustannie czuwać?

Gwiazdeczka zatrzepotała rzęsami.

- Maku, tak cię proszę!

Wreszcie, westchnąwszy, ustąpił.

- A więc dobrze, jeśli obiecujesz, że nie będziesz więcej nazywać mnie Makiem.

- Dobrze, Maku, obiecuję.

Tego dnia młody Armas musiał przejść próbę męskości.

Strażnik Góry poprosił, by młodzi w czasie, gdy ojcowie omawiać będą warunki małżeństwa, pospacerowali sobie trochę.

Armas nie miał sił protestować. To i tak niczemu nie służyło. W dodatku miał wielką ochotę spędzić choć trochę czasu sam na sam z Vinnie. Ostatnie spotkanie obiecywało tak wiele, a tak prędko się skończyło.

Zajęci cichą rozmową wyszli z dużego zwierzyńca i znaleźli się w rejonie niewysokich wzgórz, po których wili się tajemnicze ścieżki, prowadzące w głąb bujnych zarośli.

Armas lubił obserwować gesty Vinnie, gdy o czymś rozprawiała. Chwilami ogarniał ją zapał i podkreślała swoje słowa ruchami dłoni, robiła to jednak zawsze w niezwykle dostojny i wyrafinowany sposób, jak gdyby odebrała naprawdę bardzo staranne wychowanie.

I tak też z pewnością było. Iskron nawet wśród Obcych zajmował wysoką pozycję.

Wreszcie usiedli na niedużej osłoniętej polance.

Fionella przygotowała dla nich koszyk z pysznym jedzeniem i dołożyła nawet butelkę lekkiego wina.

Wśród panującej dookoła ciszy przeżywali piękne chwile. Z Vinnie tak łatwo się rozmawiało, bez trudu dało się odczuć, że myślą podobnie. Armas z ukłuciem w sercu przypomniał sobie niefortunną Kari, która tak bardzo potrzebowała jego opieki.

Pomimo swej kruchości i niezwykle surowego nadzoru ojca Vinnie była znacznie samodzielniejsza. Sprawiała wrażenie bardzo pewnej siebie. Zrozumiał to już wówczas, gdy spotkali się pierwszy raz.

O Berengarii całkiem zapomniał.

On sam, akurat w tej chwili, czuł się bardzo niepewnie.

Zapadło milczenie. Przysmaki zostały zjedzone, butelka z winem opróżniona.

Wszystkie tematy stopniowo się wyczerpały, a mimo to oni dalej siedzieli na białym - niebieskim kocu Fionelli.

Zahaczyli o erotykę i właśnie w tym momencie rozmowa zaczęła kuleć. Armasowi bowiem wyrwało się, że jest w tym względzie kompletnie niedoświadczony. Raz w życiu tylko pocałował dziewczynę, Kari. Do niczego więcej nigdy nie doszło.

Zapanowało więc milczenie. Vinnie patrzyła na niego tak dziwnie, chłopak nie miał

odwagi spytać o jej doświadczenia, a ona milczała.

Armas już miał powiedzieć, że być może powinni wracać, gdy Vinnie wreszcie się odezwała:

- Uzgodniliśmy, że będziemy się przeciwstawiać planom naszych ojców. A ty mnie lubisz, prawda? I to bardzo?

- Oczywiście.

Znow na niego popatrzyła. Miała bardzo piękne oczy, a teraz zabłyśły w nich łobuzerskie iskierki.

- Mam wielką ochotę zrobić coś naprawdę niegrzecznego.

- A co takiego? - spytał naiwnie.

- Nie zamierzamy się pobrać, bo tego nie chcemy. Mam natomiast ochotę uczynić najgorszą rzecz, jaką tylko potrafi wyobrazić sobie mój ojciec.

Armas czekał. Co się teraz stanie?

Dziewczyna zaczęła się trochę niecierpliwić.

- Chciałabym zrobić... no wiesz.

Ciało Armasa przeniknęło gorąco, nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Serce zatrzepotało mu w piersi na myśl o tym, co powie jej ojciec, nie mówiąc już, jak przyjmie to Strażnik Góry!

Vinnie próbowała go przekonywać:

- Myślę, że nic gorszego niż to nie możemy zrobić. Iść tą ścieżką, a potem nie zgodzić się na małżeństwo.

No tak, przyznawał jej rację.

Ach, pulsowało mu tak słodko w biodrach i udach. Poruszył się niespokojnie.

Vinnie popatrzyła na niego.

- Ty tego chcesz - stwierdziła. - Widzę, że chcesz tego, i to bardzo. Tylko się boisz.

- Ja... hm... myślę o konsekwencjach...

- Właśnie dlatego to jest takie emocjonujące. Dotknij, sutki całkiem mi stwardniały.

Armas, zawahawszy się kilka sekund, delikatnie przyłożył drżąca dłoń do cienkiej bluzki dziewczyny.

- Ależ, Armasie! - Vinnie złapała jego rękę i wsunęła ją sobie pod bluzkę. - Nie bądź

takim tchórzem, przecieŜ mnie pragniesz!

- Ale ja nigdy...

- Wiem o tym, dlatego to jeszcze ciekawsze.

Armas leŜał oparty na łokciu, Vinnie potrąciła go teraz tak, Őe upadł na plecy. Potem usiadła na nim okrakiem.

Na Święte Słońce, przecieŜ ona nic pod spodem nie ma, pomyślał Armas, czując, jak kręci mu się w głowie. Oczywiście niekiedy zaspakajał się sam w samotności, lecz to było coś zupełnie innego, gorąco po tysiackroć silniejsze, aŜ dech zapierało w piersiach, a całe ciało opanowała bolesna udręka podniecenia.

Vinnie zaczęła rozpinąć mu spodnie, a on teraz juŜ jej pomagał. Cały roztrzęsiony uniósł się trochę, by mogła spuścić je do kolan, i połoŜył spocone ręce jej na plecach.

Ach, wsunął się w nią bez najmniejszego trudu. Nie poradzi sobie, to stanie się za prędko, a przecieŜ tak być nie moŜe, przecieŜ jej teŜ musi być dobrze, tyle dowiedział się juŜ

od kolegów i z czytanych ukradkiem w bibliotece ksiąŜek.

W oczach Vinnie pojawił się teraz nowy blask, a policzki się zaczerwieniły.

Wyglądała przy tym wprost baśniowo pięknie. UjeŜdŜała go pełna Őądzy, a jego próby, by wydostać się na wierzch, zostały zdecydowanie powstrzymane. Ujęła go za rękę i pokazała mu, jak ma jej pomóc. Czytał o tym, nie okazał się więc tak zupełnie zielony. Dumny był, Őe to potrafi. Ona była taka wilgotna i gorąca w dotyku, całe ciało aŜ mu pulsowało, pulsowanie zbiegało się w podbrzuszu. Na czułość i pocałunki nie mieli czasu.

Oddech Vinnie się zmienił, stał się teraz cięŜki, urywany. Ach, całe szczęście, a więc mu się udało! Teraz i on mógł wreszcie uwolnić to niesłychane napięcie wszystkich mięśni.

- Zsuń się - szepnął. - Nie mamy przecieŜ Őadnej ochrony, a to juŜ teraz, teraz...

Ona go nie słuchała, nie była w stanie, nie chciała. Niemal krzyczała w ekstazie.

I zaraz wszystko się skończyło. Armas ze wstydem mógł na powrót wciągnąć spodnie.

Ale Vinnie wciąŜ leŜała na kocu, obrócona do niego plecami. Nie pozwoliła mu się ubrać, chciała, Őeby w nią wszedł, tym razem od tyłu.

Ale on nie mógł, nie był w stanie.

Ujęła go wtedy za rękę i poprowadziła do tego wilgotnego punktu, którego dotykał juŜ

wcześniej. I ku zdumieniu Armasa zaraz potem przeŜyła kolejne spełnienie, niemal równie

gwałtowne jak pierwsze. Uśmiechała się przy tym, ciężko oddychając.

Czyby za pierwszym razem nie było jej dość dobrze?

Chciał przyciągnąć rękę do siebie, lecz ona mocno ją przytrzymała i musiał to samo zrobić jeszcze raz.

Gdy skończyła, odwróciła się do niego. Jej piękna twarz była jakby rozmyta i musiał

zaspokoić ją od nowa. Tym razem jednak i on był znów gotowy do dalszych uciech, a Vinnie nareszcie pozwoliła, by znalazł się na górze. Tak, jego zdaniem, było bardziej po męsku.

Oplotła go nogami, wciąż nienasycona, i przeżywała kolejne orgazmy. Nie było między nimi chyba nawet minuty odstępu. Wreszcie i Armas osiągnął rozkosz po raz drugi.

Wtedy śadne z nich nie miało już sił na więcej. Ona jednak leżała tuż przy nim, a drsenie długo nie opuszczało jej ciała.

Dopiero gdy wyruszyli w powrotną drogę do domu i Armas objął Vinnie, a ona przytuliła się do niego, zrozumiał, że dla niej to wszystko nie było pierwszozną. Których chłopców wśród Obcych i pół - Obcych zdążyła uwieść w latach dzieciństwa i pierwszej młodości? Przy takim apetycie?

Armas poczuł się śałośnie staromodny i zacofany. Nie musiał jednak obawiać się jej ojca, Vinnie z niczym się nie zdradzi.

Na pośegnanie szepnęła mu do ucha:

- Zobaczmy się jutro?

A więc chciała się z nim znów spotkać. Chciała się z nim spotkać!

To przecieś znaczy, że się nie skompromitował.

- Armasie - zwrócił się surowym głosem Straśnik Góry do syna. - Dość tego nieróbstwa. Inni Poszukiwacze Przygód potrzebują twojej pomocy w Królestwie, a jesteś już

przecież zdrowy!

- Oczywiście, ojczy, ale... obiecałem, że wieczorem zobaczę się z Vinnie.

Straśnik Góry wyglądał na bardzo zadowolonego.

- Ach, tak, doskonale! Popracuj więc kilka godzin u Eriona, tylko się nie przemęczaj.

Musisz być w pełni sił, skoro wieczorem wychodzisz z Vinnie.

O, tak, pójdą gdzieś na łono natury, Armasowi na samą myśl zrobiło się gorąco.

- A dokąd się wybieracie? Syn przestał mówić prawdę.

- Wydaje mi się, że ona zna jakąś dobrą restaurację. W zamkniętej części Obcych.

Straśnik Góry przeciągnął się. A więc chłopak dotarł już tak daleko, na teren zastrzeżony wyłącznie dla Obcych! To brzmi bardzo obiecująco. Nareszcie!

Zawsze bardzo się bał, że Armas nie zostanie zaakceptowany z uwagi na matkę, Fionellę. Przez jej pochodzenie, była wszak tylko człowiekiem, szanse syna gwałtownie spadały. Mimo to Straśnik Góry szczerze kochał swoją siostrę.

Ale teraz osiągnęli swój cel. No tak, Armas zachowywał się nadzwyczaj dobrze, a poza tym fakt, iż był członkiem grupy Poszukiwaczy Przygód, to wielki plus.

Dla rodziny Straśnika Góry nadejdą teraz świetne czasy!

Armas zameldował się u Eriona, gdzie zebrali się już wszyscy, żeby ustalić porządek nadchodzącego dnia.

Zdemolowane zostały cztery kolejne gondole, i to w różnych miejscach. Wśród nich należąca do Marca.

- Chyba nie ta elegancka! - wykrzyknęła Sol.

- Nie, tylko ta malutka, zielona.

- Dzięki Bogu - westchnęła.

- Poza tym jeszcze dwie na parkingu w Sadze - wyjaśnił Erion nowo przybyłemu Armasowi. - Jedna należała do ogrodnika, druga do eksperta od połączeń radiowych. Ostatnia zaś stała zaparkowana na

ulicy, nieprawidłowo. Jej właścicielem jest pewien młody chłopak.

Bardzo go to wzburzyło.

- Tak, tak - pokiwał głową Kiro. - A najdziwniejsze, że wszystkie te cztery gondole były zielone.

- To znaczy, że specjalizują się teraz w zieleni - powiedział Erion. - A dziwne, że nie zniszczyli twojej, Goramie.

- Moją poświęcił Faron na wyprawę do zewnętrznego świata, mnie zaś zostawił tę swoją luksusową maszynę. Ciężko będzie wrócić do tamtej zwyczajnej - roześmiał się.

- Ach, tak, rzeczywiście, to Faron ma twoją gondolę, całkiem o tym zapomniałem.

Na chwilę zrobiło się bardzo cicho. Tu, w Królestwie Światła, z ulicy nie dobiegał

żaden warkot samochodów, tu tylko Święte Słońce oświetlało łagodnie idących piechotą ludzi i poruszające się niemal bezszelestnie gondole.

Marco miał swoje podejrzenia.

- Goramie... coś mnie zastanawia. Może oni szukali właśnie twojej gondoli?

Wszyscy pytająco popatrzyli na Marca. On zaś podjął:

- Zakładamy przecie, że oni przylecieli tutaj tą samą rakieta co wy, musieli ją więc widzieć, kiedy weszli do pomieszczenia dla gondoli.

- Nie, ono jest podzielone na cztery sekcje - odparł Goram. - Z jednej sekcji nie da się zajrzeć do sąsiednich.

- Nawet wtedy, gdy gondole wlatują do środka albo są z niej wyprowadzane?

- Nie wtedy, gdy ktoś się schowa, jak musiało być w ich przypadku. A my musieliśmy przybyć do bazy na Grenlandii długo po nich, jeśli oni rzeczywiście ukryli się podczas pierwszego ataku. Moją gondolę zaś zabrano natychmiast po powrocie tutaj.

- Moja stała przez noc - powiedział dowódca Elity Strażników.

- Wszystko więc może się zgadzać - podsumował Goram. - Ale na co im moja gondola?

- To się przecie samo przez się rozumie! Wy wszak przywieźliście święte kamienie.

- Wygląda jednak na to, że one ich wcale nie obchodzą - zaprotestował Marco. - W

Domu Kamieni nie dokonano żadnych zniszczeń ani nie próbowano się tam włamać.

- No dobrze, wobec tego czego szukają? Goram, Lilja, możeście nam to powiedzieć?

Ale oni nie mieli Śadnego pomysłu.

- Dlaczego teraz skupiają się na zielonych gondolach, przecieŚ z początku tak nie było?

- Chwileczkę - powiedział Erion. - Jeśli rozumiemy słusznie, a nie wiemy przecieŚ, czy tak w istocie jest, lecz przyjmijmy, Śe tak, to oznacza, Śe oni musieli całkiem niedawno się dowiedzieć, Śe gondola Gorama jest zielona.

Twarz Armasa przybrała kolor przybliŚony do tego, jaki miała omawiana gondola. Nie był w stanie wydusić z siebie Śadnego dźwięku.

Na szczęście Lilja ocaliła go przed zagłębianiem się w paskudne przeczucia.

- Ach, zaczekajcie! - wykrzyknęła. - Zaczekajcie! Goramie! Posłuchajcie mnie! Mam wraŚenie, Śe zacznę się domyślać, czego oni mogą szukać w naszej gondoli.

W naszej gondoli? Doprawdy, czy wolno jej było tak mówić?

Chyba tak, w kaŚdym razie Goram się nie skrzywił, przecieŚ mieszkali juŚ razem.

Wypowiedzi Lilji często kończyły się bardzo ogólnymi, niejasnymi stwierdzeniami.

- Słuchamy, Liljo - Śyczliwie powiedział Marco. - Do jakich wniosków doszłaś?

Dziewczyna musiała mocno ścisnąć Gorama za rękę, próbując nabrać dość śmiałości, by mówić dalej w obecności wszystkich tych potęŚnych męŚczyzn i kobiet.

- PrzecieŚ my naprawdę przywieźliśmy z powierzchni Ziemi coś bardzo szczególnego.

Całkiem o tym zapomnieliśmy, ale Goram i ja rozmawialiśmy na ten temat w bazie na Grenlandii, i to akurat wtedy, gdy umieszczaliśmy gondolę w rakiecie. Oni mogli więc to słyszeć.

Wszyscy, choć dość zniecierpliwieni, powstrzymali się od popędzania dziewczyny.

WraŚliwa jasna skóra na twarzy Lilji cała aŚ poczerwieniała ze zdenerwowania.

Goram uścisnął ukochaną za rękę, chcąc dodać jej odwagi. On sam wciąż nie wiedział, o co chodzi.

Lilja wzrokiem szukała u niego pomocy.

- PrzecieŚ wiesz, ta amfora... - niemal wyszeptała.

Na twarzy Gorama odmalowała się w błyskawicznym tempie cała skala uczuć, od zdumienia poczynając, poprzez nagłe wspomnienie, a na olśnieniu kończąc.

- Ach, oczywiście, Śe teŚ o tym zapomnieliśmy! Ona jest wciąż w gondoli. Ach, nie, mam nadzieję, Śe Faron nie znajdzie jej i nie otworzy!

Musiał teraz opowiedzieć całą historię o nadziemsko pięknym, a zarazem śmiertelnie niebezpiecznym męŹczyźnie, który dotarł do Źródła zła, po drodze zaś zaczerpnął wody ze studni Źyczeń. Niektórzy z obecnych słyszeli juŹ tę historię, dla innych była zupełnie nowa.

Lilja kolejny raz przywołała we wspomnieniach jałowy, lecz piękny krajobraz pokryty śniegiem, przypomniała sobie zmarznięte nogi, strach, przeraŹenie. ZadrŹała z zimna w ciepłe promieni słońca i bezwiednie roztarła nadgarstek, na którym tamten straszny potwór zacisnął

palce niby lodowate Źelazne kleszcze.

- Tak więc on pragnął bogactwa i władzy - pokiwała głową Sol. - W przypadku Shiry chodziło o miłość, a dla Tengela Złego najwaŹniejsza była władza' i Źycie wieczne.

- Tak - odparł Goram. - Działanie wody zaleŹało od tego, kto ją pił, jakie miał

pragnienia. Ale ktoś, kto wypił ze studni pragnień, tracił moŹliwość dotarcia do celu, a celem było, rzecz jasna, Źródło jasnej albo ciemnej wody. To spotkało kobietę - pajęczycę i wodnego potwora w syberyjskich górach. Oni nie byli jednak tak przebiegli jak ten trzeci, nie nalali wody do butelki, tylko napili się jej od razu.

- Ale czy woda w amforze wciąż jest niebezpieczna? - dopytywał się Kiro.

- O tym nic nie wiemy - odpowiedział Marco. - MoŹna się tylko zastanawiać, co te istoty, które najwyraźniej nie ustają w poszukiwaniach amfory, mają na swojej liście pragnień.

- MoŹe przejęcie władzy nad Królestwem Światła? - podsunął Erion.

Ale Sol nie bardzo chciała się z nim zgodzić.

- To chyba niemoŹliwe, Źeby robili tyle hałasu o jedną tylko amforę!

- Nie, to na pewno tylko poboczny cel. Coś o czymś usłyszeli w przelocie i podchwycili pomysł. Na pewno mają jakieś szerszej zakrojone plany.

- Och, ale co się z tobą dzieje, Armasie? - zaniepokoiła się Sol i pochyliła się nad chłopakiem siedzącym przy stole wraz z innymi. - Nie wyglądasz najlepiej, czyŹbyś za wcześnie wyszedł ze szpitala?

Teraz wszyscy juŹ zauwaŹyli, Źe Armas źle się czuje.

- Nie, on powinien juŹ być zdrowy - z równym zatroskaniem powiedział Marco.

A nieszczęsny Armas doŹwiadczał teraz całego spektrum przykrych uczuć. Ojciec, matka, Iskrion, Vinnie, co oni powiedzą o jego podejrzeniach? PrzecieŹ nie moŹe wyznać tego na glos, to by była zdrada wobec nich wszystkich, szczególnie wobec Vinnie, z którą przecieŹ miał się spotkać juŹ za kilka godzin.

Ach, nie, on jest po prostu głupi, skoro myśli takim torem. To nie może być prawda, to wszystko jest po prostu zbiegiem okoliczności!

Ale nie mógł przecież zdradzić przyjaciół, a w najgorszym razie Królestwa Światła.

- To... to na pewno nic nie znaczy - wyjąkał zielony na twarzy, jakby doznał ataku choroby morskiej.

- To, że wyglądasz jak ktoś chory?

- Nie, nie, że... że... Uf, wspomniałem komuś wczoraj... a może przedwczoraj, zresztą nie, to bez znaczenia, zapomnijcie o tym.

- Co takiego, Armasie? - spokojnie wypytywał go Marco. - O czym takim wspomniałeś?

- że gondola Gorama jest zielona - szepnął Armas, czując, jak z rozpaczy zamiera mu serce.

W pokoju zapadło milczenie.

- Musisz nam teraz powiedzieć wszystko - oznajmił Marco. - Komu o tym powiedziałaś?

Armas poczuł palący wstyd.

- Dziewczynie, z którą chodzę.

- Masz dziewczynę? Nie wiedziałam - wyrwało się Sol.

- No tak, bo to zupełnie nowa sprawa. Poznałem ją zaledwie przed kilkoma dniami.

Ponieważ wszyscy czekali w milczeniu, zmuszony był podjąć:

- Wybrał ją dla mnie ojciec. On i jej ojciec, który jest bardzo wysoko postawionym Obcym, zawarli umowę małżeńską w naszym imieniu.

- Historia rodem z epoki kamiennej - mruknęła Sol.

Armas w pełni się z nią zgadzał.

- Zabrałem ją więc do restauracji i opowiedziałem o was, bo ona chciała słuchać.

Rozmawialiśmy też o gondolach na parkingu. Dopytywała się, kto jaką ma gondolę, a może to ja sam zacząłem o tym mówić? Tego już nie pamiętam. Mówiłem o wszystkich gondolach, nie tylko o pojeździe Gorama - dodał na swoje usprawiedliwienie.

Wczorajszej wycieczki na łono natury nie wspomniał ani słowem. Ta sprawa była zanadto osobista.

- Armasie, kim jest ta dziewczyna? - surowo spytał go Erion. - Powiedziałeś, że to Obca.

- No tak, ale jest z mieszanej rasy. To przemieszanie krwi nastąpiło co prawda bardzo dawno temu,

ale wyglądem przypomina Lemuryjkę, natomiast jej ojciec jest Obcym czystszej krwi.

- Jak ona ma na imię? - dopytywała się zaciekawiona Sol.

- Vinnie.

Marco w myślach wyliczył: Vinnie, Vicky, Victoria... Czy to zbieg okoliczności?

- A jej ojciec? - tym razem pytanie zadał Erion.

- Nosi imię Iskrion. Jako jeden z nielicznych nie poddał się zabiegom Marca, wyjechał

bowiem tamtego dnia i ponieważ skóra jego twarzy jest wciąż bardzo wrażliwa, to dalej nosi maskę. Czy on się z tobą kontaktował, Marco? Nie? To naprawdę dziwne.

- Iskrion? - powtórzył Erion z niedowierzaniem. - Iskrion? Przecież on już nie istnieje!

Owszem, był prawdziwym bohaterem wśród Obcych, to legendarna postać, która już bardzo dawno temu została włączona do Wielkiej Światłości.

- Tak jak Dolg? - upewniała się Lilja.

- Nie, nie, Dolg przebywa w atmosferze, która nas otacza, a centrum Wielkiej Światłości znajduje się nieskończenie daleko stąd. Nikt nigdy jeszcze stamtąd nie powrócił.

- Czy to znaczy, że imię jest zmyślone? - zdumiał się Kiro.

- Nie wiem. W każdym razie nie ma takiego Obcego, który miałby na imię Iskrion. I doprawdy, nikt już nie musi chodzić w masce.

- Maska to niezłe przebranie - zauważył szef Elity Strażników.

- No właśnie - westchnął Marco. - Armasie, opowiedz nam teraz o tej dziewczynie.

Jak ona wygląda?

To było bardzo trudne i przykre, zdaniem Armasa.

- Jest bajkowo piękna - powiedział niechętnie. - Pełna dostojności w taki delikatny i elegancki sposób, można by przypuszczać, że jest zimna, ale... tak nie jest.

Ostatnie słowa padły prawie szeptem, bo Armas przeraził się, że się zdradził.

- Ona jest bardzo żywołowa - dodał prędko, jak gdyby chciał wyjaśnić, co miał na myśli. Ale przez to jeszcze bardziej wszystko poplątał, chyba lepiej nie mówić już nic więcej.

Przyjaciele jednak nie ustępowali.

- Włosy - krótko rzuciła Sol. - Czy one błyszczą jak metal? Jak złoto, mosiądz czy może miedź?

- W każdym razie na pewno nie miedź - zdecydowanie odpowiedział Armas, a Marco cicho odetchnął z ulgą. - Są o wiele jaśniejsze, wyglądają jak złote, czasami może jak z mosiądzu, w pewnym oświetleniu, nie wiem.

- Te włosy - powiedziała Sol. - To coś podejrzanego, bo śadne włosy nie lśnią do tego stopnia, jak to opisywaliście. Chyba że w reklamach szamponu, a wtedy są mocno nawoskowane. Coś mi tu fałszywie gra, to na pewno peruka!

- Rzeczywiście są bardzo gęste - przyznał Armas, ale czuł się cały czas jak zdrajca.

Przecież piękna Vinnie tak bardzo była mu przychylna. - Rzeczywiście to niezwykle bujne włosy.

- A więc to może być peruka?

- Niewykluczone - przyznał w końcu. Czuł na sobie spojrzenia wszystkich zebranych i robił się coraz mniejszy i mniejszy. Czy naprawdę skazany jest na wieczne niepowodzenia w kontaktach z dziewczętami? Z każdej takiej sytuacji wychodzi doprawdy marnie.

- Zakochałeś się w niej? - spytała Sol, jak zwykle nie owijając niczego w bawełnę.

Czy się zakochał? Zastanowił się. Owszem, pośadał jej, i to tak, że aś całe ciało go bolało, lecz mimo to...

- Nie - odpowiedział w końcu. - Ale być może mogłem się zakochać.

Czy jednak na pewno? Czy ona była dla niego czymkolwiek więcej niż tylko obiektem pośadania? Zakłuło go w sercu. Owszem, mógł się w niej kochać, lecz było tak, zanim doszło do tego niezwykle intensywnego miłosnego spotkania. Wtedy ona okazała się zbyt gwałtowna, natrętna i nieskromnie pośadliwa, a to się mu nie podobało. On został

wychowany inaczej.

- Spotkasz się z nią znowu? - spytała Lilja ściszone glosem.

- Bardzo sensowne pytanie, Liljo! - pochwalił dziewczynę Erion, a ona znów się zarumieniła.

Armas spuścił głowę.

- Dziś wieczorem.

Erion uderzył ręką w stół.

- A więc ją mamy! Ale co z nim? Co z kozłem? Bo przypuszczam, że kozioł i Iskrion to jedna i ta sama osoba.

- Ja teŜ tak uwaŜam - przyznał Marco. - A dziewczyna Vicky, ta, która uratowała Lilję, to Vinnie.

Jak cudownie, Ŝe wreszcie to powiedział. PrzecieŜ to oznacza, Ŝe Gwiazdeczka jest poza wszelkimi podejrzeniami!

Armas teraz juŜ zdecydowanie wybrał stronę.

- Iskrion ma ją zostawić przed naszą furtką, a później przyjechać po nią o umówionym czasie.

- UwaŜam, Ŝe nie naleŜy cię wiêcej obciąŜać spotkaniami z tą dziewczyną - uznał

Marco. - Nie wiemy przecieŜ, jakie ona ma plany wobec ciebie.

Za to ja wiem, pomyślał Armas z goryczą.

- Złapiemy ich, jak tylko się zjawią - zdecydował Erion. - Tak będzie najlepiej dla Armasa.

- Owszem, dziękuję - powiedział chłopak słabym głosem, ale nie bez wdzięczności.

Teraz, kiedy juŜ wszystko wiedział, nie miał sił spotykać się znowu z Vinnie.

- Na razie nie mów o niczym swoim rodzicom - przykazał Erion. - Im mniej osób wie o wszystkim, tym lepiej.

Armas tylko skinął głową. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak miałby opowiedzieć całą prawdę ojcu.

Westchnął cięŜko. Czy z ulgą, czy z rozczarowaniem, tego nie potrafił stwierdzić.

Prawdopodobnie odczuwał i to, i to.

Erion zabrał Marca, Kira i Gorama na zewnętrzny teren Obcych. Jaskari, który tam pracował, również się do nich przyłączył.

Ukryli się w pobliżu furki prowadzącej do domu Strażnika Góry, tak by widzieć Armasa.

- Wyznaczona godzina już minęła - mruknął Erion. - Sądźcie, czy zostaliśmy odkryci?

- Niemożliwe. Niemożliwe, żeby oni potrafili widzieć przez ściany - odparł Marco.

Armas zaczął niecierpliwie krążyć tam i z powrotem przed furką, bezustannie spoglądał na drogę.

Nikt się nie pojawiał. Ani pieszo, ani gondolą.

- Upłynęły już trzy kwadransy - stwierdził Erion. - Oni nie przyjdą. Wychodzimy.

Armasowi, który nerwowo usiłował obmyślić, jak teraz powinien zachować się wobec Vinnie, ich widok sprawił wyraźną ulgę.

- Coś się widać stało - oświadczył bez tchu. - Oni zawsze byli nadzwyczaj punktualni.

- Nie podoba mi się to - mruknął Erion. - To nie wróży nic dobrego.

- Przykro mi, że sięgnąłem was tutaj zupełnie na próżno. - Armas był wyraźnie skonfundowany.

Przyjaciele tylko machnęli na to ręką.

Erion podjął decyzję.

- Pójdę teraz pomówić z twoim ojcem.

- Ach, nie! - wykrzyknął Armas, unosząc w górę ręce jak gdyby w geście obrony.

- Chcesz więc sam to zrobić?

Armas trochę skulił się w sobie.

- Nie - powiedział śmiało. - Idźcie wy, ja na razie poczekam tutaj.

Erion i Marco weszli do domu tylko we dwóch, reszta została z Armasem, na wypadek gdyby jednak ktoś się zjawił.

Strażnik Góry przyjął ich serdecznie, wszak to bardzo szacowni goście przyszli z wizytą.

Gdy jednak usłyszał, że przybyli tu, aby schwytać parę niebezpiecznych złoczyńców, Iskriona i Vinnie, twarz mu się wydłużyła. Opowiedziano mu całą historię, niczego nie owijając w bawełnę.

Podszedł wreszcie do swego biurka i podarł na drobniutkie kawałeczki całą umowę małżeńską. Z oczu biła mu rozpacz. Marco z początku ocenił go bardzo surowo, sądząc, że rozpacza z powodu utraconej możliwości pozyskania Obcej na synową, lecz aż tak źle nie było. Strażnik Góry był naprawdę zasmucony tym, co spotkało jego syna. Ciężko osunął się na krzesło.

- Na cóż ja właściwie naraziłem Armasa? - jęknął. - Jak też się zachowałem!

Marco spostrzegł, że Fionella opuściła pokój, twarz jej rozpromieniał uśmiech ulgi.

Erion, kiwając głową, przyznał:

- Tak, tak, być może lepiej by było pozwolić chłopcu samodzielnie wybrać sobie towarzyszkę Sycia.

Strażnik Góry westchnął głęboko.

- Teraz to widzę. Zaślepiły mnie moje ambicje. Oby tylko nie okazało się, że to, co się stało, głęboko zraniło jego duszę.

- Nie wydaje mi się, by do tego doszło - wciąż cierpkim tonem powiedział Marco. -

On nie był w niej zakochany. Jeszcze nie.

- Och, całe szczęście, przynajmniej tyle!

Podniósł głowę.

- Oddaję się do waszej dyspozycji. Może będę mógł się do czegoś przydać, przecież wiem przynajmniej, jak ona wygląda.

- Wobec tego bardzo dziękujemy - rzekł Erion.

- Ale jak my ich teraz znajdziemy? I kim oni są? Skąd się wzięli?

- Z zewnątrz, to jedyne, co wiemy. Być może uda nam się ich dopaść w pobliżu garażu Gorama, wykorzystamy go jako przynętę. Poza tym wszystkie wyjścia są zamknięte i pilnie strzeżone, złapiemy ich więc prędzej czy później.

- To może potrwać - zamyślił się Strażnik Góry. - Królestwo Światła, odkąd zburzono mur, jest naprawdę olbrzymie. Ale jak oni są w stanie przedostać się w każde miejsce?

- To właśnie jest najbardziej niepojęte. Owszem, istnieje uniwersalny kod do wszystkich drzwi, jakie tu są, lecz mam go ja, a przysięgam, że to nie ja biegam w koło i udaję kozła! Przekazał mi go Faron, kiedy opuszczał Królestwo, a istnieje tylko jeden, gwarantuję - zapewnił Erion.

Strażnik Góry się podniósł.

- Cóż, uczynię wszystko, co w mojej mocy, by rozwiązać wszelkie te problemy, jakie na nas teraz spadły.

- To bardzo cenna pomoc - rzekł Marco z szacunkiem.

- A teraz, przyjaciele, chciałbym rozmówić się z moim synem. Muszę prosić go o wybaczenie tylu rzeczy.

Wyszedł. Erion i Marco porozmawiali jeszcze przez chwilę z Fionellą, która już nie kryła ulgi. Nigdy nie podobała jej się przyszła synowa, wyglądała na snobkę, gardzącą wszystkim dookoła.

- Naprawdę? - zdumiał się Marco. - A ja przypuszczałem, że raczej się podlizywała i starała być sympatyczna.

- Nie w stosunku do mnie - zdecydowanie oświadczyła Fionellą.

Goście opuścili dom.

Sol nie obawiała się wcale kolejnych odwiedzin wściekłej amazonki, lecz ponieważ

nie powiodła się próba włamania do domu Gorama i Lilji, istniało podejrzenie, że groźna kobieta może wrócić właśnie tu. Sol została więc z Lilją, gdy, jak powiedziała: „Właściwie nie policzyłam się z tą furią tak, jakbym tego chciała, nie udało mi się jej złapać. Gdyby znów próbowała się dostać do waszego domu, to będę przygotowana”.

Lilja była jej szczerze wdzięczna za propozycję, Goram bowiem wiedział, że będzie w tym czasie pracował.

Strasznicy przez całą noc pilnowali garażu dla gondoli. Te garaże czy te hangary miały tylko jedne niewielkie drzwi w szczytowej ścianie. Gdy chciano wprowadzić lub wyprowadzić gondolę, dach rozsuwał się na boki i startowano bądź lądowano całkiem pionowo.

Strasznicy zostawili drzwiczki nie zamknięte i zaczęli się w środku, gotowi stawić czoło intruzom.

Tej nocy jednak nikt nie przyszedł ani do domu, ani do garażu Gorama i Lilji, w całym Królestwie Światła panował spokój. Sol była tym bardzo rozczarowana, tak bardzo się już

cieszyła na ostateczną rozprawę z groźną przeciwniczką.

Prawdę powiedziawszy, przypominała sobie wszystkie swoje najlepsze czarodziejskie sztuczki, niektóre nawet przeciwiczyła, tak by naprawdę zaskoczyć tamtą.

No cóż, przyjdą kolejne noce, myślała z nadzieją.

Rano natomiast miały miłą wizytę. Szef Elity Strazników przyszedł podziękować Lilji.

Rozmawiał z kobietą, którą kiedyś porzucił, przedkładając obowiązek ponad miłość. Został

dobrze przyjęty i wszystko między nimi ułożyło się jak najlepiej.

Lilja dostała w podziękę olbrzymi bukiet róŝ, które natychmiast wstawiła do wazonu.

Rozpromieniła się, szczęśliwa i dumna.

A więc zrobiła dobry uczynek, musi o tym powiedzieć Goramowi. Na pewno bardzo się ucieszy. Przecieŝ i on takŝe przyczynił się do zmiany decyzji swego przywódcy.

Szkoda tylko, ŝe w tak brutalny sposób.

Marco i Gwiazdeczka wyruszyli tego ranka na powierzchnię Ziemi.

Przy odjeździe nie obyło się bez marudzenia. Kacie zrobiło się ogromnie przykro i ona teŜ chciała się do nich przyłączyć, lecz jako Madrag po prostu nie mogła. Na razie jeszcze nie, przynajmniej dopóki cała ludzkość na świecie nie nabierze rozumu i nie zacznie traktować wszystkich stworzeń jak równych sobie. Tsi i Siska, wzruszeni, kilkakrotnie Œgnali się ze swoją córką i nie raz zdąŜyli poŜalować swojej decyzji, a Marco wcale im nie pomagał. Na cóŜ jednak to się zdało, skoro rozplómienna Œadzą przygód Gwiazdeczka zdecydowała się na taką wyprawę?

Po ich wyjeździe w Królestwie Światła zrobiło się jakoś pusto. Niewielu zostało juŜ

Poszukiwaczy Przygód.

Ci jednak, którzy tu byli, nie zamierzali rezygnować z pościgu za przebiegłym przeciwnikiem. Nie zapominali, Œe groźna para dysponuje środkami wystarczającymi do zniszczenia wszelkiego Œycia w Królestwie Światła. Z drugiej jednak strony gdyby za sprawą złoczyńców straszny wirus się rozprzestrzenił, ich samych równieŜ czekałaby śmierć.

Nie, nie zaryzykują, na pewno w ten sposób chcieli ich tylko zaszantaŜować.

Na razie nic się nie działo.

Alarm podniesiono dopiero wówczas, gdy jeden z sąsiadów Faronu się zorientował, Œe jakieś niepowołane osoby odwiedziły oddany mu do dyspozycji wspaniały dom, położony w pobliŜu stolicy.

Włamania dokonano kilka dni wcześniej, prawdopodobnie natychmiast po wyjeździe Faronu na powierzchnię Ziemi, gdzie miał szukać zaginionych Móriego i Berengarii. Po prostu wcześniej nikt nie pomyślał, Œe i jego dom naleŜałoby sprawdzić.

Pozostała w Królestwie grupa Poszukiwaczy Przygód przybyła obejrzeć dzieło złoczyńców.

Właściwie zniszczenia nie były specjalnie duŜe. Ktoś jednak włamał się przez zamknięte na klucz drzwi i wtargnął do ślicznej willi.

- Ach, oni tu wręcz mieszkali od wyjazdu Faronu! - skonstatował Erion. - A myśmy niczego, ale to niczego się nie domyślali! Jako szef dostępnej dla wszystkich części Królestwa Światła Faron ma do dyspozycji cały arsenał technicznego i elektronicznego sprzętu. To stąd śledzili nasze poczynania i naśmiewali się z nas.

- Czy z tego miejsca można otwierać wszystkie zakodowane drzwi? - spytał StraŜnik Góry, który towarzyszył swemu synowi Armasowi w pościgu za złoczyńcami.

- Nie, to da się zrobić jedynie za pomocą kodu uniwersalnego, a ten mam ja - wyjaśnił

Erion.

Poruszali się ostrożnie. Być może tych dwoje wciąż znajdowało się w domu albo też mogło nagle wtargnąć do środka. Wróg nie może się domyślić, że ziemia pali mu się pod stopami!

- Spójrzcie, co znalazłam! - zawołała Sol, otworzywszy drzwi do jednej z sypialni.

- Pst! Nie tak głośno! - upomniał ją Kiro.

Weszli do środka.

- Proszę, proszę - mruknął Erion.

Na niezaścielonym łóżku leżała bujna peruka, połyskująca metalicznie odcieniami złota i mosiądzu.

- Takie włosy miała ta dziewczyna, która udawała, że chce mi pomóc - oświadczyła Lilja.

- Tak, tak, sądzimy, że to właśnie ciebie chciała złapać wtedy, Liljo - powiedział

Erion. - Wcale nie Gorama. Z jego strony można by się spodziewać zbyt silnego oporu. Na pewno chcieli wyciągnąć z ciebie, gdzie ukryto amforę.

- Owszem - przyznała Lilja po namyśle. - Ona przecież za wszelką cenę starała się mnie zatrzymać.

- Chyba powinnaś się cieszyć, że udało ci się wyrwać z jej rąk - stwierdził Erion.

Lilja czym prędzej odszukała uspokajającą dłoń Gorama.

A potem znaleźli jeszcze olbrzymią, przerażającą głowę kozła: maskę z fantazyjnie zakręconymi rogami, podciągniętą górną wargą i dzikimi oczyma. Był tam także kostium karnawałowy, cały pokryty szczeciniastą sierścią, z kopytami tylko na ręce.

- Oto mamy więc wyjaśnienie, dlaczego pies został „kopnięty” od góry - stwierdził

Goram. - Ten mężczyzna uderzył go po prostu uzbrojoną w kopyto ręką.

- Przy uśyciu rąk łatwiej też zostawić pojedyncze ślady - przypomniał Kiro.

- Czemu to miało służyć? - zastanawiała się Sol. - Chcieli wzbudzić przerażenie? To przecież śmieszne!

- Masz rację - przyznał Erion. - Ale przebranie miało zapewne spełniać podwójną funkcję. Po pierwsze, przestraszyć słabszych, po drugie zaś ukryć, kim naprawdę są ci dranie.

- A więc „koziół” mógłby zostać rozpoznany?

- Może właśnie tak, tak się wydaje. Nikt przecież nie widział, jak on naprawdę wygląda. Bo jeśli

mamy rację, to przebrał się teŜ za Iskriona, ojca Vinnie.

- Czyli Œe Vinnie i Vicky to jedna i ta sama osoba - podsumowała Sol.

- Chyba tak - przyznał Kiro. - A co ty o tym myślisz, Armasie?

- Rzeczywiście, to są jej włosy - odparł młody chłopak schrypniętym z przejęcia głosem.

Kiro ciągnął:

- A mnie się wydaje, Œe Marco bał się, Œe Vicky i Victoria to ta sama dziewczyna.

- Oczywiście, Œe tak - kiwnął głową Erion. - Ale Gwiazdeczka nie ma z tym nic wspólnego.

- Przez cały czas mieliśmy do czynienia tylko z dwiema osobami - stwierdził Goram. -

Z Iskrionem - kozłem i Vinnie - Vicky.

- Tak, ale na powierzchni Ziemi jest ich więcej. Pamiętajcie, Œe tych dwoje ukryło się w rakiemie na Grenlandii, lecz tajemniczy samolot przeleciał nad bazą dopiero później. Musi ich być więcej - upierał się Kiro.

- Ale nie tutaj - odparł Erion. - Chodźmy teraz do pomieszczenia kontrolnego Farona.

Po drodze Sol nie mogła powstrzymać się od pełnych oburzenia komentarzy.

- Fuj, co teŜ oni nawyprawiali w tym ze smakiem urządzonym domu Farona. PrzecieŜ on jest taki piękny!

- Owszem, piękny, ale daje się w nim wyczuć samotność - odparł bez namysłu Erion.

- Jedna rzecz mnie zastanawia - ciągnęła Sol, gładząc obitą jedwabiem kanapę. -

Dlaczego padło akurat na Armasa?

Zatrzymali się. Chłopak wyglądał na niemal obraŜonego.

- Och, nie, nie to miałam na myśli - zaśmiała się Sol. - Naprawdę jesteś bardzo przystojny, Armasie, ale mimo wszystko moŜna sobie zadać to pytanie.

- Sądzę, Œe zaleŜało im na moŜliwości przeniknięcia do grupy - westchnął StraŜnik Góry. - A ja, nadęty dureń, dałem się złapać na ten lep!

- Właściwie to jak nawiązałeś kontakt z tym tak zwanym Iskrionem?

StraŜnik Góry cofnął się w czasie o kilka dni i wspominając tamte wydarzenia, opowiadał ze wstydem:

Pewnego dnia ujrzał w pobliżu swego ogrodu prawdziwego Obcego, jednego z tych, którzy wciąż nosili owe dziwaczne maski na twarzy i długie rękawiczki na dłoniach. Cały w bieli, wysoki i przystojny Obcy stał, obserwując gromadkę małp, bawiących się na drzewach -

gibbonów, tych o bardzo długich rękach, które potrafią przerzucać się z drzewa na drzewo na zaskakujące odległości. MęŜczyźni zaczęli rozmawiać, a StraŜnik Góry - w tym momencie nazwał się głupim osłem - wspomniał, Őe tak trudno jest znaleźć dobrą, przyzwoitą dziewczynę dla syna, który zasługuje, doprawdy, na to, co najlepsze. Potem zaczął

wychwalać wszystkie moŜliwe zalety Armasa.

Wówczas Obcy wyjawiał, Őe ma córkę, trochę nieszczęśliwą, gdyŜ straciła niedawno ukochanego. MoŜe warto by ich poznać ze sobą? StraŜnik Góry od razu zapalił się do tej propozycji, po masce bowiem poznał, Őe ma do czynienia z prawdziwym Obcym.

- Potem wszystko potoczyło się juŜ prędko, stanowczo za prędko, no a dziewczyna okazała się rzeczywiście śliczna. To prawdziwa piękność.

Goram przysłuchiwał się opowieści StraŜnika Góry jakby trochę nieobecny duchem, w końcu jednak wtrącił:

- Wydaje mi się, Őe oni naprawdę chcieli się przedostać do grupy Poszukiwaczy Przygód i chyba zaczynam się domyślać, dlaczego wybrali Armasa.

- Dlaczego? - rozległo się pytanie zadane przez kilka osób jednocześnie.

- Z dwóch powodów. Po pierwsze, Armas i jego ojciec byli łatwą zdobyczą.

Przepraszam, ale musiałem to powiedzieć.

StraŜnik Góry, słysząc usprawiedliwienie, zbył je machnięciem ręki.

- To bardzo słuszny wniosek. A drugi powód? Goram tym razem nie był juŜ tak bardzo pewny.

- Czy to moŜliwe, Őe my, inni, rozpoznalibyśmy Vinnie? Armas natomiast mógł jej nie poznać?

Popatrzyli na niego z wyczekiwaniem, myśli krąŜyły po głowach aŜ huczało.

- Armas rzeczywiście mieszka oddzielnie - przyznał Jaskari, który zwolnił się ze słuŜby w zwierzyńcu. - Lecz przecieŜ uczestniczy niemal we wszystkich szaleństwach naszej grupy. Kto z was właściwie widział twarz tej kobiety?

Lilja, Armas i StraŜnik Góry.

- Wcześniej nigdy jej nie spotkaliście?

- Nie - natychmiast odpowiedzieli Lilja i StraŜnik Góry. Armas natomiast trochę się wahał.

Erion powiedział:

- Lilja jest nową osobą w grupie, StraŜnik Góry natomiast przebywał głównie w zwierzyńcu. A co ty na to powiesz, Armasie?

- Ona mi kogoś przypomina. Wydawało mi się, Ŝe jest czyjąs siostrą lub inną bliską krewną.

- Ale czyją?

Armas rozłoŜył ręce.

- Nie wiem.

Sol postanowiła teŜ do czegoś się przydać:

- Jeśli ktoś chce się przebrać, to stara się zrobić to tak, aby potem wyglądał najmniej podobnie do siebie. ZałoŜmy więc, Ŝe Vinnie tak naprawdę ma czarne włosy.

Prawdopodobnie włosy są gładkie i wcale nie takie długie. Czy potrafisz ją sobie taką wyobrazić?

Armas przymknął oczy. Widzieli, jak twarz nagle mu się rozjaśnia.

- Tak, tak się bardziej zgadza. Ale to mimo wszystko nie ona, ona nie miała tak skośnych oczu.

- Kto?

Armas z powrotem uniósł powieki.

- PrzecieŜ właśnie tego nie pamiętam - odparł zirytowany.

- Podciągnięcie kącików oczu w górę tak, Ŝeby zrobiły się bardziej skośne, to bardzo prosta operacja plastyczna - stwierdził Erion.

- Owszem, ale to mi w niczym nie pomaga. Ona nie jest podobna do nikogo, kogo dobrze znam, lecz do osoby, którą widziałem zaledwie przelotnie i bardzo mało pamiętam.

Ona przecieŜ zwraca na siebie uwagę swoją urodą.

Do niczego więcej nie doszli, Armas nie miał juŜ nic do dodania. Chcieli iść dalej, lecz Sol jeszcze nie skończyła.

- Spróbujmy zastanowić się nad obiektami jej wścieklej nienawiści - zaproponowała. -

Ten męŜczyzna, kozioł - Iskrion, ma jakby mniej wyraźne kontury. Ona natomiast, owszem.

KogóŜ to ona tak strasznie nienawidzi? Przede wszystkim mnie, następnie Theresy, ludzi z ratusza...

- Masz rację - przyznał Goram. - Mnie i Lilję chcieli dopaść tylko i wyłącznie z uwagi na amforę.

Potem natomiast podpalili dom Rama i Indry. Jakiś to nie załatwiony interes ona może mieć z Indrą albo z Ramem?

Na to nikt nie miał odpowiedzi, przeszli więc dalej do pomieszczenia kontrolnego.

Erion dobrze znał rozkład pokoi, odwiedzał je już wielokrotnie.

Widać było wyraźnie, że niepowołane osoby bardzo mile spędzały tutaj czas. Z

podziwem bawiły się wszystkimi aparatami, wprowadziły własne „ulepszenia” i porozrzucały rozmaite rzeczy, nie sprzątając po sobie. Kiro, najlepszy technik w grupie, znalazł nadajnik i odbiornik, dzięki którym można było kontrolować całe Królestwo Światła. Aparatura musiała zostać zainstalowana całkiem niedawno, gdyż Faron nigdy nie należał do ludzi, których interesowałyby tego rodzaju poczynania.

Na półce leżała nieduża dyskietka, najwyraźniej używana.

Kiro włączył ją i teraz przeszli prawdziwy szok.

Usłyszeli swoje własne głosy.

Głos Eriona: „To znaczy, że specjalizują się w zieleni. Aż dziwne, że nie zniszczyli twojej, Goramie”.

„Moją poświęcił Faron na wyprawę do zewnętrznego świata, mnie zaś zostawił tę swoją luksusową gondolę. Ciężko będzie wrócić do tamtej zwyczajnej”.

A trochę później pełen lęku głos Lilji: „Przecież wiesz, ta amfora”.

Goram: „Ach, oczywiście, że też o tym zapomnieliśmy! Ona jest wciąż w gondoli”.

- Dziękuję, dosyć - oświadczył Erion. - A więc teraz wiemy wszystko. Oni się dowiedzieli, że amfory już tutaj nie ma, że poleciała w rakiemie Farona na powierzchnię Ziemi, i dlatego ostatniej nocy niczego już nie szukali.

- Zrezygnowali z amfory - podsumował Strażnik Góry. - Ale jakie będzie ich następne posunięcie?

- Na pewno nic przyjemnego, o tym mogę ci zapewnić. Mają przecież dwa naprawdę silne atuty w rękę. Przetrzymują Móriego i Berengarię. No i wykradli wirusa.

- Nie mogą być na tyle szaleni, by zdecydowali się go wypuścić - doszedł do wniosku Kiro. - Ale czego oni chcą? Co chcą na nas wymusić?

- Na to pytanie nie potrafię ci udzielić ostatecznej odpowiedzi - rzekł Erion zmęczonym głosem. - Prawdopodobnie pragną władzy nad całą Ziemią, niczym innym się nie zadowolą. A naszym obowiązkiem jest do tego nie dopuścić.

- No, z Królestwa Światła się nie wymkną - stwierdził Goram. - Rakiety przestały już

latać. I tak będzie, dopóki ich nie złapiemy.

Nagle jeden ze Strażników wezwał Faroną.

- Wydarzyło się coś w najwyższym stopniu alarmującego - usłyszeli jego głos.

- Chyba przesadzasz - odparł Erion cierpko. - Czy może być jeszcze gorzej?

Owszem, mogło.

Dwaj Strażnicy, którzy mieli towarzyszyć Marcowi poprzedniego wieczoru, ocknęli się dopiero teraz z zamroczenia we własnych łóškach.

- Ale to się przecież nie zgadza - Erion kompletnie nie mógł już się połapać. - Przecież

każdego tak starannie się kontroluje!

- W bazie raketowej wszyscy noszą maski przeciwgazowe w obawie przed tym tajemniczym gazem, którego używali zbrojnicy. Strażnicy mieli zająć się przeniesieniem sprzętu na pokład do specjalnego wydzielonego pomieszczenia. Ich papiery były w porządku, wszystko się zgadzało, cały błąd polegał na tym, że nikt nie poprosił ich o zdjęcie masek.

- Ach, na Święte Słońce! - jęknął Kiro. - Musimy ostrzec Marca.

Erion natychmiast skontaktował się z raketą podążającą na powierzchnię Ziemi.

Aparat milczał, nie odpowiadała też kabina pilota.

- Spróbuj porozmawiać z Faronem - poprosił Goram. - On musi się dowiedzieć o tej amforze.

Erion ponowił próbę nawiązania kontaktu. I znów głucha cisza.

Opuścił aparat.

- Zamknęli połączenie z zewnętrznym światem - oświadczył słabym głosem.

- A czy mogą to zrobić?

- Czy mogą? Oni widać mogą wszystko! A Marco zabrał ze sobą Gwiazdeczkę!

Opuścili dom Faroną i wielką gondolą wyruszyli do bazy raketowej.

Erion postanowił natychmiast zaŝądać nowej rakiety; wiedział, Ŝe trzeba będzie przyspieszyć przegląd tej, która właśnie wróciła po odstawieniu kolejnej grupy zwierząt.

- Kiro, ty polecisz na powierzchnię Ziemi - zapowiedział jeszcze w gondoli.

- Razem z Sol - dodała Sol.

Erion ocenił ją spojrzeniem.

- No tak, ty dasz sobie radę bez względu na to, gdzie się znajdziesz - zauwaŝył z przekąsem i jeszcze raz uwaŝnie się przyjrzał swojej małej grupce.

- Goram i Lilja, wy zostajecie tutaj. Nie mieliście jeszcze okazji wypocząć i nabrać sił po tej waszej dramatycznej podróŜy. Zresztą ktoś musi tu zostać, nie moŜemy przecieŜ pozbawić Królestwa Światła wszystkich sił.

Lilja gorąckowo się zastanawiała, czy i ona zalicza się do tych „sił”, pewnie Erion miał na myśli Gorama.

- Armasie, ty znów polecisz, jesteś przecieŜ juŜ zdrowy.

- Bardzo chciałbym wyruszyć na ratunek Berengarii - odparł Armas uroczyście, a prawdę mówiąc, nawet dosyć pompatycznie. - I Móriego - uzupełnił czym prędzej.

- Jest teraz więcej osób, którym naleŜy spieszyć z pomocą - przypomniał Erion. - Na przykład Marco i Gwiazdeczka. Oby tylko jej rodzice się o niczym nie dowiedzieli!

- Oddaję się do dyspozycji - oświadczył Straŝnik Góry.

Erion popatrzył na niego z nieco krzywym uśmieszkiem.

- Czy ty nie spędziłeś juŜ dostatecznie długiego czasu na Ziemi?

Straŝnik Góry powrócił myślą do owych tysięcy lat, podczas których strzegł znaków na skalnej ścianie, dopóki nie przybył Dolg i nie rozwiązał zagadki, a potem nie sprowadził

go wraz ze Straŝnikiem Słońca do Królestwa Światła.

- To prawda - przyznał z uśmiechem. - Lecz jeśli mój syn...

- Ja sobie świetnie poradzę, ojcze - pospiesznie zapewnił Armas. Nie chciał mieć przy sobie

wartownika.

Teraz bowiem postanowił, że musi ratować Berengarię. Ona będzie mu tak wdzięczna, rzuci mu się w ramiona i...

Przełknął paskudny smak w ustach. Przypomniała mu się Winnie i to, jak ona rzuciła mu się w ramiona. Uf!

Sol siedziała milcząca. Erion odwrócił się do niej.

- O czym myślisz, Sol? Wciąż zastanawiasz się nad tym, co może łączyć wszystkich tych, którzy ucierpieli na skutek występków owej dwójki? Wygląda mi na to, że coś jakby zaczynało ci świtać w głowie.

Sol drgnęła.

- Co takiego? No tak, usiłuję ułożyć kilka klocków tej układanki na właściwych miejscach. Oczywiście ta para łobuzów nie schodzi mi z myśli.

- Opowiadaj, co wymyśliłaś!

- To na razie bardzo niejasne i zupełnie nieprawdopodobne, bo to przecież nie mogą być oni. Lecz jeśli doda się dwa do dwóch... Nie, te pierwsze dwa się nie zgadza.

- To zacznij od tego drugiego.

- A więc dobrze. Armas nie był w Ciemności, kiedy ratowano jelenie olbrzymie.

Popatrzyli na nią, niczego nie rozumiejąc.

- To już wszystko - powiedziała Sol przeproszającym tonem.

Potem milczała.

- Mówiłaś, że to drugie dwa ci się nie zgadza - zachęcił ją Goram.

- Właśnie. A kto był tutaj głównym dowódcą przed Faronem?

Zastanowili się.

- Talornin - odpowiedział Armas.

- Co ci się znowu przypomniało? - zdziwił się Erion. - Wiesz przecież, że został wysłany na bliźniaczą planetę.

- Owszem, ale swego czasu miał pod swoją opieką uniwersalny klucz.

Erion powiedział z namysłem:

- To prawda, ale ten klucz, rzecz jasna, przekazał Faronowi.
- A czy nie da się sporządzić jego kopii?
- AŜ tak podstępny nikt nie moŜe być - mruknął Erion w zamyśleniu.

Popatrzył potem na Sol.

- Jeszcze zanim opuścił Królestwo Światła w gniewie? Cóż, nie powinno to być rzeczą niemoŜliwą dla kogoś obdarzonego tak wielkimi zdolnościami technicznymi jak on, ale o nim nie moŜe być mowy. Z planety - siostry nie tak łatwo jest się wyrwać. Nie przyleciała stamtąd Ŝadna rakieta, odkąd wyjechał. A ta, którą go wyekspediowano, wróciła przecieŜ dawno temu.

Gondola, cicho szumiąc, sunęła w powietrzu, kierował nią Goram. Odwrócił się teraz do Sol.

- Skupiłaś się na znalezieniu powiązań między wszystkimi, którzy ucierpieli. Mam wraŜenie, Ŝe zaczynam się domyślać, do czego zmierzasz. Przeczytaj jeszcze raz tę listę.
- Bardzo chętnie - ucieszyła się Sol, zrozumiała bowiem, Ŝe Goram wychwycił jej tok rozumowania.
- Kto znienawidził mnie, Theresę, Erlinga, Rama i Indrę, a zarazem moŜemy sobie wyobrazić, Ŝe tę osobę stać na pokrycie ściany ratusza obscenicznymi napisami?

Teraz i Kiro zorientował się juŜ, o czym myślała.

- Olbrzymie jelenie! Oczywiście! Armasa z nami nie było... Była natomiast Lenore!
- Lenore i Talornin - powtórzył zamyślony Erion. - Usunięto ich z Królestwa Światła i przerzucono na bliźniaczą planetę w tym samym czasie.

Sol ogarnęło podniecenie.

- Lenore naraziła się na mój gniew wtedy, gdy usiłowała zniszczyć małŜeństwo Theresy i Erlinga i gdy próbowała odebrać Indrze Rama. Zmusiłam ją, by ujawniła wszystkie swoje podłe zamysły w ratuszu. Musiała mnie za to Ŝmiertelnie znienawidzić, podobnie jak i wszystkich, którzy ją tam wtedy słyszeli.
- Armas jako jedyny z nas jej nie znał - przypomniał Goram. - Dlatego wprost idealnie nadawał się na ofiarę.
- A Talornin swobodnie się poruszał po terenach Obcych - przyłączył się do nich StraŜnik Góry. - Jeśli to naprawdę oni, to rzeczywiście wszystko się zgadza.
- Ale to przecieŜ niemoŜliwe - upierał się Erion. - Oni nie mogli tu przybyć!

- Nic o tym nie możesz wiedzieć - powiedział Strażnik Góry. - Talornin był naprawdę technicznym geniuszem i sporo czasu spędził na tej drugiej planecie.

Kiro zauważył:

- Nie możemy też zapominać o Lenore. Jej znajomość nowoczesnych technologii była naprawdę zaskakująca.

Armas zaczerwienił się gwałtownie. Przypomniawszy sobie, jak to siedział i chełpił się przed nią swoją niby to wielką wiedzą, a ona z takim podziwem patrzyła mu w oczy! Ach, wstyd i hańba!

- Lenore jest w każdym razie dostatecznie piękna, by pasować do tego opisu -

stwierdził Kiro. - Naprawdę mało która kobieta przewyższała ją urodą.

- Ale to piękno, które w sobie miała, było takie zimne - wzdrygnął się Goram. - I wcale mnie nie dziwi, że Ram zamiast niej wybrał Indrę.

- Ale czy oni na końcu nie byli do siebie wrogo nastawieni? - zastanawiał się Kiro. -

Chodzi mi o Talornina i Lenore.

- Owszem, lecz takie rzeczy mijają. Jeśli pomyślimy o wszystkich tych, którzy zesłani zostali na bliźniaczą planetę, jest ich wcale nie tak mało. Wszyscy muszą być niezadowoleni i pełni goryczy. A jeśli utworzyli grupę pod przewodnictwem Talornina, to mogli być w stanie zbudować raketę zdolną przylecieć na Ziemię.

- By coś takiego osiągnąć, trzeba wiele pracy - zauważył Erion. - Prawdą jest jednak, że nie byłem na tamtej planecie od wielu lat, ale przecież przewoziliśmy tam mnóstwo sprzętu technicznego, by odbudować na niej cały świat. Tak więc... kto wie?

- No właśnie, wspominałeś o grupie - powiedział Goram. - Widzieliśmy przecież

samolot krążący ponad powierzchnią Ziemi. Nigdy nie mieliśmy okazji przyjrzeć mu się uważnie, lecz prawdą jest, że nikt nie rozpoznał w nim śladnego typu płatowców, jakich używa się w zewnętrznym świecie. Jeśli natomiast pochodził z drugiej planety...?

- To znaczy, że najpierw musieli wylądować gdzieś na Ziemi. I to raketą, która przewiozła samolot. Cóż, to możliwe. Co my wiemy o całej powierzchni globu? Przecież nie zdążyliśmy jeszcze wszystkiego zbadać.

Goram zastanowił się.

- Ta Lenore... Czy ona nie była z natury bardzo zmysłowa? Słyszałem krążące o niej plotki.

- I to jeszcze jak! - wykrzyknął Kiro. - Och, była wręcz wszystkośerna. Lemuryjczycy, Obcy, ludzie, wszyscy męscyżni, którzy stanęli jej na drodze i na których tylko zechciała zawiesić wzrok, padali

jej łupem. I podobno zawsze dostawała wszystko, na co tylko miała ochotę. Była nienasyconą erotomanką. I wcale nie zwyczajną nimfomanką. Ona wielbiła tylko siebie, najbardziej w tym wszystkim kochała siebie samą.

- To może wyjaśnić, dlaczego ona i Talornin na powrót stali się przyjaciółmi.

Armas się nie odzywał. Mógł opowiedzieć im całą prawdę o Vinnie, lecz ponieważ ojciec siedział tu obok, wolał milczeć.

Wreszcie dotarli do bazy i rozpoczęły się gorączkowe działania. Wezwano całe zastępy robotników, by w rekordowym czasie przygotować rakiety do wylotu.

Lilja kręciła się to tu, to tam, czuła się zbędna i do niczego nieprzydatna. Goram, zajęty pracą wraz z innymi, nie bardzo miał czas przypilnować, by i jej znaleziono jakieś zajęcie.

Lilja była zadowolona z tego, że zostaje w domu, wiedziała jednak, że Goram najchętniej by wyruszył. Nie miała w sobie jednak tyle wielkoduszności, by podejść do niego i powiedzieć: „Jak chcesz, możesz jechać”. Pragnęła, by był blisko, chciała czuć się bezpiecznie. I ze względu na siebie, a przede wszystkim na niego.

Zresztą Erion powiedział, że w Królestwie Światła potrzebne są „siły”.

A Eriona lepiej słuchać.

Marco wyczuwał, że coś jest nie tak.

Wprawdzie maszyna z szaloną prędkością przelatwała przez skorupę ziemską, lecz on mimo to nie mógł zapanować nad niepokojem.

Usiłował już wcześniej nawiązać łączność z Erionem, chciał bowiem przekazać Sisce i Tsi wiadomość, że Gwiazdeczka sprawuje się dobrze i wszystko jest w należytym porządku.

Niestety, nie doczekał się odpowiedzi na swoje wezwanie. To bardzo dziwne.

Nie odpowiadała także kabina pilotów, telefon milczał jak zaklęty, a tak przecież być nie powinno. Telefonów wszak używano ciągle i po tym, jak runął mur wokół Królestwa Światła, ich sygnały były w stanie dotrzeć absolutnie wszędzie.

Wprawdzie nie wolno mu było opuszczać swego leżącego miejsca z wyjątkiem sytuacji krytycznych, również tych bardziej przyziemnych, lecz mimo to wstał. Dał znać ślicznej młodej dziewczynie, która leżała obok niego, że zaraz będzie z powrotem.

Gwiazdeczka, nieco senna, tylko skinęła głową.

Marco przeszedł do kokpitu. Nie było to wcale łatwe, jako że rakieta wznosiła się pionowo w górę. Musiał wspinać się i czołgać na czworakach, wreszcie jednak tam dotarł.

Niestety, piloci również nie mieli kontaktu z Królestwem Światła i nic z tego nie pojmowali. Musieli jednak kontynuować lot, inne rozwiązanie nie było możliwe.

Marco pozostał z nimi przez pewien czas, porozmawiał chwilę. Próbował rozmaitych sposobów, by nawiązać jakąkolwiek łączność z Królestwem Światła, lecz, niestety, bez powodzenia.

W ładowni Lenore i Talornin leżeli wyciągnięci na tylnej ścianie rakiety, która pełniła teraz funkcję podłogi.

- Wszystko się nam udaje - stwierdził Talornin zadowolony.

- No cóż - odparła Lenore. - Trudno zaliczyć do sukcesów to, że amfora znów powróciła na powierzchnię Ziemi.

- A kto mógł przypuszczać, że oni się zamienili na gondole?

- E tam, bez trudu zdołamy ją odnaleźć.

- No, no, odnosiłbym się z większym respektem do Faron.

- On nie wie, że amfora znalazła się w poślizgniętej gondoli. W dodatku mamy w ręku wszystkie mocne karty.

- Owszem - przyznał Talornin. - Szkoda tylko, że w tę najlepszą, w wirusa, nie mogliśmy zagrać tam, w środku. Trochę spieszyło nam się przed wyjazdem.

- MoŜe to i lepiej? MoŜe dobrze mieć Królestwo Światła nietknięte, gdyby wszystko inne miało zawieść? - Lenore przeciągnęła się zmysłowo. - Niezły kąsek ten Marco.

Talornin gwałtownie odwrócił się do niej.

- Nigdy nie pozwalaj sobie na nic z księciem Czarnych Sal - syknął. - To moŜe nas zbyt drogo kosztować.

- Bzdura! Chłop to chłop. Wszyscy są tacy sami. Tak łatwo się podniecają. Wystarczy im odrobina zachęty, leciutkie podrażnienie szlachetniejszych obszarów ciała i moŜna ich zaprowadzić, dokąd się chce. A ja się na tym świetnie znam.

- Doprawdy? A jak było z Ramem?

Lenore prychnęła i odwróciła głowę.

- Ram to impotent.

- Na pewno nie - mruknął Talornin.

Lenore znów odwróciła się w jego stronę i gruchając, wsunęła mu rękę pod podróŜny strój. Próbował się odsunąć.

- Nie tutaj, ty podniecona suko!

- To chyba byłoby bardzo interesujące - roześmiała się, nie przerywając swoich poszukiwań. - Tu, kiedy wróg jest w pobliŜu...

- Jesteś szalona, obłąkana na punkcie seksu.

- Zwykle nie miewasz nic przeciwko temu.

Lenore była olśniewająco piękna i godna poŜądania. Talorninowi wprawdzie myśl o akcie seksualnym tu, w tej ładowni, wydała się odpychająca, lecz gdy jej rozbawione palce objęły jego członek, który natychmiast zareagował na dotyk, myśl ta przestała mu się juŜ

wydawać tak bardzo nie na miejscu.

Jak zawsze musiał się poddać. Przy Lenore był bezsilny. Powtarzało się to za kaŜdym razem.

PrzecieŜ to potrwa, pomyślał z obawą. Ona jest nienasycona. A jeśli ktoś wejdzie?

Ale dlaczego miałyby się tak stać? I zresztą nie mógł zaprzeczyć: JuŜ sama ta myśl była dodatkowo podniecająca.

Nie był na tyle głupi, by nie rozumieć, że akurat w tej chwili, w tym pomieszczeniu, jest jedynie namiastką księcia Marca. Talornin dostrzegł błysk zmysłowości w oczach Lenore, gdy mówiła o Marcu. Jego woła jednak osłabła. Ubrani byli tak, że nie mogło dojść do czegoś naprawdę, lecz dłoń Talornina zdołała się wcisnąć pod ciasny strój opinający ciało Lenore i dotrzeć do wilgotnego źródła jej zawsze gotowego ciepła.

Pomogli sobie nawzajem osiągnąć ekstazę, on jednak dobrze wiedział, że partnerka nie zadowolili się tym jednym spełnieniem.

Tym razem jednak zdobył się na surowość. Kiedy skończył, odmówił jakiegokolwiek dalszego kontaktu. Lenore trzepnęła go, potem się odwróciła i zajęła się sobą sama.

To trwało. Gdy wreszcie miała już dość i leżała wycieńczona, zaczęła rozprawiać o tym, w jaki sposób zdoła podbić księcia Marca.

- To ci się nie uda - prychnął Talornin. - On cię rozpozna. Ta drobna operacja plastyczna nikogo nie zwiedzie, skup się teraz raczej na naszym planie.

- Może powinnam raczej uwieść Faroną? Jak on wygląda? Czy zasługuje na moje poświęcenie?

Talornin się poderwał.

- Faron? Czy ty już zupełnie postradała zmysły? Nie wolno uwodzić prawdziwego Obcego!

- Z tobą poszło mi całkiem nieźle.

- Ja nie jestem prawdziwym Obcym, ale owszem, on jest bardzo przystojny.

Położył się z powrotem.

Teraz Lenore uniosła się na łokciu, pochyliła nad nim.

- Wiesz, Talorninie, moja siła tkwi w mej urodzie i niezwykłej zmysłowości.

- Przeceniasz się! Sprawiasz wrażenie raczej chłodnej.

- Owszem, kiedy tego chcę. Ach, rzeczywiście, potrafię być jak lód, lecz równieś jak ogień.

O, tak, o tym dobrze wiedział.

To była od początku martwa konwersacja, często takie prowadzili. Niekiedy miewał

Lenore tak dosyć, że aż mdło mu się robiło na samą myśl o niej. Byli jednak nierozzerwalnie związani ze sobą mocą swej nienawiści do grupy Poszukiwaczy Przygód, a także wspólnym wielkim planem i faktem, że oboje byli wybitnymi mózgowymi, którym przyszło żyć na wygnaniu na bliźniaczej planecie.

Następna propozycja Lenore była jednak tak strasznie głupia, że Talornina naprawdę ogarnęły poważne wątpliwości, i to ta niezwykle bystra pani inżynier mogła z czymś podobnym wystąpić.

- A co powiesz na porwanie tej wstrętnej suki z rodu elfów, którą księżę zabrał ze sobą? Co powiedzą na to jej ojciec Tsi i matka Siska? Oni także muszą posmakować mojej zemsty. A ona została teraz sama.

- Porwać kogoś na pokładzie rakiety? Do jakiego stopnia można być głupim?

Lenore obrzuciła go wściekłym spojrzeniem. Jej miłość własna nie mogła znieść takiej obelgi.

Nie zdążyła jednak odgryźć się śadną ciętą uwagą, bo Talornin oznajmił:

- No, wypuścili raketę hamującą. Już zwalniają. Przygotuj się do opuszczenia pojazdu.

Nikt nie czekał na Marca w bezzałogowej bazie w północnej Kalifornii. Miał wszak spotkać Dolga, a z Dolgiem można się było spotkać wszędzie albo nigdzie. Marco jednak pragnął także zobaczyć się z Faronem, Ramem i Indrą, lecz to na razie okazało się niemożliwe. Cała łączność w jakiś trudny do pojęcia sposób została zerwana.

Dolg nie był spętany tak finezyjnymi technicznymi wynalazkami, jak telekomunikacja, czy też innymi konwencjonalnymi sposobami łączności. Marco cieszył się bardzo, że znów spotka się z przyjacielem. W jaki sposób do tego dojdzie, nie wiedział, to już

sprawa Dolga. Nie miał śadnej pewności, czy w ogóle choćby przez moment będzie mógł

zobaczyć syna czarnoksiężnika. Owszem, Goram go widział, lecz nikt poza nim, nawet Lilja.

Razem z Gwiazdeczką pozbierali swoje rzeczy i poszli na przód rakiety do pilotów.

Dziewczyna była trochę osłabiona po długiej, pełnej wstrząsów podróży, lecz to tylko wzbudziło w Marcu jeszcze większą ochotę, by zaopiekować się tą delikatną i kruchą istotką.

Miał co prawda wrażliwość, że dziewczyna nabrała jakby siły od tamtego dnia, gdy ujrzał ją po raz pierwszy, lecz przecież ona rosła w zaiste oszałamiającym tempie. Teraz wyraźne się stało, że osiągnęła już mniej więcej stadium rozwoju odpowiadające około osiemnastu latom zwyczajnego człowieka. Wcześniej miał co do tego pewne wątpliwości.

Znów zakłuło go w sercu na myśl o tym, że Gwiazdeczka jest tym, kim jest. Dla niego stanowiła tabu.

Dziewczyna była nadzwyczaj milcząca. Być może to napięcie przed spotkaniem z nieznanym zewnętrznym światem tak przytłumiło jej nieustające szczebiotanie i śmiech.

Rakieta leżała teraz na Ziemi w pozycji spoczynkowej.

- No, to jesteśmy - uśmiechnął się jeden z pilotów i otworzył drzwi. Ujrzeni okolicę, skąpaną w pięknym słońcu.

I dwie zaopatrzone w maski postaci, które posłały w ich kierunku strumień gazu.

Wszyscy czworo w jednej chwili osunęli się na podłogę rakiety.

- Obudź się! Ocknij się, Marco! Nie możesz umrzeć! Przecież wiesz. Ale trzeba się spieszyć. Wracaj do Sycia, twoi przyjaciele cię potrzebują!

Głos był miękki i łagodny, lecz bardzo przekonujący.

Zawsze ktoś mnie potrzebuje, pomyślał Marco zmęczony. Czuł się niewypowiedzianie wyczerpany i słaby, a nieprzyjemne wrażenie w gardle i w przełyku stawało się coraz wyraźniejsze w miarę, jak odzyskiwał przytomność.

- Marco!

Ten sądzący głos. Poznawał go, chciał go usłyszeć.

Zebrał wszystkie siły, by wydobyć się z mrocznej wstrętnej studni, w której jakieś wijące się ręce usiłowały go zatrzymać i wyssać z niego wszelkie siły Sycia. Wydostawał się wolno, wolniutko, ciało jeszcze nie chciało słuchać, na razie była tylko jego wola.

- Marco, trzeba się spieszyć!

Z wielkim wysiłkiem otworzył oczy, palące słońce oślepiło go, gorąco uderzyło niczym napierająca ściana.

- Dolg? - szepnął ochryple.

Nikt nie odpowiedział. Dookoła panowała cisza.

Leżał na ziemi pod drzwiami rakiety. Musiał z niej wypaść. Nie, chyba go wyrzucono, ktoś po nim chodził, na udzie dostrzegł zakurzony odcisk podeszwy buta.

Teraz, gdy wzrok zaczął mu się wyostrzać, wróciła również pamięć.

- Gwiazdeczka?

Z wysiłkiem podniósł się na nogi, musiał przy tym mocno się przytrzymywać schodów rakiety. Wszystko wokół niego chwiało się i kołysało.

Spojrzał na zegarek, podniósł go do samej twarzy, żeby cokolwiek zobaczyć. Mimo to wskazówki podskakiwały, to w jedną, to w drugą stronę.

Upłynęło ponad pół godziny.

Drzwi były otwarte, zwisała z nich czyjaś ręka. To jeden ze Strażników.

Marco, poruszając się niczym na rozchwianym trapie statku, wspiął się na schody.

Gwiazdeczka, Gwiazdeczka, powtarzał w myślach i przypomnieli mu się zaraz Siska i Tsi.

Istniało wielkie niebezpieczeństwo, Œe dziewczynę wzięto do niewoli, by posłuŒyć się nią przy szantaŒu. Podobnie zresztą jak Mórím i Berengarią. StraŒnicy zapewne mniej interesowali przeciwników. No i nie zabrali z sobą jego, Marca.

Pewnie nie mieli odwagi.

Gdy znalazł całą trójkę, StraŒników i Gwiazdeczkę, odetchnął z ulgą. Ale tylko na moment. Wszyscy leŒeli zbyt nieruchomo, jakby w całkowitym rozluźnieniu, zapadnięci w sobie, jak leŒą tylko zmarli.

Marco jęknął w duchu. CzyŒby było za późno? CzyŒby przekroczyli juŒ tę granicę, poza którą nie da się do nich dotrzeć? CzyŒby śmierć pochwyciła ich juŒ w swe chłodne objęcia i odebrana im energię przeniosła na swoje łaki?

Naturalną kolejną rzeczy zaczął od Gwiazdeczki, prędko jednak zorientował się, Œe znacznie gorzej przedstawia się sprawa ze StraŒnikami, zwłaszcza z jednym z nich.

- Przydałyby mi się teraz kamienie Dolga - szepnął Marco. - One jednak spoczywają bezpieczne w Królestwie Œwiatła, mogę liczyć wyłącznie na siebie.

PrzyłoŒył swoje gorące ręce do piersi StraŒników i poczuł, jak Œyciodajna siła zaczyna pulsować w dłoniach i palcach.

W rakiemie przewoŒono tylko jedną gondolę. Kiedy juŒ wszyscy się ocknęli, okazało się, Œe zniknęła.

- Dlaczego pozwolono nam przeŒyć? - zastanawiał się jeden ze StraŒników.

- Wcale nie pozwolono - krótko odparł Marco. - Dawka, którą nam zaaplikowali, była śmiertelna. Taki był ich cel. Ale ja nie mogę umrzeć. I gdy z pomocą Dolga się obudziłem, przywróciłem was do Œycia.

StraŒnik zrobił wielkie oczy.

- Czy my...?

- W kaŒdym razie byliście umierający - odparł Marco. - Najcięższy okazał się stan twojego kolegi. Gwiazdeczka okazała się bardziej Œywotna, ale teŒ i w jej Œyłach płynie krew elfów.

Dwaj StraŒnicy podziękowali mu za Œycie.

- I co teraz robimy?

- Czekamy na Dolga. To jedyne, co moŒemy.

Gwiazdeczka, głęboko wstrząśnięta tym, co się stało, i dlatego niezwykle poważna, spytała:

- Przecież chyba wszystkie duchy są tutaj?

- Nie wszystkie - odparł Marco Śyczliwie. - Shira, Mar i jeszcze kilkoro innych powróciło do Królestwa Światła.

- Trzeba ostrzec Farona - stwierdził jeden ze Straśników.

- Spróbujemy jeszcze raz. Gdzie on jest?

Tego nie wiedział nikt. Pewne było jedynie to, że szuka Móriego i Berengarii.

- Dolg był tutaj - przypomniał Marco. - Nie widziałem go, ale przemawiał do mnie.

Nie wiem, dlaczego znów nas opuścił.

- Może potrzebowano go w innym miejscu - podsunęła Gwiazdeczka.

Marco popatrzył na nią z wielką Śyczliwością i przelotnie się uśmiechnął.

- Prawdopodobnie masz rację. I właśnie to mnie przeraża.

- To prawda - pokiwał głową Straśnik. - Przecież ta para łotrów ma w swoich rękach śmiernego wirusa.

- Móriego i Berengarię tak? - dodał drugi.

- Właśnie to budzi moje przerażenie - przyznał Marco.

Bez gondoli, pozbawieni łączności ze światem, byli bezradni i bezużyteczni. Ponieważ

nie mogli uczynić nic innego, jak tylko czekać tutaj, na kalifornijskim pustynnym pustkowiu, usadowili się w rakiecie i postanowili coś zjeść. Potrzebne im przecież będą siły, by stawić czoło ewentualnym zagrożeniom.

Gwiazdeczka rzeczywiście była niezwykle jak na nią poważna i małowarna, lecz winne temu nie było jedynie zmęczenie ani działanie trującego gazu.

Czuła się zagubiona i nieszczęśliwa, teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek. Nie potrafiła znaleźć żadnego punktu oparcia w Śyciu.

Marco dostrzegł jej niepewność. Podczas gdy Straśnicy zabrali się do przeglądu rakiety, oni w dwoje usiedli na schodkach. Słońce już zachodziło, przestało być tak gorąco.

Łagodna bryza rozwiewała włosy dziewczyny.

- Strasznie tu daleko do nieba - zauważyła z Salem.

- No tak, może tak powiedzieć.

- Nie widzę Śadnych gwiazd. Indra zawsze opowiadała mi o gwiazdach. Mówiła, Śe są takie jak moje oczy.

- Gwiazdy ukazują się na niebie nocą. Gwiazdeczko, co się stało, jesteś taka smutna?

Ach, gdybym tylko miała jakieś prawdziwe imię, pomyślała dziewczyna. Wydawało mi się, Śe Victoria to dobre imię, ale pojawiła się ta metalicznie złotowłosa paskuda, która uŚywała imion Vinnie i Vicky, i Marcowi na dźwięk imienia Victoria aŚ ciarki przebiegały po plecach. Muszę teraz wybrać sobie jakieś nowe z tego zbioru niemoŚliwych imion, jakimi obdarzył mnie mój kochany tatuś.

Jak dziecko zaczęła machać nogami. Starła się mówić jak osoba dorosła, lecz jej wysiłki z góry skazane były na niepowodzenie.

- Nie wiem, kim jestem, Marco - poskarŚyła się, tuląc głowę do jego ramienia, jak robiła, będąc małeńką. Cały błąd polegał teraz tylko na tym, Śe sięgała mu juŚ pod brodę. Jej delikatne miedzianorude włosy lekko łaskotały go w twarz. - Rozpaczam nad moim utraconym dzieciństwem.

Marco kiwnął głową na znak, Śe rozumie.

- Chodzi mi o to, Śe jestem równieŚ człowiekiem. Z elfami to zupełnie inna sprawa, one Śyją tylko chwilą, stanowią jednoŚ z naturą i kaŚdy dzień przyjmują takim, jaki jest. Są dziećmi przez całe Śycie, dorosłymi dziećmi, które wszystko traktują jako zabawę. Z tą częścią mojej osoby nie mam Śadnych kłopotów, ale człowiek i Lemuryjczyk, którzy są we mnie, przytrzymują mnie swoją tęsknotą za wiedzą, nauką i powagą. Czuję się taka głupia, Marco. Niewiele moŚna się nauczyć w ciągu półtora roku, a ja przecieŚ jestem dorosła. JuŚ.

Marco objął ją i delikatnie przygarnął do siebie.

- Doskonale cię rozumiem - powiedział cicho.

Gwiazdeczka zachęcona ciągnęła:

- Haram, synek Mirandy i Gondagila, jest przecieŚ w równym wieku ze mną, a przecieŚ on dopiero uczy się chodzić. I umie wypowiedzieć zaledwie kilka słów. To przeraŚające, gdy jest się kimś takim jak ja.

- No a Kata? Ona przecieŚ teŚ jest w tym samym wieku. I takŚe jest juŚ dorosła.

- O, tak, całe szczęście, Śe mam Katę - powiedziała Gwiazdeczka, delikatnie wodząc palcem po jego twarzy. Marco usiłował zapanować nad drŚeniem. - Ale zrozum, ona jest Madragiem. I dla niej to zupełnie naturalne, Śe tak prędko rośnie. A w moim przypadku, jak ci juŚ mówiłam, to, co mam w sobie z człowieka, nie nadaŚa.

- Rozumiem. A co mówi tkwiąca w tobie istota ziemi?

- Nic. Mam wraŚenie, Śe to dziedzictwo jakoś wyginęło.

- Całe szczęście - westchnął Marco.

- A najtrudniejsze - ciągnęła Gwiazdeczka z wahaniem - a najtrudniejsze są mimo wszystko te dorosłe uczucia.

Marco lekko zdrętwiał.

- Co masz na myśli? - spytał, choć wcale nie miał ochoty.

- No... Kata i ja zaczęłyśmy się oglądać za chłopakami. Ona może wybierać tylko spośród dwóch, bo Tam jest jej ojcem...

A więc wreszcie się to potwierdziło.

- Ale ja przecież mam tysiące chłopców, spośród których mogę wybierać.

Marca znów zakłuło w sercu.

- Masz na myśli elfy czy innych?

- Innych. Chłopcy z rodu elfów mnie nie pociągają. Pod tym względem jestem człowiekiem albo Lemuryjczykiem, to jedno i to samo. Wiesz przecież, że jestem w połowie człowiekiem i w jednej czwartej Lemuryjczykiem, na wszystkie inne domieszki niewiele pozostaje.

To prawda, pomyślał Marco, ale ty jesteś elfem, tyle że ludzkich rozmiarów.

Choć w duszy i umyśle najwyraźniej dominuje w tobie człowiek.

Gwiazdeczka badawczo popatrzyła w oczy Marca, a jemu zakręciło się w głowie.

Gwiazdeczka, drobna kobietka ludzkiego rodu, która jednocześnie odziedziczyła po elfach i Lemuryjczykach tylko to, co najlepsze, była tak niezdolnie pociągająca.

Kolejne wyznanie dziewczyny wstrząsnęło nim do głębi.

- Widzisz, Marco... tak, mogę z tobą szczerze rozmawiać, zawsze bowiem byłeś bezpieczną opoką w moim Śyciu...

Niezbyt długim Śyciu, pomyślał z czułością, nie zdążył jednak nawet głębiej odetchnąć, a już Gwiazdeczka pospieszyła z zaskakującą informacją:

- Moje ciało jest gotowe do przyjęcia męskiej istoty. Jestem przygotowana do miłosnych uciech, lecz mój ludzki rozum mówi „nie”. Pod względem uczuciowym jeszcze do tego nie dojrzałam, Marco.

Znów chciał powiedzieć „rozumiem”, lecz zamiast tego stwierdził:

- Uważam, że myślisz bardzo dorośle i jasno, moja kochana. I jeśli mam ci powiedzieć prawdę, to

sam nie bardzo wiem, co o tobie sądzić. Nie wiem, czy traktować cię, jakbyś miała dwa lata czy dwadzieścia.

- Ja czuję dokładnie to samo, po prostu nie wiem.

- Ale ta sprawa z chłopcami... - zaczął ostro i bardzo niechętnie. - Nie rób niczego zbyt pośpiesznie, jesteś na to zbyt wrażliwa. Zaczekaj tak długo, jak będziesz mogła, a

nabierzesz przekonania, że rzeczywiście tego pragniesz. Musisz być pewna zarówno chłopaka, jak i siebie samej.

- No tak, ale właśnie to tak wszystko utrudnia, Marco. Ogarnia mnie takie cudowne drżenie, kiedy spotkam jakiegoś sympatycznego chłopca. A nawet teraz, kiedy tak siedzę koło ciebie, stary wuju Marco - zaśmiała się ufnie. - To przecie zupełnie niedorzeczne.

Marco wstał czym prędzej, bowiem to, co powiedziała Gwiazdeczka, równie na niego miało wpływ.

A to bardzo mu się nie podobało. Natychmiast nasunęły mu się określenia

„molestowanie dzieci” i „pedofilia”.

Doprawdy, straszne! Gwiazdeczka mogła być tak dorosła, jak tylko sobie chciała, to i tak na nic się nie zdało.

Lecz, ach, jak wiele miał uczuć do tej młodej dziewczyny, która z takim zdziwieniem patrzyła na niego wielkimi, zielonymi jak morze migdałowymi oczyma.

- Powinniśmy chyba pomóc Strażnikom - mruknął niewyraźnie.

- Czy powiedziałam coś niemądrego? - spytała Gwiazdeczka nieszczęśliwym głosem.

I ona tak wstała.

- Ale skąd! - zapewnił ja pośpiesznie i ujął za rękę. - Wszystko, co powiedziałaś, było bardzo piękne i słuszne. Mam tylko nadzieję, że Saden lekkomyślny młodzieniaszek nie wyrządzi ci krzywdy.

- Mam przecie ciebie - uśmiechnęła się do niego ufnie. - Ty się rozprawisz z niemądrymi chłopakami, prawda?

- Oczywiście - zapewnił, czując, jak jego dwieście dwadzieścia lat ciąży mu niczym młyński kamień u szyi.

Nie oszczędzono mu nic z tęsknoty i rozterek miłości. W tym momencie przeklinał Tsi

- Tsungę, który wlał w niego jasną wodę. Czy leśny elf zdawał sobie sprawę z tego, co robi?

Aleś nie, skąd mógł wiedzieć, że dając Marcowi zdolność kochania, naraził swoją jedyną ukochaną córkę na tak straszny dylemat. A jego, Marca, na coś o wiele jeszcze gorszego.

Gwiazdeczka o niczym nie wiedziała. Nie miała pojęcia o burzy uczuć, które trawiły teraz jej jedyną „opokę”.

Strażnicy skończyli przegląd rakiety i wyszli na zewnątrz.

- Spójrzcie tam, na niebo - powiedział jeden. - Co to może być?

Dostrzegli, że powietrze w oddali jakby zaczynało gęstnieć. Widać to było nad horyzontem na tle ostatnich migotliwych promieni zachodzącego słońca.

Cokolwiek to było, zbliżało się szybko i stawało coraz gęściejsze, a wreszcie przybrało kształt ludzkiej postaci.

- Dolg! - uradowali się wszyscy.

- On powstał z niczego - dziwiła się Gwiazdeczka.

- Tak - odparł Marco. - Ponieważ on jest... we wszystkim, co nas otacza. W powietrzu, ziemi, morzu, jest elementarnym duchem w najwyższym znaczeniu tego słowa.

Dolg zbliżył się do nich, dokładnie taki sam jak przedtem, może tylko jakby jaśniejszy.

Bali się dotykać tak eterycznej istoty, zasypali go natomiast gradem pytań.

śyczliwy uśmiech Dolga zaraz zniknął z jego twarzy.

- Wszystko jest jednym totalnym chaosem - odpowiedział zatroskany. - Wiem już, gdzie są przetrzymywani Móri i Berengaria, lecz sam nie mogę nic dla nich zrobić. A Faron zestrzelono, w dodatku daleko stąd, w Europie. Opuściłem was, ponieważ musiałem zajrzeć do niego.

- Faron zestrzelony? Co z nim? - wykrzyknął Marco, nie kryjąc przerażenia.

- Właśnie i z tego powodu was wezwałem. Chodźcie ze mną, wszyscy! Ale spieszcie się!

- Ale my przecież nie mamy gondoli - przypomniał Marco. - Oni ją zabrali.

Dolg przymknął oczy.

- Ach, na Święte Słońce, co my teraz zrobimy?

Faron, dumny Obcy, który tak blisko zaprzyjaźnił się z grupą Poszukiwaczy Przygód, z szumem sunął wysoko ponad Ziemią w gondoli Gorama. Lęk napiął mu wszystkie nerwy w ciele. Czuł wibrowanie w koniuszkach palców zaciśniętych na drążkach sterowych gondoli, odczuwał je pod postacią tysiąca drobnych błyskawic, przesywających mózg i czubków szpilek wbijających się pod skórę.

Móri i Berengaria.

Musi ich odnaleźć, dopóki nie jest za późno. Ich czas się kończył, taką wiadomość przekazał mu Dolg, a Dolg wyczuwał takie rzeczy.

Faron nie zobaczył syna czarnoksiężnika, usłyszał tylko jego głos w swoim wnętrzu.

Nie zdołasz dotrzeć do nich gondolą, Faronie. Ale oni wiedzą, że ich szukasz, i to stanowi dla nich pociechę i dodaje im siły.

Faron chciał zapytać, gdzie oni są i jak może do nich dotrzeć, lecz głos Dolga już się rozplątał i Faron nie uzyskał żadnych wskazówek.

To niemożliwe, pomyślał. A nie chodziło mu wcale o trudną zewnętrzną sytuację, lecz o burzę w jego własnym Śyciu.

Jestem bardzo wysoko postawionym Obcym, mam przed sobą świetlaną przyszłość i wszystko to chcę zaryzykować.

Ale czynię to chętnie, całkowicie świadomie, z otwartym umysłem.

Byle tylko udało mi się ich odnaleźć.

Usiłował nawiązać kontakt z Erionem albo Markiem w Królestwie Światła, lecz system łączności był jakby martwy. Nie mógł się z nikim porozumieć.

Co to może znaczyć? Do tej pory nic podobnego się nie zdarzyło.

Dolg, Dolg, wzywał przyjaciela w myślach. To bez sensu, żeby w taki sposób kręcił się bezmyślnie ponad ziemią. Daj mi jakąś wskazówkę.

I wtedy nagle usłyszał głos Dolga, ostry i pełen przerażenia: *Faronie, uważaj!*

Ponad nim opuszczał się pionowo w dół jakiś dziwny samolot, chyba myśliwiec.

Kierował się wprost na jego gondolę. Faron usiłował skrócić, lecz nieznaną obiektem latającym nie miał dla niego litości. W jednej chwili system manewrowy gondoli przestał funkcjonować i Faron poczuł, jak, kręcąc się niby w korkociągu, coraz bardziej przybliża się do ziemi. Obca maszyna przez moment znalazła się tuż obok i mógł spojrzeć w dwie ziejące nienawiścią męskie twarze, których nie

zdołał rozpoznać. Zaraz potem musiał podjąć próbę ocalenia własnego Śycia.

Nad gondolą nie miał Śadnej kontroli. Wiedział, Śe nie zdąŚy z niej wyskoczyć, ziemia bowiem zbliŚała się z prędkością błyskawicy.

Faron uchwycił się poręczy po obu stronach środkowego przejścia, wysoko pod sufitem. Na szczęście nie był przypięty. Teraz pozostawała mu jedynie nadzieja, Śe jako Obcy jest dostatecznie silny, by przeŚyć.

Gondola wirowała tak prędko, Śe nie zdąŚył nawet zobaczyć, w jakim miejscu wyląduje. Wiedział, Śe na szczęście nie zapuścił się daleko nad morze, lecz zderzenie z ziemią i tak byłoby dostatecznie groźne. Wydawało mu się, Śe jest w jakimś miejscu ponad północną częścią Europy Środkowej.

Gdy nadszedł moment zderzenia z ziemią, poczuł gwałtowne szarpnięcie i jeszcze mocniej zacisnął ręce na poręczach. Tymczasem jednak lądowanie okazało się zaskakująco miękkie. Nie mógł pojąć, dlaczego tak się stało, dopóki nie wyrżał. Przekonał się wówczas, Śe gondola wpadła do niewielkiego jeziora, wirując, pod kątem przecięła taflę wody, uderzyła o dno, odbiła się i z powrotem wyłoniła na powierzchnię. Unosiła się teraz na wodzie do góry dnem.

Oszołomiony Faron mógł wreszcie znów myśleć logicznie.

Gondola nabierała wody, to niedobrze. Jak daleko do lądu?

Na szczęście blisko. Dziękował Świętemu Słońcu, Śe go nie opuszcza, bo przy sporej porcji huśtania i chlupania gondola samoistnie kierowała się ku najbliższemu brzegowi.

Faron mógł jedynie czekać.

Gondola Gorama została zbudowana z bardzo mocnego i sprężystego materiału, uszkodzenia nie wydawały się wcale przeraŚające, a woda sączyła się do środka jedynie cienkim strumykiem przez pękniętą okienną szybę.

Gorzej przedstawiała się sprawa z samym Faronem. Najgroźniejsze było uderzenie w głowę, czuł, jak ogarnia go coraz większa słabość.

To nie moŚe się stać, przecieŚ on musi zejść na ląd, musi takŚe próbować uratować gondolę Gorama.

Potem wszystko przesłoniła Faronowi mgła. Poczul uderzenie o brzeg, zachował teŚ

niejasne wspomnienie o tym, Śe otwierał jakieś drzwi, odwrócone do góry nogami, a potem przedzierał się przez wodę i strasznie namordował z wyciągnięciem gondoli na ląd. Zdołał teŚ

chyba ją ukryć w zagajniku, potem zaś, jak mu się wydawało, odszedł stamtąd. Co się stało dalej, nie pamiętał.

Obudził się w ciemnościach.

Ktoś się nad nim pochylał.

Jego wzrok z wolna przyzwyczajał się do panującego wokół mroku. O dziwo, było tutaj równieś światło, Źywe, ciepłe Śólte światło, blask świec w wysokich świecznikach w jakimś niezwykle pomieszczeniu, komnacie twierdzy lub zamczyska, z łukowatym sklepieniem, grubymi murami i olbrzymim kominkiem, na którym z trzaskiem płonął ogień, źródło światła i ciepła. Ściany pokrywały tkaniny w piękne wzory, a w niszach okiennych, wąskich, wysokich i głębokich, widać było oprawy w ołów szybki z kolorowego szkła.

Średniowiecze, pomyślał zdumiony. Podniósł oczy i ujrzał kobietę, stojącą przy nim z miseczką w dłoni.

Cały zdrętwiał. Cóż to za wspaniała niewiasta, z pewnością bardzo wysokiego rodu.

Poznawał to po jej niezwykle pięknym stroju, długiej do ziemi sukni o prostym kroju z najdelikatniejszej tkaniny w kolorze bladego błękitu i bieli. Szata ozdobiona była na brzegach ludowymi motywami, wyszywanymi złotą nicią, perłami i szlachetnymi kamieniami, z prostymi i szerokimi rękawami. Kobieta we włosy wplecioną miała wstążkę ze złotogłowiu, nosiła także coś w rodzaju staromodnego diademu. Pierwszą jednak myślą, jaka pojawiła się w umyśle Faron, było: czarownica!

To ona przemówiła pierwsza.

- Kim jesteś, majestatyczny obcy?

Och, nie zdawała sobie sprawy, jak słusznie postępuje, nazywając go „obcym”!

- Moje imię brzmi Faron - odparł dwornie. - I dziękuję ci, szlachetna pani, za ocalenie.

Kobieta nie kryła zdumienia.

- Rozumiesz moją mowę, a ja twoją?

- Nauczyliśmy się radzić sobie z problemami językowymi - odparł Faron nieco ogólnikowo. - A kimś ty jesteś? Królową?

Nieznajoma uśmiechnęła się leciutko.

- Nie jesteś daleki od prawdy. Mam na imię Libusza.

Faron aż drgnął, słysząc te słowa. Libusza? Na Święte Słońce, co to ma znaczyć?

Libusza, założycielka dynastii Przemyslidów w Bohemii? W szóstym wieku? W jaki sposób on się tu znalazł? Czyśby odbył podróż w czasie? Nie, to raczej niemożliwe.

Libusza naprawdę była czarownicą, na poły legendarną, na poły historyczną. Dobra królowa Czech. Dzięki swojej czarodziejskiej ródśce wzbogaciła kraj o kopalnie, za pomocą swych zaklęć

zakładała miasta, a ofiary składane z ludzi zastąpiła ofiarami z obciętych paznokci i włosów. Powiadano, że wciąż tkwi pod postacią woskowej mumii w swoim grobie w Pradze.

Faron całkiem zaniemówił. Zupełnie nie wiedział, jak ma to wszystko rozumieć.

Libusza pochyliła się nad nim.

- Namaściłam cię uzdrawiającymi olejkami, mam tu też miseczkę leczącego eliksiru, który powinieneś wypić.

- Nie wiem, jak ci dziękować.

Kobieta wyraźnie się oświła. Siadła przy nim i nakryła mu rękę dłonią, która wydawała się lekka niczym strusie pióro. W jej oczach pojawił się cień strachu.

- Owszem, możesz mi pomóc, widzę bowiem, że jesteś szlachetnym człowiekiem -

zaczęła mówić bez tchu. - Jedna z moich potomkiń ogromnie cierpi, za sprawą współczesnych, niebezpiecznych czarodziejskich środków jest bliska śmierci. Ja nie mogę do niej dotrzeć, ty za to możesz.

- Gdzie ją znajdę? - natychmiast spytał Faron.

- Niedaleko stąd. Najpierw jednak sam musisz stanąć na nogi. Będę cię osobiście pielęgnować, aś nabierzesz dość sił, by zająć się moją następczynią. To młoda dziewczyna z tego wielkiego miasta, które wyrosło w pobliżu.

Faron poczuł, jak bardzo jest słaby. Miał ochotę natychmiast się poderwać, przede wszystkim by wyruszyć na poszukiwanie Móriego i Berengarii, był jednak wciąż zbyt zamroczony. Zrozumiał, że doznał naprawdę ciężkiego wstrząsu mózgu, powinien więc zachowywać absolutny spokój.

Opadł z powrotem na poduszki i przymknął oczy.

Poczuł ogarniającą go bezradność. Mimo że on i jego towarzysze starali się znaleźć wyjście z dramatycznej sytuacji, wszystko stawało się coraz bardziej skomplikowane.

Na dodatek teraz powinien pospieszyć z pomocą! jakiejś nieznanym potomkini znajdującej się na czarach księżniczki z pogańskich czasów. Dopiero potem będzie mógł

wyruszyć, by wypełnić swe właściwe, lecz chyba nierealne zadanie: uwolnić dwójkę zaginionych.

- Co wyście narobili? - wrzasnął Talornin do stojących przed nim dwóch pilotów. -

Zestrzeliliście tę zieloną gondolę?

- Z Faronem - oświadczył jeden z nich dumnie.

- Do diabła z Faronem! On jest kompletnie bez znaczenia.

Znajdowali się teraz na pustkowiu, z dala od wszystkich tych ludzi, którzy tak strasznie zmiękli i zrobili się tacy dobrzy po prysznicu z eliksiru przeklętych Madragów. Z

tyłu stała skradziona przez Talornina gondola i owa potworna machina, którą po niebie szybowali piloci.

Lenore obserwowała ich z boku, nie kryjąc pogardy. MęŜczyźni! Owszem, to poŜyteczne narzędzia, lecz ci tutaj to, doprawdy, straszni nudziarze. Talornina znała juŜ

właŝciwie na pamięć, a pełni nienawiści piloci to przecieŜ kompletne zera.

Gdyby tylko mogła liczyć na jakieś sam na sam z księciem Markiem!

Piloci trochę byli obraŜeni, a trochę takŜe wystraszeni.

- My wcale nie zestrzeliliśmy tej gondoli - bronił się jeden z pilotów. - Po prostu zakłóciliśmy jej funkcjonowanie. Niech sobie radzi sama, stwierdziliśmy. A. ona oczywiście spadła - dokończył, chichocząc.

Talornin wyglądał jak gradowa chmura.

- Gdzie?

Wzruszyli ramionami.

- A gdzieś, w jakimś miejscu.

Pół - Obcy postąpił o krok naprzód.

- Gdzie? - wrzasnął.

Piloci trochę pobladli, sytuacja zaczynała stawać się naprawdę nieprzyjemna.

- Wydaje mi się, Ŝe to było... - zaczął jeden.

- Wydaje ci się?

- No tak, a bardziej konkretnie... gdzieś w Czechach. Mam wraŜenie, Ŝe widzialem jakieŝ jezioro.

Teraz oŝywił siê drugi z pilotów.

- Tak, gondola wpadła do jeziora, krêcąc siê w kółko.

Głos Talornina brzmiał teraz zimno i złowieszczo spokojnie.

- Krêcąc siê. Do jeziora. Ach, tak! Czy wy wiecie, coście narobili?

Nic wiêcej nie powiedział, bo przecieŜ chyba niemądrze byłoby zdradzać tajemnicê amfory.

- Natychmiast pokaŝcie nam to miejsce - oŝwiadczył krótko i ruszył w stronê pojazdów.

Na powierzchni Ziemi wyruszyła nastêpna rakietka. RównieŜ ona zmierzała do pólnocnej Kalifornii.

Znajdowali siê w niej Kiro, Sol i Armas oraz dwaj Straŝnicy, którzy mieli pozostać w bazie.

- Cóż za przekłety galimatias! - ubolewała Sol. - Wszystko poszło na opak. Marco nie wie, z kim ma do czynienia, Móri i Berengaria sà wiêźniami. Te łotry dysponujà zagraŝajàcym całemu ŝwiatu ŝmiercionoŝnym wirusem i na powierzchni Ziemi szukajà Faronà, który ma amforê, a my nie moŝemy nikogo ostrzec, bo nie działa cały system komunikacyjny. Miejmy tylko nadzieję, Ŝe Marco i Faron jakoŝ zdołali siê mimo wszystko odnaleźć.

Kiro nie odpowiedział. Pozwolił Sol na głoŝne myŝlenie, wiedział, Ŝe ona to lubi.

- Moim celem jest odnaleźć tę piekielnà Lenore - oŝwiadczyła Sol zacietrzewiona. -

Juŝ siê cieszę na ponowne spotkanie. Zgromadziłam moje najlepsze, albo moŝe najgorsze, kuglarstwa, Ŝeby...

- Co to za słowo? - przerwał jej Armas.

- Kuglarstwo? To słowo na okreŝlenie sztuczek, równieŜ tych nieprzyzwoitych. W

kaŝdym razie zatroszczę siê o to, Ŝeby cierpiała, zaznała upokorzeñ, udrêk i...

- Zaczynasz przesadzać, Sol - przestrzegł jà Kiro. Dobrze znał swojà Ŝonê, była cudownà kobietà, ciepłą, serdecznà i czułą, ale w głębi duszy wciàŜ zachowała odrobinê przekleñstwa Ludzi Lodu. W momentach takich jak ten zaczynały nià kierować złe siły, choć zostały znacznie zredukowane w stosunku do tego, co było kiedyŝ.

Sol natychmiast poprosiła o wybaczenie i pocałowała go w policzek.

- To siê juŝ wiêcej nie powtórzy - obiecała, lecz on i tak jej nie uwierzył. Soł to Sol i wlaŝnie za to jà kochał. Kochał wszystkie jej zalety i wady, równieŜ te, które starała siê w sobie zwalczyć.

- Hamujemy - oświadczył Armas, budząc się ze swych snów o Berengarii. - Jesteśmy na Ziemi.

Baza raketowa w Kalifornii mogła okazać się pusta, bo przecieŜ nie było w niej stałej załogi, a Marco i jego towarzysze być moŜe juŜ stąd odlecieli. Niekiedy jednak Poszukiwaczom Przygód w nieszczęściu sprzyjało szczęście. Tym razem to, iŜ wszystko ułoŜyło się jak trzeba, było niewątpliwie „zasługą” wroga.

PoniewaŜ łotry skradły ich jedyną gondolę, Marco, Gwiazdeczka, Dolg i dwaj StraŜnicy wciãŜ nie mogli ruszyć się z miejsca.

Dolg na wiadomość, Ŝe nie dysponują Ŝadną gondolą, zareagował słowami: „Ach, na Święte Słońce, co my teraz zrobimy”, i zaraz wszyscy popatrzyli na siebie pytająco.

Nieoczekiwanie pod stopami poczuli drŜenie.

- Trzęsienie ziemi? - zdziwił się jeden ze StraŜników.

- Nie - odparł Marco. - Posłuchajcie tego świstu!

Twarz drugiego StraŜnika rozjaśniła radość.

- To jakaś inna rakietka kieruje się do bazy!

Dolg został z nimi, chciał to zobaczyć. Gwiazdeczka starała się sprawiać wraŜenie, jakby od lat juŜ naleŜała do Poszukiwaczy Przygód, lecz nikogo tym nie zwiodła. Marco przytulił ją do siebie w próŜnej próbie wmówienia sobie, Ŝe chce chronić to dziecko, jakim przecieŜ była.

- Zróbcie miejsce nowej rakiecie - poprosił.

- Wszystko będzie dobrze - odparli StraŜnicy. - Obie się zmieszczą.

Nowo przybyła rakietka zahamowała i wykonawszy miękkie lądowanie, ułoŜyła się tuŜ

przy pierwszej. Wysiedli z niej Sol, Kiro, Armas i dwóch StraŜników. Zapanowała wielka radość. Ci, którzy teraz przybyli, mogli zobaczyć Dolga i powitali go z honorami, a w oczach błyszczało im szczęście.

- Czuliśmy, Ŝe musimy lecieć do was - powiedział Kiro z twarzą rozjaśnioną radością, Ŝe oto udało im się spotkać tu, w pobliŜu bazy. - Wszystkie systemy łączności zostały zablokowane, a przecieŜ musicie otrzymać waŜną wiadomość. Dlaczego jednak wciãŜ tu jesteście?

Marco opowiedział o skradzionej gondoli.

- Zabraliśmy ze sobą aŜ trzy - oznajmił Kiro i usłyszał zbiorowe westchnienie ulgi.

- Całe szczęście - rzekł Marco. - Powinniśmy się spieszyć.

Poinformował jeszcze przybyłych o strąceniu gondoli Farona i zakończył pytaniem:

- Ale ty, Kiro, wspominałeś, że musimy otrzymać wiadomość. Jaką?

Kiro przekazał im nowinę: wiedzą już, kim są wrogowie. Słyszając ich imiona, Marco, Gwiazdeczka i dwaj Strażnicy zaniemówili.

- Talornin i Lenore? - z niedowierzaniem powtórzył wreszcie książe Czarnych Sal. -

To niewiarygodne. Lecz jeśli to rzeczywiście jest prawda, wszystko do siebie pasuje.

- Owszem - przyznał Kiro. - Przybyliśmy właściwie po to, żeby ostrzec Farona. Oni się czają na niego, a raczej na gondolę Gorama. Najwyraźniej jednak przybывamy za późno.

Gdy przeanalizowali sytuację, Dolg rozdzielił zadania. Nie było czasu do stracenia.

Gwiazdeczka nie bardzo uważała, co się mówi. Jej zdaniem za dużo było tego gadania. Wpatrywała się w ciemniejące wieczorne niebo, na którym zapalały się kolejne gwiazdy. Niektóre świeciły ostro, tak jasno, że niemal eksplodowały w jej oczach. Nie wiedziała, że to planety. Inne były malutkie i świeciły tak słabo, że ledwie się można było domyślać ich istnienia.

Ale zdaniem dziewczyny ani trochę nie przypominały jej oczu. Zdecydowała, że nie chce, by dłużej nazywano ją Gwiazdeczką.

- Czy Bianka nie będzie dobrze?

Marco, wyrwany z dyskusji z mężczyznanami, nie mógł pojąć, o co jej chodzi.

- To jedno z moich wielu imion. A może Esmeralda albo Rosamunda?

Marco westchnął.

- Czy twój ojciec naprawdę nie nadał ci żadnego sensownego imienia? Rozumiem, że nie chcesz dalej nazywać się Gwiazdeczką, ale czy nie możesz używać tego imienia, którym nazywa cię mały Haram? Gia? Może ono się nada?

Gwiazdeczka parokrotnie wypowiedziała głośno nowe imię, nim wreszcie zdecydowanie pokiwała głową.

- Bardzo dobrze - powiedział Marco. - Czy możemy teraz wrócić do układania planów?

Dolg już wszystko przemyślał.

- Mamy teraz czterech Strażników, a tu potrzebnych jest tylko dwóch - powiedział. -

Armasie, weźmiesz ze sobą jednego ze Strażników i odnajdziesz Farona. Wiem, gdzie go szukać i, o ile dobrze rozumiem, to jego sytuacja mogłaby być znacznie trudniejsza, choć, doprawdy, wpłatał się

w coś zdumiewającego. Pomogę wam w poszukiwaniach. Kiro i Sol, będą potrzebował waszej pomocy, by odnaleźć tę parę drani, Talornina i Lenore, i wykraść im pojemnik z wirusem.

- Oni nie są sami - zauważył Marco. - Musi ich być co najmniej czworo.

- I tytu właśnie jest - pokiwał głową Dolg. - Przynajmniej tutaj. Talornin, Lenore i jeszcze dwóch, którzy kierują tą niezwykle nowoczesną latającą machiną. Ale ci dwaj nigdy nie byli w Królestwie Światła, latali tylko tutaj i przygotowywali wszystkie podłe posunięcia.

Sol syknęła przez zęby:

- Lenore dostanie za swoje. I to z nawiązką!

- W to nie wątpię - sucho odparł Dolg.

Czterej Strażnicy ciągnęli losy po to, by ustalić, którzy zostaną w bazie, a którzy narażać będą życie i zdrowie wraz z innymi. Przegranii, pozostający w bazie, westchnęli ciężko.

- Dolg, ty zaprowadzisz mnie do Móriego i Berengarii - oświadczył Marco, a Gwiazdeczka zaraz pociągnęła go za rękaw.

- Tak, tak, wezmę ze sobą Gwia... Gię - uspokoił dziewczynę.

Drugi Strażnik miał towarzyszyć Kirowi i Sol.

Rozdzielili się na trzy gondole. Dolg postanowił w pierwszej kolejności wskazać Armasowi drogę do małego jeziora w Czechach, dawnej Bohemii.

- Wszystko to jest trochę zawile - delikatnie uprzedzał chłopaka Dolg. - Chodzi nie tylko o to, że Faron nie ma już żadnej gondoli. Ty, Strażniku, musisz sprawdzić zieloną gondolę Gorama, żeby stwierdzić, czy ona nadaje się jeszcze do użytku. Najgorsze jest to, że nie bardzo wiem, w jakiej epoce znajduje się Faron.

- Co takiego? - wykrzyknął Armas.

- Cóż, sami się przekonacie, gdy dotrzemy na miejsce. Tam będę musiał was opuścić, żeby wraz z Markiem wyruszyć do Móriego i Berengarii. Nie będziecie się już mogli ze mną kontaktować.

Armasa te słowa nie uspokoiły.

Z pomocą Dolga prędko odnaleźli niewielkie jeziorko w Rudawach, Górach Kruszcowych, które Niemcy nazywają Erzgebirge, Czesi zaś Krušné Hory. KrąŜyli nad wodą przez pewien czas, zanim wreszcie spuścili się w dół.

śadnej gondoli jednak nie zauwaŜyli.

Dolg rozejrzał się dokoła. Nad jeziorkiem w górach tuŜ w pobliŜu niemieckiej granicy było naprawdę przepięknie.

- Jak wspaniale wyglądają te drzewa - powiedział miękko. - W dwudziestym wieku las ginął z powodu zanieczyszczenia środowiska. Właściwie moŜna powiedzieć, Őe juŜ był

martwy. W pobliŜu znajdowały się wielkie kopalnie lignitu, a ludzie w tamtych czasach w ogóle się nie zastanawiali nad tym, co robią. Na szczęście drzewa zdołały odrosnąć.

Po krótkiej chwili milczenia Dolg podjął przeproszającym tonem:

- Muszę juŜ odejść, inni na mnie czekają. Ale teraz zniknę wam z oczu po to tylko, by przepatrzyć okolice i odnaleźć gondolę.

- I Farona - uzupełnił Armas.

Dolg powtórzył:

- I Farona.

Z tymi słowami zniknął.

- Co teraz robimy? - spytał Armas StraŜnika, tego samego, który naraził się niegdyś na gniew prostytutki Zendy w mieście nieprzystosowanych. Nosił imię Sardor, Armas pamiętał

całą tamtą przykrą historię. StraŜnik wciąż miał blizny po brutalnym potraktowaniu go przez Zendę.

- Czekamy - powiedział Sardor. - Na pewno dostaniemy jakąś wiadomość.

I rzeczywiście tak się stało.

Dolga juŜ więcej nie zobaczyli, lecz w szumie wiatru wychwycili jego głos.

Korzystając z jego wskazówek, przelecieli gondolą na drugą stronę jeziora, gdzie znaleźli ukochaną zabawkę Gorama, starannie ukrytą w lesie.

- Bez pomocy Dolga nie mielibyśmy szans na jej odnalezienie - podsumował Armas.

- Mam wrażenie, Őe ona została ukryta za pomocą jakichś czarodziejskich środków -

stwierdził zdumiony Sardor.

- W świecie na powierzchni Ziemi? I to teraz, współcześnie? - nie dowierzał mu Armas. - Jak ona wygląda? Czy da się naprawić?

Zbadali gondolę.

- Z zewnątrz nie widać żadnych większych uszkodzeń - powiedział Sardor. - Załedwie kilka wgnieceń. Natomiast system startowy i napędowy wydaje się zaklinowany, w ogóle nie funkcjonuje, a tak przecieś być nie powinno.

- Znow sprawka Talornina - mruknął Armas, ocierając błoto z butów. - Blokowanie zaawansowanych systemów, których nie można zniszczyć, to najwidoczniej jego specjalność.

Zostawili na razie gondolę w ukryciu i ruszyli na poszukiwanie Faron.

Na bagnistym podłożu bez trudu szli po jego śladach. Wyglądało na to, że poruszał się z trudem, jak gdyby zataczając się od pnia do pnia. Wspinał się coraz wyżej, oddalając się od jeziora, innej drogi bowiem nie było.

Armas zatrzymał się nagle i powiódł dłonią po równych kamiennych blokach, ułożonych jeden obok drugiego.

- To zastanawiające - mruknął.

Znawali się teraz na niewielkim płaskowyzu wśród lasu i właśnie wtedy go zobaczyli.

- Daleko to on nie zaszedł - stwierdził Sardor. - Co właściwie się z nim dzieje?

Czym prędzej pospieszyli do olbrzymiego Obcego, który wyciągnięty na ziemi leżał na plecach z rękami pięknie złożonymi na piersiach i zamkniętymi oczyma.

Przez moment okropnie się wystraszyli, że już nie żyje, lecz gdy uklękli po obu jego bokach, otworzył oczy.

Uśmiechnął się na ich widok.

- Dobrze, że jesteście.

Niczego nie mogli pojąć.

Nic z tego, co mówił Faron o jakiejś dziewczynie w wielkim mieście, której musi pomóc. Ani też tego, kto mógł opatrzyć jego rany, korzystając z wielkich liści, nasączonych leczniczymi maściami.

- Czy ty sam to zrobiłeś? - spytał wreszcie Armas.

- To Libusza - odpowiedział Faron. - Zabrała mnie do swego zamku, wyleczyła mnie i ogrzała przy ogniu swego kominka.

Popatrzyli na siebie.

- Faronie... leŜysz pod gołym niebem - powiedział Sardor zakłopotany.

Obcy, który zamknął oczy natychmiast, gdy tylko ujrzał swych wybawicieli, teraz znów je otworzył.

- Och, tak, oczywiście - odparł nieco zdziwiony. - Ale to naprawdę było tutaj, poznaję te chmury. Nie, nie, tylko Őartowałem, poznaję ten skalisty szczyt.

- Faronie, spróbuj oprzytomnieć - prosił Armas. - CzyŜbyś zaŜył jakiś narkotyk?

- Owszem, dostałem coś do picia.

- Dostałeś? Od kogo?

- Od Libuszy, czeskiej królowej. Wiecie, w jaki sposób zdobyła męŜa?

Zabrakło sił, Őeby go spytać, lecz Faron i bez tego opowiadał dalej:

- Cóż, wysłała swego mądrego konia na poszukiwania męŜczyzny, jadającego przy stole z Őelaza. Koń zatrzymał się w końcu przed wieśniakiem, który na polu nakrył sobie do prostego posiłku na lemieszu pługa. Wieśniaka zaprowadzono wprost na zamek. Nie na ten tutaj, to tylko twierdza, wzniesiona dla obrony przed wrogiem. I wieśniak okazał się równie wspaniałą duszą jak Libusza. Miał na imię Przemysł i został protoplastą wszystkich ksiąŜęcych domów w Europie.

- To bardzo interesujące, Faronie, lecz teraz musisz iść z nami. Talornin i Lenore poszukują ciebie i zielonej gondoli.

- Teraz to chyba wam zaczyna się mieszać w głowie.

- Nie, to wszystko jest prawdą - powiedział Armas. - Nie wiem, co przeŜyłeś, lecz faktem jest, Őe są w tym miejscu ślady wskazujące na to, iŜ kiedyś, przed wiekami, mogła się tu wznosić twierdza.

- O, tak, to było dawno temu. Ona Őyła w szóstym wieku. Naprawdę doskonale znała się na czarach, jak sam diabeł.

Surowy Faron bardzo rzadko uŜywał takich dobitnych określeń.

A więc to właśnie Dolg miał na myśli, mówiąc, Őe nie wie, w jakiej epoce znajduje się Faron.

- Wierzmy, Őe ona się znała na czarach - powiedział Sardor z goryczą. - To z pewnością ona tak ukryła twoją gondolę, Őe znaleźć ją był w stanie jedynie czarnoksiężnik Dolg. Teraz Dolg wtopił się w naturę.

Wyglądało na to, że Faron nie jest w stanie nadać się za tokiem rozmowy.

- Chodź już, Faronie - próbował nakłonić go Sardor.

Wreszcie Faron jakby się ocknął i nie poruszając się, oświadczył:

- Nie mam czasu. Muszę ocalić jej potomkinię.

- Tę dziewczynę z miasta?

- Właśnie. Otrzymałem dokładne wskazówki, gdzie należy jej szukać i dokąd mam ją odprowadzić.

- Faronie, przecie ty nie możesz wejść do miasta! Zaraz cię schwytają i zamkną gdzieś jako pozaziemską istotę. Zresztą w ogóle nie bardzo jesteś w stanie chodzić.

- Ale ja przyrzekłem!

Sardor i Armas zaczęli się po cichu naradzać. Dzień był bezwietrzny, a ciepło bijące od sosnowych szpilek i szyszek otoczyło ich niczym obłoczek terpentyny. Od nagrzanej w słońcu skały bil cudowny zapach kamienia i mchu.

Wreszcie Sardor oświadczył:

- Z nas trzech Armas najbardziej jest podobny do ludzi. On tam pójdzie. Ja go zawiozę i zaczekam, a ty wypełni zadanie.

Jeśli w ogóle jakaś dziewczyna istnieje, dodali w duchu. Cała opowiedziana przez Farona historia sprawiała wrażenie dość nieprawdopodobnej.

Na całe szczęście Faron przystał na to, by Armas go zastąpił.

Armas otrzymał wszystkie dotyczące dziewczyny informacje od Faron, któremu przede wszystkim pomogli zejść ze zbocza z powrotem do gondoli. Nie powinien tak leżeć w widocznym miejscu, przecież mogli nadlecieć Talornin i Lenore.

Gondola Gorama była tak doskonale ukryta, że zdaniem Sardora Faron mógł po prostu się w niej schować i czekać na powrót przyjaciół. Wtedy postarają się zrobić wszystko, co w ich mocy, by odzyskał swoją dawną formę. Właściwie Faron już się znalazł na dobrej drodze do wyzdrowienia, byle tylko dobroczynne działanie snu pomogło usunąć z jego organizmu resztki tajemniczych, lecz niezaprzeczalnie uzdrawiających medykamentów.

Sardor odwiózł Armasa do „wielkiego miasta”, które okazało się Pragą. Dyskretnie wylądował na dachu jakiegoś domu, wysadził chłopaka i zaraz polem wrócił nad górskie jezioro. Tam ukrył swą gondolę w pobliżu zielonego pojazdu Gorama.

śaden z nich nie miał odwagi szukać amfory. Dolg orzekł, że może ona być albo zupełnie niegroźna, albo też ekstremalnie niebezpieczna. Nie powinni podejmować tak wielkiego ryzyka.

Armas nie był ani trochę zadowolony z zadania, jakie mu przypadło, on wszak miał

ratować Berengarię. Dlaczego Marcowi i Gwiazdeczce, to znaczy Gii, wolno było spieszyć Móriemu i Berengarii na ratunek, a jemu nie? Ktoś powinien się tym zająć, jak nie on, drogi sercu Berengarii?

Ach, co za niemądre określenie: „drogi sercu”? W pośpiechu jednak nic lepszego nie wymyślił.

Dziewczyna, potomkini Libuszy, podobno jest częstą bywalczynią pobliskiego baru, ale dostał też jej adres domowy.

Dowiedział się, że dziewczynie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, a powodem, dla którego owa mądra Libusza - jeśli oczywiście wszystko to nie jest wytworem majaków Faron - tak się o nią troszczyła, było to, że i ona nosiła takie samo imię, a z wyglądu bardzo przypominała swą prapraprababkę, żyjącą półtora tysiąca lat temu. Z dziewczyną jednak działo się coś niedobrego i Libusza starsza zaczęła się martwić.

Libusza z minionych czasów musiała mieć dziesiątki tysięcy potomków, wśród nich znaleźli się księżęta, królowie i cesarzowie. Najwyraźniej jednak ta młoda Libusza, w której żyłach nie płynęła nawet szlachecka krew, była dla niej szczególnie ważna.

Myśli Armasa zawędrowały jeszcze dalej. Skoro Libusza starsza dała początek większości księżyckich domów w Europie, to chyba znaczy, że do jej potomków należą także księżna Theresa, a w takim razie również Dolg?

Czy właśnie dlatego tak zależało mu na uratowaniu dziewczyny? Dolg musiał być jej o wiele bliższym krewnym niż Libusza starsza. A może jednak nie? Może drzewo genealogiczne za bardzo się rozgałęziało?

No nic, takie rozmyślanie do niczego nie doprowadzi.

Armas zszedł z dachu i powędrował nowoczesną ulicą niezwykle urokliwego miasta, Praga bowiem to jedna z najpiękniejszych stolic europejskich. Był zdenerwowany i spięty, nie opuszczały go złe przecucia.

Wkrótce, niestety, się potwierdziły.

W małym podejrzanym barze na bocznej ulicy Armas dziewczyny nie znalazł. Barman jednak, który wykrzywił usta w grymasie pogardy, gdy padło imię Libuszy, poradził mu szukać jej w domu. „Chyba nie czuje się dziś najlepiej”, orzekł zjadliwie. „I pamiętaj, nie nazywaj jej Libusza, bo jeszcze gotowa się na ciebie rzucić. Mów do niej Lisa”.

No cóż, to akurat nie zdziwiło Armasa. Libusza to widać staromodne imię, z jakim nie wypada się dzisiaj obnosić.

Armas włożył bardzo ciemne okulary słoneczne, żeby nie pokazywać swoich całkiem czarnych oczu. Ubrany był właściwie jak wszyscy mężczyźni w Pradze, wyróżniał go wśród nich jedynie niezwykle wzrost. I, rzecz jasna, czarne włosy Obcych, lecz związał je w koński ogon i wsunął za kołnierz.

Kilkakrotnie musiał pytać przechodniów o ulicę, przy której mieszkała dziewczyna.

Dom nie przedstawiał się imponująco, przeciwnie, wyglądał na kompletną, nie nadającą się do remontu ruinę. Armas wdrapał się na górę po cuchnących schodach, a

wreszcie na drzwiach zobaczył tabliczkę z imieniem dziewczyny. Jej imię i nazwisko nie zostało tam umieszczone jako jedyne, lokatorów najwyraźniej było kilku.

Zadzwoił. Po dłuższej chwili drzwi otworzył mu jakiś wysoki, chudy jak szczapa chłopak. Armas spytał o Lisę i zaraz wpuszczono go do środka. Młody człowiek zresztą wyglądał na takiego, którego nic nie jest w stanie zdziwić.

Mieszkanie składało się głównie z jednego dużego pustego, brudnego pokoju, w którym ściany pokrywały wystrzępione plakaty. W powietrzu unosił się słodkawy zapach narkotyków.

Chociaż Poszukiwaczom Przygód udało się złamać syndykaty narkotykowe, to jednak tu i ówdzie działali jeszcze handlarze. W komunach takich jak ta resztki pozostających na rynku narkotyków wykorzystywano do końca.

Rzeczywistość okazała się dokładnie taka, jak Armas się obawiał, i spotkania z Lisą nie mógł nazwać sukcesem. Dzieliła małą sypialnię z dwiema innymi dziewczynami.

Jedna z nich leżała teraz w barłogu z mężczyzną. Nikt z obecnych w mieszkaniu nie był w stanie wydusić z siebie sensownego słowa.

Armas musiał improwizować. Przedstawił się jako daleki krewny Lisy i oznajmił, że pragnie zaprosić ją w bardzo interesującą podróż.

Dziewczyńie ani trochę tym nie zaimponował.

- ZjeŚdŚaj! - powiedziała tylko zamroczona.

Spróbował więc zainteresować ją rzekomo odziedziczonym wielkim spadkiem.

Ratunku! Co ja wygaduję? pomyślał z lękiem.

Ale spadek teŚ jej nie skusił.

Do pozostałej trójki nie dało się w Śaden sposób dotrzeć. LeŚeli na swoich materacach, całkowicie odurzeni, a z otwartych ust ciekła im ślina.

Lisa ani trochę nie spodobała się Armasowi. MoŚe zresztą wcale nie była taka brzydka, tylko strasznie brudna. Trudno odgadnąć, kiedy ostatni raz myła włosy, a ubranie wyglądało tak, jakby sypiała w nim co najmniej od tygodnia. Wzrok miała zamglony, wszystko wydawało jej się obojętne, okropnie teŚ przy tym cuchnęła.

Ale Libusza starsza co do jednego miała rację: dziewczynę naleŚało ratować, i to jak najprędzej, jeśli miała doŚyć następnego roku.

Armasowi Śal się zrobiło równieŚ pozostałej trójki, doszedł jednak do wniosku, Śe jeden ludzki wrak, którym ma się zająć, to naprawdę i tak więcej niŚ dość.

Z ogromną niechęcią, paraliŚującą całe ciało, podniósł Lisę z łóŚka, a właściwie gołego materaca, na którym leŚała nakryta jakimś podartym i brudnym kocem. Za poduszkę słuŚyła jej zrolowana kurtka.

Oczywiście nie obeszło się bez protestów, lecz Armas był silny, a przyjaciele dziewczyny nawet nie kiwnęli palcem, Śeby przyjść jej z pomocą. Zdołał jakoś postawić ją na podłodze i pociągnął za sobą. Szurała nogami, a w końcu bezwładnie zwiśła w jego ramionach, cięŚka jak ołów. Przez cały czas nawet na chwilę nie przestawała głośno przeklinać i wyzywać Armasa od najgorszych. Chłopak zachodził w głowę, jak to moŚliwe, by taka młoda dziewczyna zdąŚyła się nauczyć tylu brzydkich słów.

CóŚ, moŚe to wcale nie takie trudne, jeśli trafi się do odpowiedniego środowiska?

Miał przede wszystkim ochotę wsadzić ją pod prysznic, nigdzie jednak nie dostrzegł

tego urządzenia, nie bardzo teŚ miał na to czas.

Libusza starsza zaŚyczyła sobie, by odprowadził dziewczynę do domu jej rodziców, mieszkających na wsi w pobliŚu miasta.

Armas miał przy sobie trochę banknotów i monet, które na wszelki wypadek dał mu Sardor. Gdy wreszcie wśród nie kończących się protestów udało mu się sprowadzić dziewczynę na ulicę, przytrzymał ją z całej siły jedną ręką, drugą zaś przywołał elektryczną taksówkę. Dziewczyna

obrzucała go takimi wyzwiskami, że niezwykle dobrze wychowany Armas aż skulił się ze wstydu. Nie śmiał nawet podnieść oczu na mijających ich ludzi.

Taksówkarz nie wyglądał na zachwyconego pasażerką, ale Armas wcale mu się nie dziwił. Mruknął tylko coś pod nosem, że jego kuzynka jest chora, a kierowca nie bez złości burknął: „żeby tylko nie narobiła zamieszania”.

Gdy jednak Armas podał taksówkarzowi adres jej rodzinnego domu, tak właśnie się stało. Lisa wszczyła iście piekielną awanturę. Armas musiał siłą zapakować ją do taksówki, a potem zakryć jej usta ręką.

Przypominało to najczystszy kidnaping i w pewnym sensie tym właśnie było. Armas z wielkim trudem zdołał przekonać kierowcę, że robi to wszystko wyłącznie dla dobra dziewczyny.

Na szczęście Lisa była na tyle oszołomiona, że zabrakło jej sił, by dłużej z nim walczyć. Nie zrezygnowała jednak z wyzwisk. Na Armasa posypały się zduszone groźby, usiłowała też go kopać, a kierowca zagroził, że oboje zaraz wysadzi.

Armas uznał wreszcie, że musi uciec się do skuteczniejszych środków. Zdjął okulary słoneczne i popatrzył prosto na dziewczynę.

Podziałało. Lisa niby zahipnotyzowana wpatrywała się w jego niezwykle czarne oczy, a na koniec zemdląca.

Całe szczęście, odetchnął Armas z ulgą i czym prędzej włożył okulary, by kierowca niczego nie spostrzegł. Podczas jazdy wszystkie okna mieli otwarte na oścież, by nie wdychać bijącego od dziewczyny smrodu. Armas uznał, że najgorszy jest odór tłustych, od dawna nie mytych włosów. Niemal dotykały jego twarzy, więc starał się odwracać.

Gdy jednak zajechali do wielkiego gospodarstwa, czekał ich tam zimny prysznic.

Okazało się, że rodzice nie chcą wcale mieć z Lisą do czynienia. Wypędzili ją z domu już

przed kilkoma miesiącami, po tym jak zaczęła się narkotyzować, grozić im, a wreszcie okradła i ich, i innych krewnych.

Kierowca taksówki ulotnił się czym prędzej, Armas został więc sam przed zatrzaśniętymi mu przed nosem drzwiami, mocno przytrzymując wracającą do przytomności Lisę.

Ach, Boże, jakże on jej nienawidził!

Co teraz robić? Miał wielką ochotę po prostu zostawić ją tak jak stała, lecz przecież

nie mógł sprawić zawodu Faronowi, który obiecał Libuszy, że sprowadzi dziewczynę do domu.

Armas musiał przyznać, że jak do tej pory dziwaczna historia opowiedziana przez Farona nie odbiegała od faktów.

Chłopak umówił się z Sardorem, że ten przyleci po niego za... Armas zerknął na zegarek. Tak, gondola już wkrótce powinna tu być.

I rzeczywiście była! Stała między drzewami w zagajniku i sygnalizowała migaczami.

- Chodź! - surowo nakazał dziewczynie.

- Co? Dokąd mnie teraz cięgniesz? - obruszyła się Lisa. - Do lasu? Masz ochotę na darmowy numer? O, nie, będziesz mi musiał zapłacić!

- To w taki sposób zdobywasz pieniądze na narkotyki? - spytał z obrzydzeniem. - Nie dotknąłbym cię nawet żelaznymi szczypcami, gdybym nie otrzymał rozkazu sprowadzenia cię. Jesteś tak zaświniona, że przynosisz wstyd nawet świniom.

- Wcale nie! - wrzasnęła i kopnęła go z całej siły w łydkę. Nogę Armasa przeszył dotkliwy ból.

- Cóż, chyba całymi latami nie przeglądałaś się w lustrze. Czy ty wiesz, że cuchniesz jak publiczna latryna w najgorszych slumsach?

Mimo wszystko Lisa miała przed nim trochę respektu, sprawił to wygląd jego oczu.

Nie bardzo potrafiła ocenić, z kim tak naprawdę ma do czynienia.

Gdy jednak pociągnął ją do zagajnika i tam ujrzała gondolę oraz Sardora, zaniósła się krzykiem i próbowała uciekać. Armas zdecydowanie ujął ją pod rękę, dłonią zakrył jej usta i zaniósł do gondoli.

- Na Święte Słońce - mruknął Sardor, gdy już zobaczył i powąchał dziewczynę z bliska.

- No właśnie - burknął Armas i zaprowadził Lisę wprost pod prysznic.

Chociaż wrzeszczała jak szalona, rozebrał ją. W kabinie prysznicza było ciasno, ale wyrzucił jej łachmany, ściągnął ubranie, pozostając w samych jedynie slipach, i odkręcił

prysznic. Celowo włączył chłodną wodę, chciał bowiem oczyścić jej głowę z narkotykowego oszołomienia. Potem jednak odkręcił ciepłą wodę mocniej, tak by kąpiel stała się przyjemniejsza.

Na koniec zamknął drzwi na klucz od wewnątrz, żeby dziewczyna nie mogła uciec. Z

wielkim trudem udało mu się dosięgnąć szamponu, żeby umyć jej włosy. Akurat wtedy gondola zaczęła unosić się w górę. Lisa w niczym mu nie pomogła. Sam szorował jej ciało kawałek po kawałku, zadbał też o to, by i jego opłukała woda, czuł się bowiem okropnie brudny.

Do diabła, to najgorsze, w czym brałem udział, pomyślał z ogromnym niesmakiem.

Ale cóż, praca to praca.

Ach, gdzie jest cudowna, taka świeża i pachnąca Berengaria!

Lisa przestała wreszcie stawiać opór, jej działania i tak nie odnosiły żadnego skutku, była zresztą wycieńczona.

Właściwie to wielka przyjemność być takim czystym, uznała, a ten dziwny typ, któremu, jak sądziła, wpadła w oko, najwyraźniej ani trochę się nią nie interesował. To odrobinę upokarzające, lecz przynajmniej nie stresujące.

- Intymnymi częściami ciała sama się zajmij! - oświadczył twardo chłopak i wyszedł, pozostawiając ją w strugach gorącej wody.

- A co, ty się boisz? - zawołała za nim. - Obawiasz się, że się podniecisz, a i tak nic z tego nie wyjdzie? Bo wara ci ode mnie!

Czyżby jej nie słyszał?

Zawołała jeszcze raz, teraz używając brzydkich słów, które miały go zaszokować.

Ale jego najwyraźniej po prostu nie było.

Lisa zrobiła jednak to, co powiedział, a potem stała, rozkoszując się cudownym ciepłem, oblewającym ją od góry.

To niebezpieczne, pomyślała, podczas gdy parująca woda, poczucie czystości i monotony szum kropel ukołysały ją. Ugięła kolana i osunęła się na podłogę. Taka jestem zmęczona, tak strasznie zmęczona, nie mam siły nawet myśleć...

Ocknęła się nagle z wrzaskiem, bo woda z ciepłej przemieniła się w lodowatą i zaraz potem przestała lecieć. Cóż, zbiornik na pokładzie gondoli nie jest bez dna, a ona potrzebowała naprawdę mnóstwa ciepłej wody.

Zimny prysznic dobudził ją do reszty. Co, u diabła, się dzieje? Dlaczego ona jest tu, a nie na tym swoim kłującym materacu?

Ach, przydałaby się teraz działka!

Ubranie! Czy przypadkiem nie zostało jej coś w kieszeni? Na pewno. A może już

zdażyła zażyć?

Nie, nie czułaby się tak jak teraz.

Lisa uderzyła w krzyk:

- Zabrałeś mi mój proszek, ty przeklęty...

Potem padło słowo, od którego Armasowi ciarki przebiegły po kręgosłupie. A jeśli Sardor teŜ to słyszał?

Otworzył drzwi do kabiny i podał dziewczynie ręcznik.

- Masz, wytrzym się! Niczego ci nie zabrałem, tylko ubranie! Twoje szmaty leŜą w lesie pod wielkim kamieniem. WłóŜ ten kombinezon i kąpielówki, pewnie są za duŜe, ale to jedyne, co mamy w zapasie.

Jest okropnie rzeczowy, pomyślała Lisa. I sprawia takie wraŜenie, jakby się mnie brzydził. Ale co z tego, nic mnie to nie obchodzi.

Chwilę później wyszła, czysta i świeŜa, ubrana w kombinezon, w którym trzeba było podwinąć rękawy i nogawki. Ręce wyraźnie jej się trzęsły. Ach, gdyby chociaŜ odrobina proszku... albo słoik pełen tabletek!

Dopiero teraz spostrzegła, Ŝe w tym dziwnym pojeździe jest z nimi jeszcze jakiś trzeci mężczyzna, wyglądający na jeszcze bardziej pozaziemską istotę niŜ tamten chłopak. MoŜe to Marsjanin? Lisa pisnęła, usiłując wycofać się do prysznicza, lecz ten ktoś popatrzył na nią tak szczerym zdumieniem, Ŝe aŜ znieruchomiała.

- Libusza? - szepnął. - To przecieŜ Libusza!

Lisa poczuła, jak zaczyna nią szarpać narkotykowy głód. Próbowwała jednak udawać twardą.

- Skąd, u diabła, mnie znasz, ty potworze z Marca? I nie uŜywaj tego cholernego imienia, tyle razy juŜ mówiłam! Mam na imię Lisa, jeszcze się nie zorientowaliście, durnie?

Nieznajomi wykazywali iście anielską cierpliwość.

- Rzeczywiście, jesteŝ młodsza - rzekł ten podobny do Marsjanina.

Dziewczyna kaŜdym nerwem wyczuwała jego moc.

- Młodsza, głupsza i prostacka. Libusza to doprawdy niezwykła osoba. Wykształcona, dobra i mądra. Jedyne, co po niej odziedziczyłaŝ, to wygląd.

Lisa rozzłościła się jeszcze bardziej.

- Co za Libusza, do cholery?

Armas przyglądał się wyszorowanej do czysta Lisie, podczas gdy Faron usiłował

przedrzeć się poza narkotykowe zamroczenie dziewczyny i cokolwiek jej wyjaŝnić.

Rzeczywiście, coŝ w niej było, to, co sprawia, Ŝe ludzie wydają się interesujący bez względu na urodę, poczucie humoru czy sposób bycia. Naturalnie nie była tak piękna jak Berengaria czy Lenore,

lecz... naprawdę coś w sobie miała.

Tylko ten jej okropny język! A zachowanie?

Faron, który zdążył odpocząć w gondoli Gorama, a teraz przesiadł się do pojazdu Sardora, mógł już być uznany za zdrowego. Armas przysłuchiwał się ich rozmowie.

- Zewnętrzne podobieństwo jest doprawdy zaskakujące.

- Czyżby reinkarnacja? - podsunął Strażnik.

Faron zastanowił się.

- Sądzę, że masz rację, Sardorze.

- Co? O czym wy mówicie? - wtrąciła się ostro Lisa.

Faron odwrócił się do dziewczyny.

- Założycielka twego rodu odrodziła się w twojej postaci. Dlatego tak bardzo pragnęła cię uratować. Widać nie mogła znieść, że jej nowe życie, jej dusza popada w tak straszną ruinę.

- Wcale nie! Mogę z tym skończyć w każdej chwili, kiedy tylko zechcę. Tyle że po prostu nie mam ochoty. Czy jest coś lepszego niż dobry odjazd?

Faron spytał z powagą:

- A miałaś ostatnio jakieś dobre odjazdy?

- Owszem...

Urwała. Bo czy naprawdę tak było? Czyżby nie starała się z całych sił, żeby do tego doszło, lecz wciąż jej się to nie udawało? I stale myślała, że może następnym razem... Ale teraz musi dostać działkę, inaczej naprawdę będzie źle.

- Czy też może całkiem po prostu jesteś uzależniona?

Lisę jakby coś ukłuło. Jak można o to pytać? Ona miałaby być narkomanką?

Wysoki mężczyzna, który usiadł na krześle, mówił dalej:

- Libusza starsza bardzo wiele uczyniła dla swego kraju. Jej pragnieniem jest, abyś ty podjęła jej dzieło.

- A to dlaczego? - krzyknęła Lisa ze złością. - Kto robi cokolwiek dla mnie?

- Masz bardzo niewłaściwe nastawienie do Śycia. Mężczyzna wstał i w jednej chwili zrobił się potwornie wysoki, Lisa poczuła się przy nim mała jak mysz.

- Odpowiedz tylko, Liso, na jedno pytanie: Co chcesz zrobić ze swoim Śyciem?

Dziewczyna prychnęła.

- Zejść na dno z podniesioną flagą - odparła buńczucznie. - Kto by miał ochotę kończyć Śycie w domu starców jako sklerotyk?

- To, co mówisz, jest tak prostackie i egoistyczne, Śe nie chce mi się nawet tego komentować. Twoim zdaniem leŚeć w barłogu pod łachmanami w stanie kompletnego zamroczenia to właśnie znaczy zejść na dno z podniesioną flagą? Czy kiedykolwiek uczyniłaś w Śyciu coś, co by miało jakąkolwiek wartość? Dość juŚ tego! PomoŚemy ci wyrwać się z uzaleŚnienia.

- Ha! Jak moŚna być tak naiwnym!

Faron ze współczuciem pokręcił głową.

- Jest wśród nas pewien człowiek, który potrafi ci pomóc, lecz zanim on przybędzie, moŚe ci być trochę trudno.

- Potrzeba mi tylko jednej działki, Śeby znów stanąć na nogi - oświadczyła Lisa, która juŚ naprawdę czuła mrówki pod skórą, a na skórze zimny pot.

Zaczynały się wszystkie te piekielne udręki, które znała aŚ za dobrze. Kiedy pojawił

się ten wariat, noszący, zdaje się, imię Armas, powoli wychodziła juŚ z oszołomienia. Ona zaŚyła narkotyk znacznie wcześniej niŚ inni.

Teraz jej organizm wyraźnie domagał się nowej dawki, i to jak najprędzej.

- Dajcie mi tylko jedną działkę, Śebym mogła odzyskać równowagę. Potem będę juŚ gotowa, Śeby z tym skończyć, i to natychmiast.

Nikt w to nie uwierzył, chociaŚ dziewczyna chyba akurat w tej chwili była w pełni przekonana, Śe nie kłamie.

Postanowiła wyjść po swoje ubranie, Śeby przeszukać kieszenie.

Spotkała się jednak z gwałtownym sprzeciwem. Umieszczono ją na siedzeniu, a Armas przytrzymał ją mocno z takim wyrazem twarzy, jak gdyby przyciskał kamień, spod którego chce się wydostać najprawdziwszy smok.

Lisa kopała i uderzała na oślep, krzycząc, Śe musi wyjść.

- O, nie! - oświadczył ten drugi, Marsjanin. - Masz zamiar nam uciec? Armasie, przynieś jej łachy, Śeby sama mogła się przekonać, Śe tam nic nie ma.

Armas zdręsał.

- Właśnie się wykapałem - powiedział z wahaniem. Nie chciał sprzeciwić się rozkazowi Faron, no ale dotknąć tych brudnych łachmanów...

- Ja pójdę - powiedział Sardor, który go widać zrozumiał.

Ale nie dotarł dalej niż na schody. Faron i Armas zdążyli tylko dostrzec dwie sylwetki, z których jedna strzeliła w kierunku Sardora usypiającym nabojem.

Strażnik zdołał jeszcze zatrzasnąć drzwi od zewnątrz, żeby ochronić przyjaciół. !

Potem osunął się na ziemię.

Armas natychmiast rzucił się ku drzwiom, chcąc ratować Sardora, lecz Faron go powstrzymał.

- Niech ten jego bohaterski czyn nie pójdzie na marne - powiedział spokojnie. -

Zresztą on da sobie radę.

Armas odwrócił się do przerażonej Lisy.

- Sama widzisz, czegoś narobiła tymi swoimi wrzaskami! - wykrzyknął wzburzony. -

Nie zdołaliśmy w porę dostrzec niebezpieczeństwa, bo musieliśmy się zajmować zaćpanym zerem. Tobą!

- Już dobrze, dobrze - łagodził Faron.

- Ale jak oni się tu dostali? - wyszeptał Armas nie na Sarty wystraszony. - Jak zdołali odnaleźć nasze ukryte gondole?

- Pamiętaj, że Talornin ma teraz gondolę Marca, wyposażoną w radary, lornetkę na podczerwień i wszystko, czego takie łotry mogą potrzebować. Ponadto oni sami muszą być zaopatrzeni

w

niezły

arsenał

bezcennych

technicznych

sprzętów,

w

dodatku

zminiaturyzowanych, takich, które łatwo nosi się ze sobą.

Armas zniecierpliwiony rozejrzył się wkoło.

- Ach, gdyby tylko udało nam się nawiązać kontakt z innymi! Przecież my tu tkwimy jak w pułapce!

- Nie możemy nawiązać kontaktu. Chyba że... Dolg nas usłyszy.

- O, tak! - zawołał Armas z entuzjazmem. - Dolg nas moŜe uratować.

Ale wąty promyk nadziei prędko zgasi.

- No cóŜ - przyznał Faron. - Nie moŜemy teraz przeszkadzać ani jemu, ani Marcowi.

- Ale czy jest coś waŜniejszego niŜ to, co się dzieje tutaj?

- Owszem, Ŝycie Móriego i Berengarii - przypomniał mu Obcy.

Armas zwiesił głowę. Na krótką chwilę całkiem zapomniał o Berengarii, i to tylko dlatego, Ŝe ten ludzki wrak siedział tam, trzął się jak starzec, szczękając zębami, i wyglądał

po prostu okropnie.

Dlaczego wszystko idzie tak strasznie na opak, pomyślał bezradnie.

- Mieliśmy ich! - powiedziała Sol uradowana. - Mieliśmy juŜ Talornina i Lenore! Ale musieliśmy skrócić, Ŝeby ta patrolująca zabójcza machina nas nie zauwaŜyła.

Nie odpowiedział ani Kiro, ani StraŜnik. Dość mieli zajęcia przy sterowaniu gondolą i obserwowaniu terenu.

Długo śledzili gondolę Talornina, a właściwie Marca, pilnując jej skrycie. Lecieli teraz ponad Erzgebirge i właśnie stracili zwierzynę z oczu. I to tylko dlatego, Ŝe mało brakowało, a dostrzegłaby ich ta druga maszyna. Śmiercionośny samolot, kierowany przez parę Ŝądnych krwi pilotów.

NiemoŜliwością było dla Kira, Sol i StraŜnika zaatakowanie Talornina w powietrzu, w takiej walce by sobie nie poradzili. Musieli czekać, aŜ wróg wyląduje.

Cieszyli się, Ŝe na niebie pojawiły się chmury. Mogą one utrudnić Talorninowi obserwację z powietrza, dzięki nim łatwiej będzie pozostać niewidzialnym.

- NieduŜe jezioro - powtarzała przygnębiona Sol.

NieduŜe jezioro. Dolg wspominał o jakimś nieduŜym jeziorku.

- Sporo takich widzieliśmy - przypomniał StraŜnik sucho.

Zarówno on, jak i Sol nie odrywali oczu od szyb.

- Tam! - zawołała Sol nagle.

- No właśnie! Rzeczywiście jest tam coś, co kształtem moŜe przypominać gondolę.

Kiro natychmiast skierował ich pojazd w to miejsce.

- Ale... to wcale nie jest gondola Gorama! - zdumiał się StraŜnik. - Ani teŜ Sardora.

Kiro przyjrzał się uważnie.

- To gondola Marca! Ta skradziona. To znaczy, Œe wróg jest tutaj.

- Co teraz zrobimy?

- Wiem, co ja zrobię - oświadczyła Sol, zgrzytając zębami. - Dajcie mi tylko Lenore, a ja się z nią rozprawię! Serdecznie, z całego serca!

- Na razie jeszcze tam nie jesteśmy - przypomniał jej Kiro łagodnie.

- Mam wrażenie, Œe dostrzegam jeszcze jedną gondolę - powiedział StraŒnik. - Tam, wśród liści!

- To chyba nie jest ta piekielna machina?

- Nie, tamta poleciała na północ, nie ma jej tu... teraz.

Jego ostatnie słowo zabrzmiało nieco złowieszczo.

Podlecieli bliŒej.

Ujrzawszy jakąś postać leŒącą na ziemi przy na wpół ukrytej gondoli, jak się okazało, naleŒącej do Sardora, bardzo się zaniepokoiłi. Rozpoznali StraŒnika, gdy zaś jednocześnie ich wzrok padł na dwie nieznanym postaciom czające się w krzakach, zorientowali się w sytuacji.

Tymi, którzy poruszali się tak niespokojnie, zirytowani, musieli być Talornin i Lenore.

- Nie uda nam się wylądować tak, Œeby nas nic zobaczyli - stwierdził StraŒnik.

Rzeczywiście, co do tego nie było wątpliwości.

- Spójrzcie tam! - zawołała Sol, pokazując palcem. - Tam wysoko, na skalnej półce, czy moŒe raczej płaskowyŒu!

- Co to jest?

- Nie widzicie? Stoi tam jakaś kobieta i macha do nas ręką.

- A nie moŒe nam dać sygnału do lądowania obiema rękami? - uŒmiechnął się Kiro. -

Nie, ja nikogo nie widzę.

- Ja teŒ nie - przyznał StraŒnik.

Kiro, który dobrze znał swoją Sol, zaproponował, by tam polecieć. Dzięki temu znikną teŒ z pola widzenia w tym pofałdowanym, pełnym lasów krajobrazie.

Gdy schodzili juŒ do lądowania, Sol powiedziała z podziwem:

- Ojej! Ona jest wprost baśniowo pięknie ubrana! Ma na sobie strój, przypominający strój ludowy z Europy Wschodniej, tylko po dziesięciokroć wspanialszy. To musi być jakaś królowa!

Kiro, który wciąż niczego nie widział, westchnął leciutko.

- Pilnuj tylko, żebyśmy jej nie skosili.

- Nie, ona się usuwa w bok, możesz tam wylądować! O, tak, świetnie, Kiro!

Kiro zawsze lubił pochwały z ust swojej Sony.

Strażnik się nie odzywał. Doskonale wiedział, że Sol jest obdarzona niezwykłymi zdolnościami, nie miał jednak pojęcia, co o tym wszystkim myśleć.

- No, wychodzimy - oświadczyła Sol.

Z pewnym wahaniem poszli za nią, widzieli, jak kłania się głęboko przed kimś, kogo wcale tam nie było, i jak potem odpowiada z wyraźną czcią i należytym szacunkiem. W

końcu odwróciła się do nich.

- To Libusza i ona naprawdę jest królową. A raczej może była. Mówi, że ten wysoki surowy mężczyzna to musi być Faron - zajął się jej krewniaczką i zrobił to, o co go prosiła.

Za to jest mu wdzięczna i chce nam pomóc, tylko nie bardzo rozumie, co tu się dzieje.

Opowiedziałam jej więc o tych łotrach i czego szukają, o amforze w zielonej gondoli. Oni nie mogą zobaczyć gondoli, bo rzuciła na nią czar, jeśli natomiast my zechcemy, to może nam ją pokazać.

- O, tak, bardzo chętnie - czym prędzej zapewnił Kiro.

Sol ani słowem nie wspomniała, że przez cały czas miała wrażenie, jakby wokół nich wznosiły się wysokie mury i że stoją teraz wewnątrz prastarej, lecz zaiste wspaniałej twierdzy. Nie trzeba za bardzo ich straszyć, jeszcze dostaną ataku klaustrofobii. Kiro jednak zorientował się, że znajdują się w obrębie ruin jakiejś potężnej budowli.

- Dlaczego ona to dla nas robi? - spytał Strażnik.

- Ponieważ jej krewniaczką znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, w dodatku podwójnym. Owszem, Faron pomógł tej młodej dziewczynie, ale teraz wyrosło nowe zagrożenie. Libusza mówi, że tego niebezpiecznego pojemniczka nie wolno otwierać, ma jednak dla nas pewną radę...

Obaj mężczyźni słuchali z zainteresowaniem, uwierzyli już bowiem w istnienie Libuszy.

Uznawszy, że rada rzeczywiście jest dobra, rzucili podziękowania w powietrze. Ze zdumieniem obserwowali, jak ich własna gondola z wolna niknie im sprzed oczu, ukryta dzięki rzuconemu na nią czarowi...

Sol, która potrafiła stać się niewidzialna, gdy tego chciała, i wybitnie uzdolniony technicznie Kiro, wyruszyli do gondoli Gorama, teraz bardzo dobrze widocznej. Na początkowym odcinku towarzyszył im Strażnik imieniem Nim, przydzielony Sol i Kirowi do pomocy, on jednak miał inne zadanie. Najważniejsze było teraz to, by wrogowie nie dostrzegli męszczyzn.

Potem się zaczęli, czekając, aż Sol wejdzie do środka zielonej gondoli. Dobrą chwilę przeszukiwała jej wnętrze, nim wreszcie w zamkniętej szafce odnalazła amforę. Z grymasem wątpliwego szacunku zabrała ją i czym prędzej pospieszyła na skraj płaskowyżu, znów stała się widzialna i zawołała, podnosząc amforę wysoko ponad głową:

- Talornin! I ty, droga Lenore, tłusta modliszko! Czy to tego szukacie?

Para zdrajców zeszywniała na moment, usiłując zrozumieć, co się dzieje.

Arcynieprzyjaciółka Lenore tutaj? I na dodatek z tym, czego tak bardzo pośladali?

Rzucili się w stronę płaskowyżu.

Męszczyźni natychmiast przystąpili do swoich zadań. Nim czym prędzej pobiegł do Sardora, a Faron pomógł mu przenieść nieprzytomnego do gondoli, w której mogli się tymczasem schronić. Na krzyki Lisy domagającej się, by czym prędzej stąd odlecieli, nikt nie zwracał uwagi.

- Chyba z niczyjego widoku bardziej bym się nie ucieszył - westchnął Faron. - Ale co tam się wyprawia?

- Sol twierdzi, że spotkaliśmy jakąś królową, która nazywa się jakoś tak Li... Liba...

Sam już nie wiem.

- Libusza! - uradował się Faron i cały się rozjaśnił. - Słyszysz, Liso, twoja prapraprababka wciąż jest przy tobie.

Lisa kołysała się w tył i w przód.

- Czy nikt nie może dać mi jakiejś działki albo czegośkolwiek? Chcę z powrotem moje ubranie! Tam coś musi być.

Męszczyźni bez słowa zaczęli pomagać Armasowi, który starał się przywrócić Sardorowi życie.

Kiro pobiegł do gondoli Marca, chwilowo zaanektowanej przez Talornina, i sprawnie przeszukał wielką tablicę rozdzielczą, choć jego niespokojne myśli wciąż były przy Sol.

Wiedział jednak, że Sona zwykle doskonale daje sobie radę samodzielnie, byle tylko sądziła zemsty na Lenore nie wzięła góry nad jej rozsądkiem!

Kiro szukał czegoś bardzo szczególnego. I wreszcie to znalazł.

Na podłodze w kącie, tuż obok tablicy rozdzielczej, stała skrzynka w kształcie sześcianu. A więc czuli się do tego stopnia bezkarni, że nawet dobrze jej nie ukryli.

Kiro niecierpliwymi palcami zbadał pudełko, doskonale zdawał sobie sprawę, jak cenna jest każda minuta.

Zerknął jeszcze przez okno, żeby sprawdzić, ile pozostało mu czasu.

Jego wzrok pochwycił jakąś plamkę wysoko w górze.

Z początku uznał ją za muchę przyklejoną do szyby, wkrótce jednak zrozumiał, co to jest: śmiertelna maszyna. Z ogromną prędkością zbliżała się do gór.

Dłonie Kira z wielką wprawą pracowały przy skrzynce, której nigdy wcześniej w życiu nie widział. Był jednak technicznym geniuszem i prędko się zorientował, co jest co.

Uznał, że może zaryzykować. Postarał się upodobnić swój głos do powolnego, przeciągającego nieco samogłoski głosu Talornina, i przekazał wiadomość na pokład samolotu, który ze świstem opuszczał się już w dół.

- Zawracajcie! Zawracajcie czym prędzej! Oni mają pocisk naprowadzany termicznie!

Są już gotowi, by go wystrzelić! Strąć wasz samolot!

Potem znów skupił się na skrzynce, zamknął jedno połączenie, otworzył inne. Na koniec nadał w eter sygnał „mayday”.

Miał nadzieję, że ktoś to usłyszy.

Na pewno jego wezwanie nie dotarło do piekielnej maszyny. Ten system łączności został zablokowany.

I kiedy w odpowiedzi usłyszał znajomy, drogi mu głos, odetchnął. Opuścił gondolę, niosąc skrzynkę pod pachą.

To najgorszy odjazd, jaki kiedykolwiek przeżyłam, skarżyła się w duchu Lisa, przypięta do siedzenia. Wszystko wydaje się takie rzeczywiste, ale to przecież niemożliwe.

Wszędzie dookoła Marsjanie, a teraz jeszcze walczą ze sobą. Mam nadzieję, że pozabijają się nawzajem.

Właściwie to nie wyglądają tak strasznie, jak już człowiek się do nich przyzwyczai.

Zwłaszcza ten młody chłopak, który tak się na mnie wścieka. Niech go wszyscy diabli! Ten wielki, ten surowy, kazał mi teraz mnie pilnować, a on strasznie się rozgniewał. Mam wrażliwość, że ma ochotę mnie kopnąć. Ale chyba zabraknie mu odwagi. Ale chęć miał wielką.

Muszę wydobyć się z tej wizji, to przecież jakieś szaleństwo. Już nigdy nie będę śpać.

Tak mi się wydaje.

Potrzeba mi jeszcze tylko trochę, żeby jakoś doszła do siebie, ale potem już z tym skończę. Jeszcze tylko jeden jedyny raz. Jeśli nic teraz nie dostanę, to zaraz zacznę krzyczeć!

Cholera, naprawdę krzyknęłam i ten Armas zaraz mi zatkał gębę. Ugryzłam go w rękę.

Gdyby tak się nie rozgniewał, to wybuchnęłabym śmiechem. Taką ma ponurą minę!

A to co znowu? Co on gada o zakażeniu krwi, wściekłości i AIDS? O co mu chodzi?

Przecież nawet go nie skaleczyłam!

Teraz to czuję się urażona.

Na Boga! Czy nikt naprawdę nic tu nie ma? Jakaś jedna mała działeczka czegokolwiek, przyjmę z wdzięcznością nawet najzwyklejszą trawę. Tak, mogłabym nawet teraz coś powąchać, wezmę wszystko, co tylko mają. Pustka aż we mnie krzyczy.

- Przeklęte fiuty!

Nie pokazałam jeszcze, co potrafię. Może wyzwać ich jeszcze gorzej? Przecież

umiem...

Kiro wyskoczył z gondoli Marca i próbował nie zauważony przedostać się na wzgórze, na którym jego ukochana Sol narażała się teraz na działanie usypiającego środka nieprzyjaciół. Skrzynkę ukrył po drodze, zbyt ciężko było ją nieść.

Nie istniał nawet cień podobieństwa między pistoletami używanymi przez wroga a tymi, którymi posługiwali się Poszukiwacze Przygód, by na pewien czas usypiać zwierzęta albo ludzi, chcąc

pomóc bądź teŜ ochronić się przed atakiem. Ich naboje nie były śmiertelne.

Te natomiast, których uŜywał Talornin i jego kompania, przygotowane były specjalnie do tego, by zabić. Zawierały o wiele większą dawkę znacznie silniejszej trucizny. W

najlepszym razie moŜna się było po zranieniu cięŜko rozchorować, w najgorszym zaś...

Kiro przyspieszył kroku. Wprawdzie Sol rzeczywiście obdarzona była niezwykle zdolnościami, potrafiła jednak takŜe wykazać się naprawdę wielką nieostroŜnością. Niekiedy bywała wręcz niemądra w swoim zuchwalstwie. Świadomie naraŜała się na śmiertelne niebezpieczeństwo tylko po to, by wypróbować swą magiczną moc.

Akurat tego Kiro nie cierpiał.

Jeśli jednak prawdą było to, co Sol mówiła, to miała za sojuszniczkę inną potężną czarownicę: Libuszę.

- Jak się czuje Sardor? - spytał StraŜnik Nim, przydzielony do pomocy Kirowi i Sol.

Faron odpowiedział:

- Madragowie przeprowadzili analizę trucizny, której uŜywają nasi przeciwnicy. To gaz o bezwładniający, o którego mocy sami mogą decydować. Ale nasi przyjaciele Madragowie wynaleźli antidotum, najgorsze tylko, Ő ono znajduje się w mojej gondoli. To znaczy w gondoli Gorama.

Ta informacja niemal sparaliŜowała ich wolę działania, ale stali bez ruchu zaledwie przez kilka sekund. Nagle z kieszonki na piersiach Farona dobiegły jakieś zgrzyty i trzaski.

Jego dotychczas milczący aparat telefoniczny wydał z siebie nieprzyjemny zachrypnięty dźwięk, który jednak zabrzmiał jak najpiękniejsza melodia.

Faron odebrał.

Spokojny głos Kira był niczym balsam na ich rany.

- Znow włączyłem naszą częstotliwość i przerwałem łączność tamtych.

- Kiro - uśmiechnął się Faron. - Doprawdy, jesteś aniołem!

- Na razie jeszcze nie, ale moŜliwe, Ő się nim stanę.

Nagle Lisa zawołała, jękając się:

- Ja... jakiś dziwny samolot nadlatuje w naszą stronę! Jest was jeszcze więcej?

Popatrzyli na niebo z przeraŜeniem.

- Ach, nie! - jęknął Faron. - To śmierć we własnej osobie zmierza prosto na nas!

- Czy to się nigdy nie skończy? - pisnęła Lisa.

- No właśnie - westchnął Faron.

- Zawracają! - zawołał Armas zdumiony. - Cofają się, jakby się o coś sparzyli!

- Świetnie - usłyszeli głos Kira. - A więc jednak udało mi się ich oszukać.

Naśladowałem głos Talornina - wyjaśnił.

- Teraz jesteś już archaniołem, nie tylko aniołem - stwierdził Faron. - Co najmniej.

- Dziękuję. Wysłałem też sygnał „mayday”. Usłyszeli go Ram i Indra i kierują się już tutaj.

- Masz zamiar awansować na boga? Aż tylu punktów nie jestem w stanie ci przyznać, zatrzymam się na archaniele!

Faron nie krył radości. Po wszystkich doznanym klęskach przyjemnie było móc się szczerze uśmiechnąć.

Ale Kiro miał im do powiedzenia jeszcze więcej:

- Indra oświadczyła, że z największą przyjemnością utrzyma nosa Lenore.

- O, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Ale gdzie ty jesteś?

- Ja? Płaczę się po krzakach, żeby dotrzeć do Sol. Grozi jej niebezpieczeństwo ze strony Talornina i Lenore.

- Sol da sobie radę - zdecydował Faron. - Czy widzisz zieloną gondolę?

- Tak, jestem w pobliżu.

- Doskonale, czy jesteś w stanie do niej wejść?

- Owszem, jeśli tylko Sol nie użyła do zamknięcia czarodziejskich runów.

Faron poprosił, by Kiro odnalazł antidotum na truciznę, wyjaśnił, gdzie go szukać i dlaczego konieczny jest aż tak wielki pośpiech.

Kiro natychmiast zawrócił do zielonej gondoli, którą minął już jakiś czas temu.

Antidotum i strzykawkę nietrudno było znaleźć, a ponieważ para zdrajców, Talornin i Lenore, kierowali się ku płaskowyżowi, morderczy samolot zaś pofrunął w inne rejony nieba, drogę do

gondoli Sardora miał wolną.

Wszyscy na jej pokładzie powitali go z radością, wszyscy oprócz Lisy. Gdy jednak dziewczyna dostrzegła strzykawkę, którą Kiro wręczył Faronowi, ogarnęło ją zupełne szaleństwo i głośno zaczęła domagać się zastrzyku.

Faron popatrzył na nią i powiedział:

- Jeśli wydaje ci się, że po tym zastrzyku osiągniesz błogostan, to się mylisz.

Ponieważ nie potrzebujesz tego rodzaju antidotum, twój organizm może zareagować w naprawdę bardzo nieprzyjemny sposób.

W czasie gdy to mówił, zrobił zastrzyk Sardorowi. Z nadzieją patrzyli teraz na działanie leku.

Gdy tylko Sardor zaczął wracać do Sycia, Kiro poprosił, by pozwolono mu odejść.

Chciał się do niego przyłączyć Armas, lecz sprzeciwił się temu Faron.

- Nie możesz przecie tak odejść i zostawić tej dziewczyny - oświadczył surowo. -

Jesteś za nią odpowiedzialny.

Armas w środku aż się zagotował.

- Dlaczego właśnie ja....?

Urwał, widząc uniesioną w górę rękę Farona. Znaczenie tego gestu było aż nadto jasne. Armas pojął, co należało do jego obowiązków, i poddał się.

Berengario, najdroższa, wytrzymaj! Przybędę ci na ratunek, wiem, że na mnie czekasz. Ta narkomanka nic dla mnie nie znaczy, ciągnę mi jak młyński kamień u szyi, ale przecie nie mogę się sprzeciwić Faronowi, sama wiesz, jaki on jest. Potrafi być tak okropnie surowy, ty pewnie też się go boisz, przecie nie był dla ciebie miły. Nie pozwolił ci wyruszyć na wyprawę w Góry Czarne i nie chciał się z tobą tak naprawdę poświęcić, gdy wyruszałaś tutaj. Uważam, że zachował się wobec ciebie naprawdę nieładnie. Kiedyś mi za to zapłaci, jak już cię uratuję. A teraz, moja kochana, wytrzymaj, niedługo przybędę ci z pomocą!

W tym momencie Lisa kolejny raz podjęła próbę ucieczki, znów więc musiał ją przytrzymywać i znosić nieprzyzwoite obelgi.

Jakże to niegodne bohatera Berengarii!

Talornin zatrzymał się w połowie drogi i rozejrzał dokoła. Pokaleczony o ciernie, zlany potem i bardzo zły, nie dostrzegając piękna lasu, w którym się znajdował. Ale cel, cel, o który tak długo walczył, znalazł się już w zasięgu jego wzroku. Potrójna władza nad światem.

Byle tylko amfora wpadła wreszcie w ich ręce! Choć tak naprawdę wcale jej nie potrzebowali, chcieli jednak, aby ich zwycięstwo było pewne. Amfora była magiczna.

- Gdzie, u diabła, podziali się nasi przyjaciele? - mruknął pod nosem. - Na niebie nic nie widzę, a przecież nie wylądowali.

Lenore usłyszała jego burczenie i tak się zatrzymała. Znajdowali się teraz w gęstym lesie i mieli widok jedynie na obrosnięte bluszczem pnie i zimozioły. Mogli też patrzeć w górę, na niebo.

- Wezwij ich - doradziła z kwaśną miną, spocona od mozolnej wspinaczki.

Talornin zrobił tak, jak powiedziała. Włączył alarm. Nikt jednak nie odpowiedział, aparat milczał jak grób.

- Spróbuj połączyć się z naszą bazą.

Spróbował, lecz zaraz stwierdził:

- Tam też nic nie słychać. Co to ma znaczyć? Spróbuję połączyć się z wrogiem, z moim przeklętym następcą, tym niedołągą Faronem. My przecież możemy się z nimi kontaktować, chociaż zamknąłem wszystkie ich połączenia.

- Tak, podraśnij się z nim trochę! - oświadczyła się Lenore.

Podjął kolejną próbę.

Popatrzyli na siebie. Talornin, wyraźnie zirytowany, potrząsnął swoim małym aparacikiem.

- Głuchy - rzekł po chwili. - Nie pojmuję tego. Ani trochę mi się to nie podoba.

- Najgorsze chyba, że samolot zniknął. Dlaczego? Przecież go tu wezwałeś!

Talornin nie potrafił na to odpowiedzieć. Znow zaczęli iść.

- To naprawdę niepojęte i tak strasznie irytujące, że Sol, ta czarownica, znow jest tutaj

- wykrzyknęła oburzona Lenore. - Ona zawsze próbuje narobić kłopotów. Oczywiście nigdy jej się to nie udaje, ale teraz już ją mamy, raz na zawsze, prawda?

Talornin pamiętał, jak to w czasach, gdy mieszkał jeszcze w Królestwie Światła, Sol stanęła po jego stronie i ujawniła niegodziwość Lenore. Na to wspomnienie coś aż ścisnęło go w brzuchu.

- Kiedyś my w końcu wejdziemy na tę górę? - sapnął zniecierpliwiony.

W gondoli Faron bardzo się martwił. Wprawdzie Sardor wyzdrowiał i stanął na nogi, mieli też pewną przewagę nad wrogiem, tak przynajmniej sądzili, lecz jak długo to potrwa?

Czy Sol naprawdę da sobie radę? Sama przeciwko usypiającym czy też wręcz śmiertelnościami nabojom?

Gdyby tylko mogli wezwać Marca albo Dolga, a najlepiej obydwu, to z całą pewnością byliby ocaleni.

Ale tego zrobić przecież nie mogli.

Sardor i Nim postanowili opuścić gondolę i ruszyć na pomoc Kirowi.

Faron jednak się wahał.

- Nie możemy was stracić - powiedział. - Ja sam chętnie bym pomógł, lecz w tej chwili możemy stawiać jedynie na Sol. Tylko ona może podjąć z nimi walkę.

- To takie dziwne uczucie, zostawić kobietę samą na placu boju - zauważył Nim.

- Sol to nie byle kto - wtrącił się Armas. - Jest też przy niej Kiro. Ale ja także chciałbym stąd wyjść.

Faron podjął decyzję.

- O ile się za bardzo nie mylę, jest tam również Libusza, ale jej na pewno nic nie grozi, była przecież w szóstym wieku, nie mogą wyrządzić jej krzywdy. Sol natomiast jest wrażliwa, przecież Marco uczynił z niej żywego człowieka, tyle że o pewnych zdolnościach właściwych duchowi. Największe niebezpieczeństwo grozi Kirowi. Chodźcie, idziemy wszyscy, pomożemy im!

Armas, zadowolony, natychmiast się poderwał, ale Faron zaraz go usadził.

- Nie, ty nie! Zostaniesz tutaj przypilnować tego żywego trupa. Przyrzekłem to jej prapraprababce.

- Nie jestem wcale żywym trupem! - zawyła Lisa.

- To się przejrzyj!

O, nie, Lisa dość się już napatrzyła na swoje odbicie w lustrze w tym bezlitosnym okresie narkotykowego głodu, napadów lęku i oblewającego ją potu. Wystarczyło, że popatrzyła na swoje ręce, by wiedzieć, jak wygląda. Zdawała sobie sprawę, że twarz ma szarobłądą, pod oczami rysują się głębokie cienie, że cała jest wychudzona i roztrzęsiona. W

pełni uświadamiała sobie teraz, że jest ciężko uzależnioną narkomanką, a okresy głodu następują po sobie coraz częściej i że właściwie nie ma wyjścia z tej sytuacji.

Właśnie tych momentów świadomości tak strasznie nienawidziła.

Jak cudownie byłoby teraz wziąć jakąś działkę! Połknąć tabletki, zrobić zastrzyk albo wciągnąć przez nos porcję kokainy. Wszystko jedno, co. Dalej nie trzeba byłoby już o niczym myśleć.

Na płaskowyżu stały teraz Sol i Libusza, obie niewidzialne.

Libusza wyraziła właśnie swój szacunek dla młodszej czarownicy. Wymieniły się te

doświadczeniami w swoim fachu. Patrzyły teraz na tych, którzy wspinali się z mozołem, zmierzając w ich stronę. Sol z ogromną ulgą stwierdziła, że Kiro spotka się z łotrami nie wcześniej niż dopiero na górze, lecz wtedy ona już będzie przy nim.

Cieszyła się z jego przyjścia. Jemu naprawdę na niej zależy!

Serce Sol wypełniła czułość i wdzięczność. Naprawdę dane jej było poznać, co to znaczy kochać i być kochanym.

Libusza przerwała jej rozmyślenia.

- Rozumiem, że najchętniej sama byś się z nią rozprawiła?

- Owszem, taki miałam zamiar - oświadczyła Sol, z ogniem w oczach.

- Pozwól więc, że bym ja się zajęła mężczyzną - poprosiła Libusza.

- O, z całego serca.

- Najpierw więc dopadniemy jego i ty musisz mi w tym pomóc.

- Z wielką radością.

- Zatrzymam tę piękną kobietę poza fundamentami, które tutaj widzisz...

Przecież ja widzę cały zamek, pomyślała Sol, lecz Libusza naturalnie o tym nie wiedziała. Obiecała, że zatrzyma Lenore na pewien czas, nie dotykając jej, nie zdradzając tajemnicy zamku ani obecności w nim obu czarownic. Na pewno dadzą sobie radę.

- Masz jakiś plan? - spytała Sol.

- Oczywiście. To, co opowiedziałaś o tej prastarej amforze, jest bardzo interesujące.

Ty musisz zacząć, ja zaraz przejmę twoje dzieło i będziesz mogła skoncentrować się na tej kobiecie. Posłuchaj, jaki mam plan...

Armas nie krył wściekłości. Gorszego upokorzenia nie można już chyba zaznać. Trzej starsi mężczyźni, Faron, Sardor i Nim, właśnie wyszli, a jego zostawili jako niańkę do dziecka!

Mrużąc ze złości oczy popatrzył na ten roztrzęsiony kłębek nerwów. Okej, dziewczyna była teraz czysta i ładna, ale to w niczym nie pomogło. Armas nigdy wcześniej nie miał

kontakty z takim narkomanem i całym sobą brzydził się Lisą.

Na stosunek do nieszczęsnej dziewczyny miało wpływ jego nie do końca właściwe wychowanie - w tej godnej postawienia istocie w ogóle nie dostrzegał człowieka. Komuś takiemu nigdy by nie pozwolono przestąpić wrót Królestwa Światła.

Ale czy ta część świata nie została jeszcze spryskana eliksirem Madragów?

Gdy się nad tym zastanowił, uznał, że nie widać takich wskazujących na to śladów.

Owszem, ta górską, pełną lasów okolica i tak była piękna, lecz brakowało jej jakby ostatecznego wykończenia.

Kto był odpowiedzialny za tę część Europy? starał się sobie przypomnieć z kwaśną miną.

Ale, tak, to właśnie Ram i Indra, którzy teraz do nich zmierzali. Nic więc dziwnego, że znaleźli się w pobliżu.

Czuł, że winien im jest przeprosiny, ale ostatnio nie mógł jakoś się uspokoić.

Wszystko przez tę przeklętą dziewczuchę!

A może ten stan trwał już od dawna?

Nie, nie miał siły w tej chwili na gruntowny rachunek sumienia.

Dziewczyna cała się trzęsła, blada jak trup. Nagle Armas bardzo się zdziwił. Jej oczy podejrzanie błyszczały.

- Nie uśmiej się tak nad sobą! - wrzasnęła. - Sama jesteś wszystkiemu winna i tylko sobie możesz dziękować!

- Doskonale o tym wiem, do diabła! - odwrzasnęła. - Myślisz, że nie śmieję? Ale to wcale nie jest takie proste, jeśli tak ci się wydaje!

- Przecież wystarczyło zwyczajnie nie zaczynać - stwierdził wyniośle.

- Ach, ty durniu! Będiesz mnie teraz wychowywać? Ty niczego nie rozumiesz, idioto! Gównu mnie to obchodzi, wszystko mnie gówno obchodzi!

Wybuchnęła płaczem, ciałem wstrząsały konwulsyjne drgawki.

Jakieś niejasne przeczucie podpowiedziało Armasowi, że eliksir nie na wszystko mógł pomóc. Lisa wprawdzie nie miała okazji jeszcze się z nim zetknąć, lecz nie tylko zło tkwiące w ludzkich umysłach było źródłem ich udręki.

Armas był wzburzony i zdezorientowany. Myślał powrócić do tamtego dnia w Górach Czarnych, gdy siedział, trzymając w ramionach zapłakaną Kari. Kari, jego pierwsza miłość.

Jakże szybko ją utracił!

Powoli i z niechęcią, jak pies, który, choć przywoływany, nie chce podejść do pana, zbliżył się do Lisy i usiadł przy niej.

- Idź do diabła! - burknęła dziewczyna grubym od łez głosem. Ale nie wyrwała się, gdy ją objął i przytulił. Nie opuszczało go przy tym uczucie, że zdradza Berengarię.

Nie był jednak przygotowany na tę prawdziwą powódź łez, które teraz popłynęły. To było tak, jakby przypadkiem otworzył jakąś tamę.

Czy kobiety nie znają ścisłych granic? pomyślał. Jeszcze nie tak dawno temu zaskoczyła go gwałtowność Lenore, choć zupełnie innego rodzaju, ale do tego nie chciał

wracać nawet myślą.

Lisa jakby nie zwracała uwagi na jego obecność. Traktowała go jak poduszkę, w której mogła schować twarz. Od czasu do czasu do uszu Armasa docierały tylko na wpół

niezrozumiałe słowa: „Ja nie jestem taka, chcę umrzeć. Nigdy nie miałam szansy”.

Armas zdusił w sobie chęć przypomnienia jej, że przecież mogło w ogóle nie być tego pierwszego razu, kiedy zażyła narkotyk. Zaczynał się domyślać, że chyba nie jest w stanie pojąć, jakie mechanizmy kierują człowiekiem uzależnionym od narkotyków.

Cała jego koszula Strażnika była teraz mokra od łez. Miał ochotę nakazać dziewczynie, żeby natychmiast przestała płakać, lecz ogarnęło go też współczucie.

Współczucie, które musiał w sobie zwalczać przez całe dzieciństwo, ojciec bowiem ściskał go, by wyrósł na twardego, wzorowego Strażnika.

W pamięci pojawiły się obrazki z pierwszych lat życia. Ojcowskie kary. Jego własny, stłumiony szloch, gdy płakał w poduszkę. I... niosąca pociechę dłoń matki. Matki? Armas kochał Fionellę, lecz czy nie uważał jej za słabą, bezradną istotę?

Teraz z kolei Armasowi zaszklili się oczy. Przypomniawszy sobie, jak to siedział na łóżku i tulił się do

matki, jak ona szeptała mu słowa pocieszenia, jak bardzo zasmucony miała głos i jak bardzo czuł się przy niej bezpieczny.

Potem zhardział. Słuchał ojca i potrafił przyjąć gniewne słowa, kiedy źle się spisał.

Matka przesunęła się na dalszy plan, gdzie zresztą zawsze było jej miejsce. Nieustannie jednak pozostała troskliwa, i w stosunku do męża, i do syna.

Jak mógł o tym zapomnieć? Jak mógł stać się taki zimny?

Kari obudziła w nim uspione ciepło. Teraz znów się to powtórzyło, choć tym razem uczyniła to osoba ani trochę go niegodna.

Nie zdając sobie właściwie sprawy z tego, co robi, zaczął gładzić Lisę po świeżo umytych włosach.

Faron wraz z dwoma Strażnikami, Sardorem i Nimem, szli kawałek pod górę ścieżką ku płaskowyżowi. W pewnej chwili przystanęli.

- Co się, na miłość boską, dzieje tam wysoko? - spytał zdumiony Nim.

Sardor zadarł głowę i zaraz zawołał:

- Kryć się!

Wszyscy trzej potoczyli się pod świerki, by ukryć się przed śmiercionośną latającą machiną.

Kiro, który znajdował się wyżej, równie ją dostrzegł i też się schował.

Sol, pomyślał.

Ale Sol na płaskowyżu już nie było...

Talornin i Lenore zdołali wdrapać się na samą górę na chwilę przed tym, jak na horyzoncie pojawił się groźny samolot. Nie mieli pojęcia o irytacji pilotów, którzy postanowili wreszcie się dowiedzieć, dlaczego tak nagle ich odesłano. śadnej rakiety, naprowadzającej się na źródło ciepła, przecie nie widzieli.

Gdy Talornin z Lenore dotarli na górę, niebo było jeszcze spokojne i puste.

Stanęli jak wryci. Na chwilę ze zdziwienia odebrało im mowę.

- Zamczysko? - powiedziała Lenore z niedowierzaniem. - Tu? Na takim pustkowiu?

- Raczej twierdza - mruknął Talornin. - W dodatku potwornie stara.

- Średniowieczna?

- Jeszcze starsza, z epoki wędrówki ludów. I to wcale nie jest śadne pustkowie, to pogranicze.

Twierdzą wzniesiono zapewne dla obrony przed najazdami Saksów albo te

przed innymi plemionami, które mijaly te obszary. Markomanowie, Wandalowie, Burgundowie, czy wiesz zresztą, że oni pochodzili z Bornholmu, Borgundarholm? Byli tu także Frankowie, Hunowie, Goci. W tej krainie, Czechach, dawnej Bohemii, panował kiedyś wielki ruch.

Lenore nie była tym ani trochę zainteresowana. Miała ochotę się kochać. Może w tej twierdzy?

Talornin ciągnął:

- Ale ta twierdza jest doskonale zachowana, to niewiarygodne! Można by przypuszczać, że wciąż mieszkają w niej ludzie.

- Tak przecie jest! Spójrz, tam przy blankach stoi jakaś kobieta.

Talornin zacisnął szczęki i teraz jego głos przypominał raczej syk.

- Nie widzisz, kto to taki? To ta przeklęta wiedźma z rodu Ludzi Lodu!

- Sol? No to ją mamy! Ale się na niej zemszczę! Strzelaj!

Sol zniknęła za murem, lecz zaraz znów się pojawiła, trzymając w ręku amforę.

Talornin nie ośmielił się strzelić.

- Ona ją ma! Ona ją ma muszę ją odebrać!

Nie myśląc o niczym innym, pognął w stronę olbrzymich rzeźbionych dębowych wrót, prowadzących do środka twierdzy.

Lenore, która pospiesznie dreptała za nim, potknęła się o coś niewidzialnego, jakby o czyjąś nogę, specjalnie jej podstawiana i zjechała na brzuchu po nierównym, usłanym kamieniami podłożu. Był to bardzo nieelegancki i ogromnie bolesny sposób poruszania się.

Gdy wreszcie znów się podniosła i stanęła na nogi, pocierana zakrwawiona i rozwścieczona, wrota zatrzasnęły jej się tuż przed nosem z takim hukiem, że echo odbiło się od kamiennych murów.

- Ona jest moja! - wrzasnęła. - Amfora w równym stopniu należy do mnie!

Zaczęła szarpać za ciężką klamkę, lecz wrota ani drgnęły.

Zaślepiona wściekłością syknęła przez zęby:

- Przeklęta Sol! Jeszcze cię dopadnę! Dorwę cię i odbiorę ci moją amforę!

Libusza uśmiechnęła się pod nosem. Widać nie zapomniała swoich sztuczek. A Sol absolutnie mogła się z nią równać, jeśli chodziło o czarnoksiężskie umiejętności, słuchające dobru.

Wkrótce jednak młoda czarownica będzie mogła odpocząć. Teraz kolej na Libuszę.

JuŜ za chwilę...

Talornin zatrzymał się przed trofeami myśliwskimi na ścianach. Powoli z mroku wyłaniały się wilcze i niedźwiedzie skóry, łby zwierząt. Wewnątrz twierdzy panował

niesamowity nastrój, Talornin nie pojmował, co tu się dzieje. Czuł się niepewny.

Czerwonozłote sztandary, symbole plemienne, surowe w swym pogaństwie, zdobiły ściany.

Było tam teŜ palenisko i proste, lecz zapewne cenne lawy i stoły.

Pięknie, pomyślał Talornin roztargniony. To isticie królewska twierdza!

Nie miał jednak czasu, by ją podziwiać. Błysnęła mu sukienka Sol, znikającej w jakimś łukowato sklepionym korytarzu. Rzucił się w tamtą stronę, okrąŜył róg, zobaczył

dwoje drzwi, wybrał jedne i, pokonawszy schody na górę, znalazł się na szczycie twierdzy, wśród blanków.

Sol nigdzie nie było widać. Znajdował się teraz w tylnej części twierdzy, skąd roztaczał się widok na długą, piękną dolinę, na której dnie rozłoŜyły się wioski. Las wyrósł tu wysoki i Talornin zrozumiał, Őe niegdyś widok stąd musiał być jeszcze wspanialszy.

Zaczął krąŜyc po piętrze, zajrzał do sypialni i kilku małych alkow, w końcu z powrotem zszedł na dół.

Drugie drzwi. To w tych Sol musiała zniknąć. Pistolet trzymał w pogotowiu, teraz jednak nie myślał o usypianiu Sol. To zbyt niebezpieczna osoba. Przeklęta czarownica musi zginąć, jeśli miał uzyskać pewność, Őe dostanie amforę.

O Lenore całkiem zapomniał. Owszem, wcześniej słyszał łomotanie do drzwi, lecz teraz dookoła panowała martwa cisza.

Cisza jak w prastarym grobie?

CóŜ za straszna myśl! Usiłował się z niej otrząsnąć, lecz coś tu było nie tak. Wyraźnie czuł zimny powiew na karku. Naprawdę takie tu przeciągi? Nie powinno ich przecieŜ tu być, a miał wręcz wrażenie, Őe otacza go jakaś otwarta przestrzeń.

Co za nonsens!

Zdecydowanie pchnął drzwi.

Za nimi panowała nieprzebyta ciemność. Talornin zapalił kieszonkową latarkę.

Nie miał pojęcia, Őe Sol nie ma juŜ w twierdzy. Teraz pałeczkę przejęła Libusza, a ona jak nikt inny potrafiła omroczyć wzrok.

Za Śycia była prawdziwym skarbem dla swego kraju, na swoim koncie miała wyłącznie tylko dobre uczynki i trudno było nazwać ją inaczej, aniżeli osobą o dobrym sercu.

Teraz jednak przyszło jej walczyć z łotrami. A w takiej sytuacji wolno sobie chyba pozwolić na trochę czarnej magii? Tylko tyle, ile jest konieczne. Nigdy przedtem nie uciekała się do zaklęć, które przecieŜ tak dobrze znała.

Właściwie więc cała ta sytuacja trochę ją cieszyła. Sol i w niej zdołała rozpałiĆ iskierkę. I jak przyjemnie było czuć, Őe są razem, we dwie!

No i jeszcze ta jej następczyni, nieszczęsna Lisa. Libusza miała wobec niej wielkie plany, tymczasem dziewczyna strasznie ją zawiodła. PrzecieŜ tak nie moŜe być!

Libusza wiedziała, Őe ona i Sol nie są w swej walce osamotnione. Sol miała wielu po swojej stronie, tych niezwykłych, tak potężnych i wysokich męŐczyzn, o bardzo czarnych oczach.

AleŜ będzie zabawa!

Talornin tymczasem przeszukiwał w twierdzy labirynty korytarzy. Cóż za kolosalna budowla! Z zewnątrz wcale na taką nie wyglądała. Wszedł do tkalni, a stamtąd kolejnym korytarzem zagłębił się w rejony kuchni. Och, piwnica! Nie, tam jest zbyt strasznie! Cofnął

się.

Nie przerywał jednak poszukiwań. Znów znalazł się w hallu, pełnym sztandarów i zwierzęcych głów, natknął się na inne drzwi i wszedł do zbrojowni. Ale czy przypadkiem nie był tu juŜ wcześniej?

Gdzie on teraz jest?

Kompletnie zatracił zmysł orientacji. MoŜe powinien wezwać na pomoc Lenore? A tak w ogóle, to gdzie ona się podziała? Dlaczego nie poszła za nim?

Nie, nie będzie jej wołał. Po pierwsze, chciał zostać wyłącznym właścicielem amfory, a po drugie, we wzroku Lenore znów pojawił się ten nie do pomylenia z Őadnym innym wyraz, świadczący o tym, Őe ona pragnie połoŜyć się z nim byle gdzie. Na podłodze, na ziemi czy na łóŜku. Nie miał na to najmniejszej ochoty akurat teraz, w tym przełomowym momencie, gdy niebawem stanie się władcą całego świata. Woda z tajemniczych grot zapewni mu bogactwa, jakich potrzebował, by rządzić. Podstuchił rozmowę tej pary idiotów, Gorama i Lilji, tak chyba się nazywali, koło bazy na Grenlandii. Usłyszał wtedy całą historię i teraz wie, Őe dzięki wodzie w amforze mogą spełnić się wszystkie marzenia pijącego.

Owszem, wspominali o jakichś potworach, które utkwily w grotach, lecz przecieŜ z nim jest inaczej, stał teraz u stóp tronu, z którego mógłby panować nad całym światem. Nic nie zdoła go juŜ powstrzymać.

Gdy tylko będzie miał amforę w swoich rękach, wprowadzi w Őycie pozostałe plany.

Zgniecie Faroną i wszystkich tych skupionych wokół niego głupców, potem droga już będzie wolna. Miał przecieś i jeńców, i wirusa. To nic trudnego.

Ale, ale... znów schody do piwnicy? Czyśby chodził dokoła albo...

Nie, nie chciał tam schodzić.

Pobiegł dalej, teraz już rozgorączkowany, zdenerwowany. Wszystko jest tak do siebie podobne, jakby się kręcił w koło, w koło, w koło.

Lenore stała przed bramą. Talornin! Wpuść mnie, do stu piorunów, powtarzała w myślach, szarpiąc za kołatkę tak, że aż się echo niosło. Chcę ciebie, nie miałam okazji od czasu...

Odkąd właściwie?

Czy w pobliżu nie ma śadnego mężczyzny?

Wydawało jej się, że gdzieś z lasu dobiegają męskie głosy, ale ucichły. Gdzie? Gdzie oni mogą być?

Spomiędzy przymkniętych warg Lenore wydobył się cichy jęk. Ach, gdyby tak znalazł

się teraz mężczyzna, który mógłby ją zaspokoić!

Wsunęła rękę za pasek spodni. Ileś to razy musiała to robić potajemnie w ratuszu w Królestwie Światła, w zupełnej skrytości, gdy myślała o Ramie, wyobrażając sobie, że to jego ręka tak się wdziera pod ubranie. że pośadał jej do szaleństwa, nie mógł się oprzeć jej urodzie.

Ach, jakże się teraz rozpalila!

Miała wielu mężczyzn, będąc... tak, będąc jeszcze dzieckiem. Wszyscy ją podziwiali, pławiła się w ich uwielbieniu, widziała w ich oczach swe piękne odbicie. Ludzcy mężczyźni, ach, jacyś marni z nich kochankowie! Za to Lemuryjczycy, wspaniali! I pół - - Obcy! Na samą myśl ogarnęła ją jeszcze większa śada.

Hannagar, ten był najlepszy, pośadał jej dniem i nocą, nie mógł się nią nasycić.

Szkoda, że tak marnie skończył!

Ale prawdziwego Obcego nigdy nie miała. Faron jest podobno taki przystojny i natura na pewno szczerze go obdarzyła. Ach, nie wytrzyma dłużej!

Lenore przemknęła się za występ w murze i zajęła sama sobą. Jestem taka piękna, taka piękna, powtarzała szeptem. Mężczyźni mnie uwielbiają, ach, jak bardzo! Szaleją z pośadania, jestem najbardziej pośadaną kobietą na świecie.

Prędko osiągnęła rozkosz, musiała oprzeć się o mur i powtórzyć wszystko raz jeszcze.

Ram, dlaczego nigdy nie dostała Rama? Och, zabije tę Indrę, która jej go odebrała.

Indra nic a nic go nie obchodzi, on przecieŜ tęskni tylko za nią, za Lenore. Za kobietą idealną.

Wysoko po niebie przemknął przypominający latający spodek samolot. Piloci? Ech, tyle razy ich juŜ miała, nie są jej warci, lecz fizycznie mieli się czym poszczycić. I oczywiście tak bardzo ją kochali. Rywalizowali między sobą i czasami nawet o nią walczyli. Ach, jak wspaniale!

Pozwoliła sobie na jeszcze jedno spełnienie, potem jednak stwierdziła, Őe to musi jej wystarczyć, nie miała juŜ więcej czasu. Ale dobrze, Őe śmiercionośna maszyna nareszcie się zjawiła. MoŜe dzięki temu sprawy potoczą się szybciej?

Była gotowa na wszystko.

Amfora?

Poszukujący wzrok Talornina nigdzie nie mógł jej wysledzić. Czarownica Sol gdzieś przepadła, a on krąŜył po labiryncie niezliczonych identycznych korytarzy i sal.

Ach, nie, znów jest przy wejściu do piwnicy! I znów przy tym samym. CzyŜby ono było wszędzie?

Nie zdołał stwierdzić, w jaki sposób zbudowano to zameczysko. To musiał być jakiś osobliwy plan. Z zewnątrz budowla miała umiarkowane rozmiary, wewnątrz zaś okazała się przeogromna. I tak tu zimno i wietrznie. Jak gdyby potężne mocne mury były tak naprawdę z cienkiego woalu.

Zatrzymał się przy mrocznych schodach. Na dole zauwaŜył światełko, zielonkawy, jakby fosforyzujący blask.

Mroczny, ale kuszący.

Mógł przynajmniej zajrzeć na dół, przecieŜ to nic nie kosztuje.

Kamienne schody były śliskie, musiał się oprzeć o ściany. One takŜe są bardzo gładkie, trzeba się ostroŜnie poruszać.

Zgubił latarkę, potoczyła się gdzieś i zgasła.

To nic nie szkodzi, przecieŜ widział teraz światło. Zielone połyskujące światełko.

Był juŜ na dole, poruszał się z wyciągniętymi rękami. OkraŜył jakiś róg i stanął przed otworem drzwiowym bez drzwi.

Tam!

Z wraŜenia aŜ się zatrząsł. To amfora tak jaśniej!

Przez głowę przemknęło mu pytanie: gdzie teŜ moŜe być teraz Sol, lecz prędko je od siebie odgonił.

To w tej chwili zupełnie nieistotne.

Ach, tak, sądziła więc, że zdoła ukryć przed nim amforę? Przecież naczynie należy do niego, to oczywiste. Czy nie oświetliło mu drogi?

Znow rozległo się walenie do wrót twierdzy. Czyżby Lenore? O, nie, chcę mieć amforę tylko dla siebie.

Przez głowę przeleciała mu dziwna myśl. Podczas gdy niezliczenie wiele razy okrążył wewnątrz twierdzy, nigdzie nie natknął się na łatwe drzwi, które prowadziłyby do wyjścia.

Jakby te, przez które wszedł, zupełnie gdzieś zniknęły...

To nic nie szkodzi. Zachowywał się teraz jak podniecony alkoholem, czuł, że jest w stanie osiągnąć wszystko.

Jego dłonie zacisnęły się na amforze.

Libusza i Sol dostrzegły myśliwiec i wyczuły bijące od niego zło.

Zastanowiły się. Gondola Sol stojąca na płaskowyżu pozostawała niewidzialna, podobnie ta zielona, lecz była to gondola Marca, którą przylecieli tu Talornin i Lenore. I pojazd Sardora z Lisą i Armasem.

Libusza szepnęła coś, wyciągając ręce w stronę obydwu widzialnych gondoli. Ich kontury zaczęły się rozmywać, a wreszcie oba pojazdy zniknęły.

- Cudownie! - rzekła Sol z podziwem. - Czy teraz będę mogła zająć się Lenore?

- Spokojnie, twój czas jeszcze nadejdzie. Przyjrzyjmy się teraz, jak się to wszystko potoczy.

- Ale nie, trafiliśmy w niewłaściwe miejsce! - stwierdził jeden z pilotów w śmiercionośnej maszynie. - Przypominasz sobie, żeby tu był jakiś zamek?

- Nie. I gdzie się podziały gondole?

- Widzę tylko jakąś kobietę, która stoi u wrót zamczyska i histerycznie do nas macha.

- Nie wydaje ci się, że ona jest podobna do Lenore?

- Za diabła nie zostałamby sama na takim pustkowiu. Zresztą nawet gdyby, nie mam ochoty zabierać do samolotu tej cholernej dziwki. Przecież ona potrafi wyssać z człowieka wszystkie siły. Odlatujemy! Musimy szukać gdzie indziej. Wszystkie te góry są takie podobne!

Amfora jakby wibrowała w dłoniach Talornina. Miał wrażenie, że drżenie przenika przez całe jego ręce do ramion i dociera aż do mózgu.

Lenore waliła w drzwi. Wołała coś o pilotach. A więc wrócili. Dobrze, łatwo się więc stąd wydostaną.

Lenore wyraźnie zaczynała się niecierpliwić, trzeba się spieszyć, przecież postanowił sam wypić zawartość amfory. Pieszczotliwie pogładził uchwyt.

- Pragnę bogactw, nieprzebranych bogactw - szepnął czym prędzej. Przecież władzę nad światem i tak miał zapewnioną.

Korek, a jeśli mocno tkwi? Nie miał zbyt wiele czasu, to musi stać się szybko, przecież nie chciał się dzielić z Lenore.

Korek dał się usunąć bez kłopotu, zupełnie nie tak to sobie wyobrażał.

Talornin kilkakrotnie głęboko odetchnął, przyłożył amforę do ust i wypił.

Płyn w amforze miał smak zgniłej stojącej wody z bagiennego oczka. Cóż, nie jest to wyrafinowany nektar, lecz jakoś trzeba wytrzymać.

Co takiego ktoś powiedział? „Albo nic się nie stanie, albo te...” Dalej zapomniał.

„Albo te wszystko może się stać”? Czy to nie tak było?

Miał taką nadzieję. Bo płyn naprawdę smakował ohydnie.

Odstawił amforę, teraz już pustą. Woda bulgotała mu w brzuchu w dość nieprzyjemny sposób, czuł ogarniające go mdłości. Musi z całych sił starać się, by ją utrzymać, póki nie zacznie działać.

Czuł się bardzo dziwnie, ale pomyślał, że to przecie naturalne.

Wokół niego panowała teraz ciemność, bo blask amfory zniknął.

Lepiej wrócić do hallu.

Podczas kolejnych okrążeń twierdził jakoś nie mógł tam trafić.

Gdzie mogą być schody? Dlaczego tak trudno się poruszać?

Nic nie powiem Lenore o amforze, postanowił w duchu. Skłamię, że jej nie znalazłem.

Inaczej strasznie się rozgniewa. A rozgniewana Lenore to dopiero kłopot.

Talornin długo błądził po mrocznych piwnicach, nim wreszcie po omacku trafił na schody i mógł odetchnąć z ulgą. Nie tracił czasu na poszukiwanie latarki, musiał jak najszybciej pięć się do góry.

Lenore przestała walić w drzwi.

- Lenore! - zawołał. - Gdzie jest brama?

Nie odpowiedziała.

I gdzie ten hall, zastanawiał się. Jeśli trafię do niego, to znajdę również drzwi.

Znow zaczął krążyć w koło, otwierał kolejne ciężkie drzwi, w zamczysku panowały teraz ciemności. Talornin to wpadał w rozpacz, to budziła się w nim nadzieja i znow powracało zniechęcenie.

I nagle, zupełnie nieoczekiwanie, znalazł się w wielkim hallu. Ach, całe szczęście, westchnął.

Tu było stosunkowo jasno, w każdym razie nie tak strasznie ciemno jak gdzie indziej.

I widział już bramę. Tak, to jest to miejsce.

Otwarte jednak były również inne drzwi, których wcześniej nie zauważył. Prowadziły do niedużej salki, a na widok tego, co znajdowało się w środku, szeroko otworzył ze zdziwienia oczy.

Niepojęte skarby błyszczały, lśniły i migotały. Cóż za bogactwo! Prawdopodobnie schował je niegdyś dawny właściciel twierdzy. Ukrywały je potajemne drzwi. Teraz on, Talornin, miał to wszystko odziedziczyć. To on przecieś wypił wodę z czarodziejskich źródeł.

A właściwie prawie, bo przecieś to była woda ze studni pragnień, znajdującej się po drodze do tajemnych grot.

Talornin zanurzył ręce w stosie złota i szlachetnych kamieni. Zabierze tyle, ile zdoła unieść. Wróci tu później po resztę. Wszystko przeniesie do gondoli.

Gdy nie mógł już brać więcej, wyszedł do hallu, w którym znajdowało się wyjście. Na ścianie wisiało tam wspaniałe, zdobione lustro. Zauważył je, gdy tylko tu wszedł, i natychmiast uznał, że jest jakby nie na miejscu. Takich lusterek na pewno nie mieli w epoce wędrówki ludów. Lecz przecieś znalazł się teraz w Czechach słynących z wyrobu szkła.

Może więc nic w tym dziwnego? Zresztą w twierdzy jeszcze przez stulecia musiały mieszkać następne pokolenia.

Podszedł do zwierciadła, popatrzył na siebie i zaniósł się potwornym krzykiem. Na wpół oszalały nie przestawał wrzeszczeć i prawie nie poczuł, że wszystkie skarby przesypują mu się między palcami jak piasek i znikają, gdy tylko dotkną kamiennej posadzki.

Sol stała na zewnątrz i nie wiedziała o niczym, co działo się w twierdzy.

Westchnęła.

- Nic nam z tego nie przyjdzie, Libuszo. Cały czas jesteśmy jak w potrzasku. Talornin i Lenore są w posiadaniu śmiertelnie niebezpiecznego wirusa, z którym zapewne obchodzą się bardzo nieostrożnie. Móri i Berengaria siedzą w niewoli w jakimś nieznanym nam miejscu, Lisa, twoja następczyni, potrzebuje natychmiastowej pomocy Marca, a my nie wiemy nawet, gdzie on jest. Dolg nas opuścił, w pobliżu krąszą ci krwiośerczy piloci, Armas wstrętne zachowuje się wobec Lisy...

Na moment zabrakło jej tchu.

- Ach, wszystko idzie tak strasznie na opak. Na moment zajrzałam do Armasa, niewidzialna oczywiście, i wiesz, co? Lenore, która przez tak długi czas udawała czystą niewinność, okazała się niewinnością zabójczą, Lisa natomiast, która zachowuje się jak twarda i harda dziwka, jest naprawdę niewinna. Wśród całego tego swego upadku zdołała zachować w sobie coś czystego, choć niekiedy trudno to zauważyć.

Libusza pokiwała głową.

- Pięknie to powiedziałaś, Sol. I masz rację. Inaczej tak bym o nią nie walczyła. Jeśli ktokolwiek może jej pomóc, to tylko wy. Ona ma w sobie wiele dobra, jeśli tylko da się jej szansę.

- Nie wiem, czy ten cnotliwy Armas jest właściwą osobą, żeby... Ach, kto to tak strasznie krzyczy?

- Talornin. Nie przejmuj się nim - odparła Libusza. - Wrota są zamknięte, on się stamtąd nie wydostanie. Zostawię go tam jeszcze na jakiś czas. Niech trochę ochłonie, może zmięknie. Potem go wypuszczę. Ale czy to nie ty miałaś się zająć Lenore? Spójrz, ona idzie tam! OkrąŜa wieŜyczkę.

Sol rozjaśniła się. Ukazała się Lenore, która drgnęła przestraszona. Jednocześnie Kiro zaczął pokonywać ostatni odcinek drogi na górę, a Ram i Indra zbliŜali się juŜ do górskiego jeziora, ścigani przez wrogi samolot, choć o tym nie wiedzieli.

Libusza pozostała niewidzialna. Nie mogła się juŜ doczekać, kiedy wreszcie będzie mogła obejrzeć walkę między dwiema kobietami. Nie miała zamiaru się włączać, uznała, Őe to sprawa koleŜanki.

Sol popatrzyła na piękną, lecz brudną, zakrwawioną i rozczochraną Lenore i oświadczyła z błogą nadzieją:

- Teraz zaczniesz się zabawa!